TYGODNIK POWSZECHNY

Kryptowaluty po polsku
Czy NATO rozbije się o Grenlandię
Reportaż: boks znaczy spokój
Różaniec Muńka Staszczyka
Za co kochamy Agathę Christie
Wszystkie smaki soli

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 14 – 20 stycznia 2026 | nr 03 (3993)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

JAK DBAĆ O STARSZYCH RODZICÓW I TROSZCZYĆ SIĘ O SIEBIE

ROZMOWA Z PSYCHOTERAPEUTĄ BOGDANEM DE BARBARO

STRONY 12 – 16



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425


RAINBOW
R.pl
Tego lata spędzę więcej czasu z rodziną
TO BĘDZIE TWOJE LATO
ZAPLANUJ WAKACJE JUŻ DZIŚ
Zawsze w cenie:
Bagaż rejestrowany i podręczny
Transfer lotnisko-hotel-lotnisko
Ubezpieczenie podstawowe
Opieka rezydenta
REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Tajemnica wiary*

Książka nosi tytuł „Misterium Wiary” i jest rozmową Eskila Skjeldala z Jonem Fossem. Tak, z tym Fossem, laureatem Nobla. Nie chodzi jednak o to, że mówi tu noblista, bo nie mam wątpliwości, że i bez słynnej nagrody ten dialog – toczony wiosną, latem, jesienią i zimą 2014 – wyglądałby tak samo.

Niewielka książeczka jest tak pełna treści i pozbawiona – jak to się mówi – wody, że jej lektura staje się mocno wymagająca. Nie dlatego, że jest szczególnie zawiła: właściwie jest bardzo prosta i klarowna, ale tak gęsta, że nie da się jej czytać szybko, przelatując jakieś mniej ważne fragmenty po łebkach. I jeszcze jedna cecha: jest świetnie ułożona. Od spraw zasadniczych, podstawowych, idzie do problemów szczegółowych – ważne jest powiedziane najpierw, mniej ważne, choć żywo porusza czytelnika, potem.

Fosse opowiada o swojej wierze. Nie zaczynał jako katolik i z tego, co napisał, można wnioskować, że nie był specjalnie religijny. Kiedy opisuje przeżycia dla niego religijne, ma do nich stosunek sceptyczny. Powiada, że mogły być złudzeniem, ale że to mu nie przeszkadza. Myślę jednak, że tak naprawdę nie sądzi, by były to złudzenia. Ale też nie chodzi o jakieś wielkie cuda.

O swoim wejściu do Kościoła katolickiego (uczynił to jako człowiek dorosły) mówi: „Około dnia św. Jana przyjąłem bierzmowanie w kościele Świętego Dominika i zostałem przyjęty do Kościoła katolickiego. Moim zdaniem to było piękne. Dla mnie był to piękny dzień. Przeor Arne Fjeld z klasztoru Świętego Dominika po rozmowach ze mną wystąpił do biskupa Bernta Eidsviga o przyjęcie mnie do Kościoła i po pewnym czasie biskup wydał zgodę. (...) Okazało się, że nie potrzebuję jakichś wielkich nauk. Podczas aktu bierzmowania wyznałem wiarę, a brat Arne krzyżmem nakreślił mi na czole znak krzyża. W tym czasie Lars Roar, mój świadek, trzymał rękę na moim ramieniu. Msza zakończyła się komunią (...) Potem poszliśmy do domu i zjedliśmy pyszną pieczeń z jagnięciny (...) do tego czerwone wino dla wszystkich, a dla mnie czysta woda. Jedno jest pewne: zmiana wyznania, bierzmowanie, znak uczyniony na czole – to wszystko wyszło mi na dobre. W każdym momencie mogę poczuć na czole ten znak. Dobrze czuć, że on tam jest”.



GRAŻYNA MAKARA

Opis bardzo zewnętrzny, ale dwa ostatnie zdania zmieniają go w sygnał czegoś ważnego. Fosse będzie je potem rozwijał i pozornie banalna opowieść o ceremonii okaże się czymś niesłychanie ważnym, zmieniającym całe życie mówiącego. O tym jednak nie da się pisać w streszczeniu.

Na jedno zwrócę uwagę: Fosse jest niezwykle ostrożny w sięganiu po słowo „Bóg”. Używa go rzadko i jakby z wahaniem. Wie, że kiedy mówimy o Bogu, to nie jest o Nim; że Jego rzeczywistość przekracza ludzkie słowa. I właśnie dlatego niewielka książeczka „Misterium wiary” jest wielką książką. Wszelkiego rodzaju dociekania są zrozumiałe, bo człowiek się źle czuje wobec tajemnicy, ale Fosse wie – może z własnego doświadczenia – że są obszary, gdzie milczenie jest lepsze niż słowa. Oczywiście mówi o swoim przeżywaniu wiary, ale milknie, kiedy ma mówić o Bogu. I chyba w tym jest siła tej opowieści. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Jak Siema Polska po 35 latach WOŚP: ochrona zdrowia, organizacje pozarządowe, polaryzacja i Kościół przez czerwone okulary.

JUSTYNA DĄBROWSKA
Odzyskujemy opowieść o naszych babciach. Opowieść psychoterapeutki, babci i autorki rozmów z mistrzami życia.

ZBIGNIEW ROKITA
Rozmowa z Karin Lednicką – najpopularniejszą czeską pisarką. Nasi sąsiedzi kupili 2 miliony egzemplarzy jej powieści.

Starcze nieszczęsny, twe serce straszliwe ciosy przeżyło. / Jakże ty miałeś odwagę przyjść (...) / aby tu stać oko w oko z tym, co tak licznych i dzielnych / synów ci zabił?”... Szukając najstarszego literackiego opisu relacji między pokoleniami, pomyślałem od razu o powyższym dialogu między Achillesem a Priamem z pieśni XXIV „Iliady” (w tłumaczeniu Kazimiery Jeżewskiej).

Dobiegł końca pojedynek między Hektorem a Achillesem, w którym achajski wojownik pokonał trojańskiego królewicza, a potem zbezcześcił jego zwłoki, zaślepiony bólem po stracie przyjaciela Patroklosa, który padł z ręki Hektora. Zemsta przestaje smakować Achillesowi dopiero z chwilą, gdy nocą wkrada się do jego namiotu sędziwy Priam i błaga o oddanie ciała syna. Dumny władca Troi prosi wroga, by Achilles pomyślał o własnym ojcu – i trafia w czuły punkt.

Zwykło się przywoływać tę scenę jako przykład humanitaryzmu i szacunku dla starszych, ale można zrozumieć ją jeszcze inaczej. Priam mówi przecież Achillesowi, że w porządku rodzaju ludzkiego to dzieci winny chować rodziców, nie na odwrót. Starzec błagający o litość człowieka, który zabił mu syna, nie tak wyobrażał sobie jesień życia, ale przyjmuje swój los z pokorą.

Myślę o tym dialogu, odkąd przeczytałem okładkową rozmowę Katarzyny Kubisiowskiej z psychoterapeutą prof. **BOGDANEM DE BARBARO** o opiece nad starzejącymi się rodzicami. Sztafety pokoleń nadal biegną własnym tempem, ale rodzina wielopokoleniowa, żyjąca pod jednym dachem jak Priam z Hektorem, odeszła do przeszłości jak Troja. Ilu ojców i ile matek musi pogodzić się nie tylko z fizyczną bezsilnością, ale także z samotnością lub brakiem cierpliwości, okazywanym im przez dorosłe dzieci lub wynajętych przez nie opiekunów. I w drugą stronę – ileż ciężkich słów słyszą od rodziców ci, którzy między pracą a czasem dla własnych dzieci próbują gorączkowo znaleźć chwilę także dla matki czy ojca?



W okładkowej rozmowie nie znajdą Państwo gotowych recept, bo dynamiki relacji między pokoleniami nie da się wpisać w jeden scenariusz (przypomina o tym także **ANITA PIOTROWSKA**, recenzująca nowy film Jima Jarmuscha). Jest za to złota rada, do której odwołuje się i Homer. Odetchnąć. Ponownie dostrzec bliskiego, którego w emocjach być może straciło się z oczu. ©℗

MAREK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.



44 Nasz wielki skok
MICHAŁ OKOŃSKI
Równo 25 lat temu w Polsce zaczęła się era małyszomanii.



48 Kitrałem się z różańcem
ROZMOWA PIOTRA ŻYŁKI Z MUŃKIEM STASZCZYKIEM
o religijności i dorastaniu „w mieście Wielkiej Wieży”.



64 Alibi idealne
DOROTA MALINA
Kochała tłustą śmietankę i szybkie auta. Za co Agathę Christie kochają współcześni czytelnicy jej powieści?

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MARCIN RUTKIEWICZ / REPORTER // SEBASTIAN NYCZ / WYDAWNICTWO EMOCJE PLUS MINUS // NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Lew się obudził
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Złoty po drugiej stronie lustra
MAREK RABIJ: *Państwo polskie nie nadąża za rzeczywistością, w której coraz większe znaczenie mają kryptowaluty*

22 Macierzyństwo pod pełną kontrolą
ANNA KORYTOWSKA: *Reportaż z oddziału więziennego, w którym karę odbywają matki z małymi dziećmi*

25 Spokój i boks
MARCIN TUSIŃSKI: *Czy konfrontacja na ringu bokserskim może mieć walor terapeutyczny?*

■ ■ ROZMOWA

30 Czy NATO rozbije się o Grenlandię
Z JUSTYNĄ GOTKOWSKĄ ROZMAWIA JACEK STAWISKI

■ ■ ŚWIAT

34 Zatruta oferta Trumpa dla Polski
TADEUSZ MICHROWSKI Z RPA *o pułapce, jaką stanowi zaproszenie Polski do grupy G20*

38 Scenariusze dla Ukrainy
ROZMOWA ANTONINY PALARCZYK Z JURIJEM BUTUSOWEM: *Rosja nie będzie zagrożeniem dla Europy, dopóki mój kraj stawia opór*

40 Tłuste koty z Waszyngtonu
MARTA ZDZIEBORSKA: *Chaotyczna polityka Trumpa to raj dla lobbystów na usługach biznesu*

42 Choinka wróciła na Plac Żłóbka
JAN POCHEĆ Z PALESTYNY: *Betlejem funkcjonuje w ciągłym kryzysie – także w czasie Bożego Narodzenia*

TEMAT TYGODNIKA

12 Jak dbać o starszych rodziców
ROZMOWA KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ Z PSYCHOTERAPEUTĄ PROF. BOGDANEM DE BARBARO

Rodziny nie dzielą się na te dobre, które z bezgraniczną miłością zajmują się bezradnymi rodzicami, i złe, które rodziców odtrącają albo oddają do DPS-ów.

14 Gdy odwracają się role

15 Niemłoda Polska

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

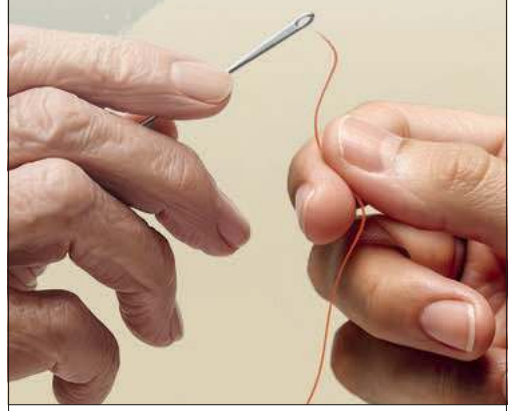

■ EKSTRA STRONY ■

62 CENTRUM NAUKI KOPERNIK – NAGRODA PRZEWROTY 2026

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
17 ELIZA KĄCKA **29** OLGA DRENDA
76 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ ■ HISTORIA

44 Nasz wielki skok
MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ WIARA

48 Kitrałem się z różańcem
ROZMOWA PIOTRA ŻYŁKI Z MUŃKIEM STASZCZYKIEM

52 Karma instant
BEATA CHOMĄTOWSKA: *Duchowość to jedno z najchętniej importowanych dóbr ze Wschodu*

54 Na kòlãdze jak to bãdze
DAWID GOSPODAREK *towarzyszy kaszubskim kolędnikom*

56 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

58 Łabędzi śpiew rybojaszczurów
DANIEL TYBOROWSKI: *Ichtiozaury zniknęły w ciszy. Ale opowieść, na którą układają się ich szczątki, nadal pulsuje życiem*

■ ■ KULTURA

64 Alibi idealne
DOROTA MALINA

68 Teatr z lektury
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Teatr Michała Zadary oferuje widzom pełną transparentność*

71 Stop slop
MARCIN WILKOWSKI: *Złe obrazy AI wpływają na naszą wyobraźnię i rozumienie tego, do czego zdolna jest technologia*

74 Czerwień i róż
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na najnowszy film Jima Jarmuscha*

75 Archipelag
LEKTOR *o książce Ursuli K. Le Guin „Rzeźbię w słowach"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Morze, które nie uciekło do nieba
BARTEK KIEŻUN: *Bez soli nie powstałaby żadna cywilizacja*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ Z PREZENTEM NA STRONIE 57

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

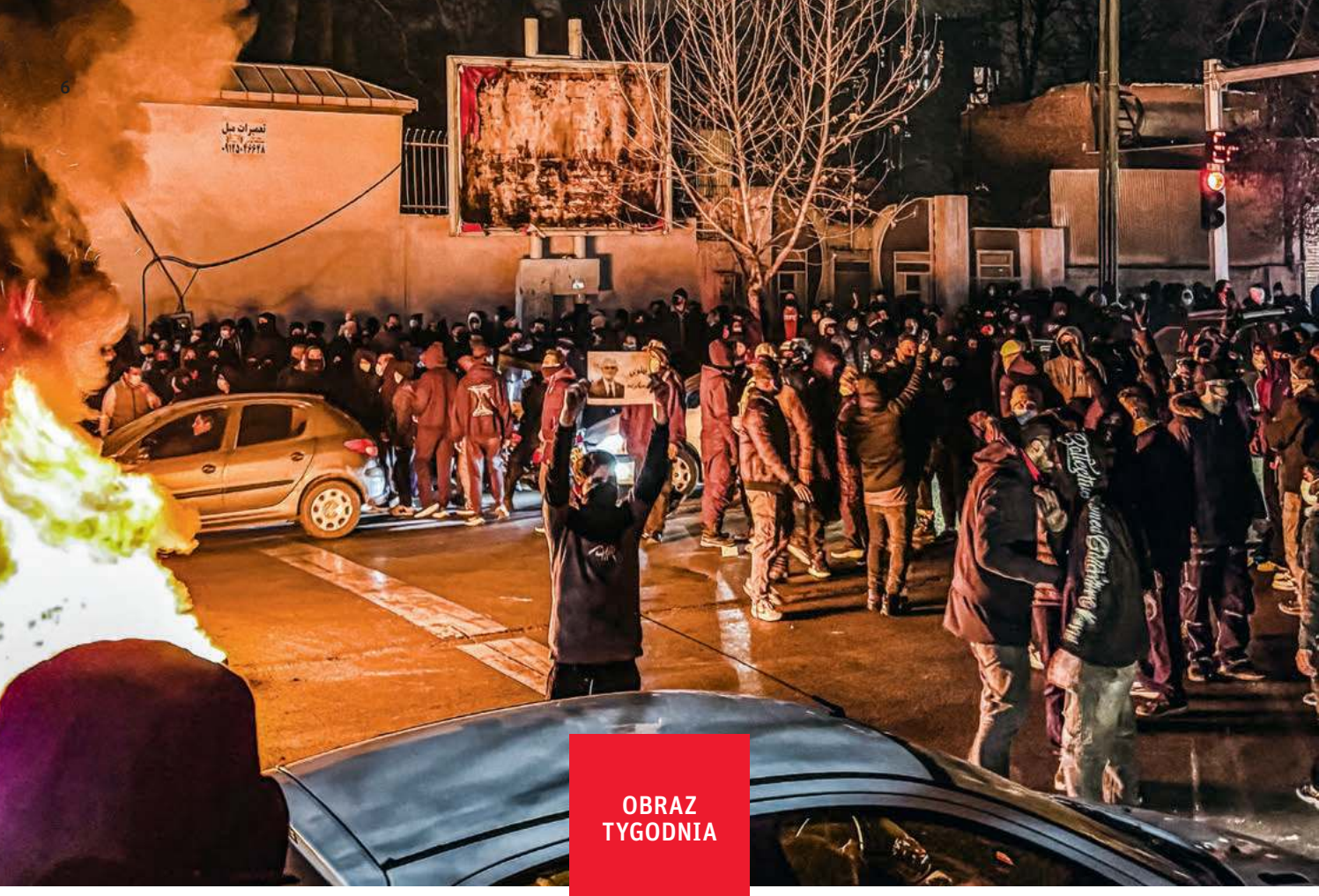

OBRAZ TYGODNIA

LEW SIĘ OBUDZIŁ

Jeśli Donald Trump zdecyduje o ataku na centra rządowe w Iranie, reżim ajatollahów znajdzie się na krawędzi. Oznaczać to może długo oczekiwaną wolność. Lub wojnę domową.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Demonstrant z portretem syna ostatniego szacha Iranu, Teheran, 9 stycznia 2026 r.

Podczas tamtej nieudanej irańskiej Zielonej Rewolucji w 2009 r. mieszkałem w dzielnicy Sa'adat Abad w północnym Teheranie. Mimo że był to jeden z najbardziej zrewoltowanych i najmniej religijnych dystryktów, nikomu nie przyszłoby do głowy zaatakowanie meczetu Al-Rasool na głównym Placu Kaj, choć miały w nim bazę znienawidzone paramilitarne bojówki reżimu.

Tymczasem w ubiegły piątek, 9 stycznia, rozwścieczeni Teherańczycy podłożyli pod tym meczetem ogień. Dymiące minarety oraz (mało rozsądne) zdjęcia młodych kobiet masowo zrzucających obowiązkowe nakrycia głowy – to symbol zmian, jakie dokonały się w młodym irańskim społeczeństwie.

Jego zdecydowana większość urodziła się po 1979 r., gdy obalono szacha, a rządy objęli ajatollahowie, i dziś widzi głównie degrengoladę islamskiej republiki, która stała się fasadą dla skostniałego reżimu, rządzonego przez duchownych, Korpus Strażników Rewolucji oraz uprzywilejowaną kastę urzędników i biznesmenów. Wszyscy oni przez lata czerpali zyski z ogromnych złóż ropy i gazu, które pozwalały im w momentach przesilenia przekupywać społeczeństwo (dzieląc się z nim ochłapami ze stołu, przez co rewolta nigdy wcześniej nie sięgnęła poza wielkie miasta) i równocześnie finansować Hezbollah oraz Hamas.

IRAŃCZYCY MAJĄ tego dość. Protesty, które wybuchły pod koniec grudnia 2025 r. – i których bezpośrednie przyczyny to upadek kursu riala, niemal 50-procentowa inflacja oraz jeszcze większy wzrost cen żywności – są skumulowanym efektem korupcji, niespójności systemu, twardych sankcji i izolacji Iranu.

W kraju, w którym narasta katastrofalny kryzys wodny, ludzi przestaje być stać na godne życie, co w bogatym w surowce państwie jest szczególnie absurdalne. Na dodatek władze mają podkopaną reputację po kompromitacji z czerwca 2025 r., gdy Izrael przeprowadził akcję dekapitacji dużej części kierownictwa armii i udowodnił, że o ile w długotrwałym starciu Iran miałby pewne szanse w walce z państwem żydowskim dzięki ra-

kietom balistycznym, to nie jest w stanie stawić oporu powietrznym atakom USA.

Dziś znowu nad Teheranem zawisła groźba amerykańsko-izraelskich nalotów i kto wie, czy nie zostaną one wymierzone nie tylko w cele wojskowe, ale też w budynki rządowe oraz parlament. Mało prawdopodobne jest, by doszło do interwencji lądowej USA (Iran to 90-milionowy kraj, dużo silniejszy niż Irak, Afganistan lub Wenezuela) czy do nalotów na siedzibę Najwyższego Przywódcy ajatollaha Alego Chameneiego. Jednak precyzyjne uderzenia w centra administracji i rozbudowany aparat represji mogłyby doprowadzić do zawalenia się struktur państwa. Oraz do wojny domowej, gdyż system wciąż ma wielu zwolenników.

CZAS GRA na korzyść władz, które dokonują dziś wyjątkowo brutalnej pacyfikacji protestów. Według niezależnych źródeł znane są już nazwiska ponad 500 zabitych (zginęli przeważnie od strzałów z broni palnej), w dużych miastach kostnice są pełne ciał, a ponad 10 tys. osób zostało aresztowanych. Wielu z nich usłyszy zapewne wyroki śmierci.

Mimo ogromnej skali represji, te ekonomiczne początkowo protesty, które rozpoczęły się na bazarach wielkich miast od strajku kupców, niebędących w stanie sprowadzać towarów z zagranicy z powodu kursu riala – rozlały się dziś po całym kraju. Szybko pojawiły się też na nich hasła wolnościowe. Symboliczne jest zwłaszcza to, iż jedne z największych zamieszek trwają w konserwatywnym trzymilionowym Maszhadzie. Z kolei w regionach zamieszkanych przez mniejszości Kurdów i Beludżów dochodzi do zbrojnych ataków m.in. na komendy policji.

NIEMOŻLIWA JEST precyzyjna ocena skali buntu, gdyż reżim dokonał bezprecedensowego odcięcia obywateli od internetu, co w tym dość dobrze scyfryzowanym państwie oznacza kolejne kłopoty ekonomiczne. W zasadzie w Iranie działa dziś tylko rządowy intranet (trochę wiadomości wydostaje się na zewnątrz dzięki połączeniom internetowym systemu Starlink Elona Muska).

Jednak takie kłopoty to dla reżimu niewielka cena. Dla niego ważniejsze jest, by zrewoltowane społeczeństwo nie mogło koordynować działań. Specyfiką Iranu jest bowiem to, że nie istnieją tutaj żadne zorganizowane struktury opozycyjne, a to z uwagi na brutalność represji. Dość powiedzieć, że obaj przywódcy wspomnianej na początku Zielonej Rewolucji, choć byli w 2009 r. oficjalnymi kandydatami w (sfałszowanych ostatecznie) wyborach prezydenckich, to szybko przestali być liderami, mimo że nie domagali się wcale obalenia islamskiej republiki. Obaj zostali umieszczeni w areszcie domowym: Mir Hosejn Musawi wyszedł z niego w 2018 r., a Mehdi Karrubi dopiero po 14 latach.

BRAK PRZYWÓDCÓW wśród protestujących w Iranie sprawia, że rosną notowania przebywającego na uchodźstwie syna ostatniego szacha Rezy Pahlawiego. Do niedawna był on w Iranie uważany za postać karykaturalną, pragnącą odbudowy monarchii i pełniącą rolę pacynki USA (Irańczycy pamiętają obalenie przez CIA demokratycznego rządu w 1953 r.) oraz Izraela (Reza wspierał niedawne naloty na Iran).

W społeczeństwie, które na tle regionu jest dobrze wykształcone (dotyczy to także kobiet), bo mułłowie postanowili nie tyle trzymać lud w ciemnocie, ile ukształtować nowego człowieka, raczej nikt nie czeka dziś na króla. Jednak ciągłe nawoływania Rezy do walki sprawiają, że stał się on jedyną figurą oporu z rozpoznawalnym nazwiskiem. A dawne irańskie flagi z lwem i słońcem nie są już wspomnieniem po obalonym 47 lat temu reżimie szacha, lecz nadzieją dla mieszkańców państwa, które szczyci się tym, że swoje pierwsze imperium, perskie, stworzyło w VI wieku p.n.e. ©℗

MIDDLE EAST IMAGES / ABACA / FORUM



Ryzykowna gra

MAREK RABIJ

W piątek 9 stycznia 2026 r. po południu ambasadorowie państw członkowskich Unii Europejskiej zatwierdzili wynik głosowania w sprawie umowy handlowej UE-Mercosur.

Tym samym przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen otrzymała mandat do sfinalizowania porozumienia podczas zaplanowanego na 17 stycznia spotkania w Paragwaju.

Przeciwko umowie były Warszawa, Paryż, Dublin, Budapeszt oraz Wiedeń. Belgia wstrzymała się od głosu. „Rząd polski głosował przeciw, a kilkoro naszych sojuszników w Radzie Europejskiej głosowało razem z nami. To jednak nie wystarczyło" – mówił po głosowaniu premier Tusk, jednocześnie wypominając prezydentowi Karolowi Nawrockiemu, że miał nakłonić do głosowania przeciw także Włochy.

Porozumienie z Mercado Común del Sur (Wspólnym Rynkiem Południa), stowarzyszeniem sześciu gospodarek Ameryki Południowej (wliczając w to zawieszoną w prawach Wenezuelę), to jedno z najbardziej kontrowersyjnych posunięć UE. Dość wspomnieć, że rozmowy w tej sprawie rozpoczęły się jeszcze w 1999 r. Od początku linia wewnętrznych podziałów przebiega też z grubsza podobnie, co pokazuje, że Unia nie jest, mówiąc dyplomatycznie, mistrzem w rozwiązywaniu wewnętrznych problemów. Gorącymi zwolennikami umowy są kraje UE o silnej pozycji eksportera na rynki pozaunijne. Niemcom, Włochom, a także Hiszpanii Mercosur daje bezcłowy dostęp do około 270 mln konsumentów z Brazylii, Argentyny, Paragwaju i Urugwaju, a jednocześnie otwiera drzwi do importu tańszych surowców i półproduktów.

Przeciw są głównie mniejsze kraje członkowskie, obawiające się konsekwencji wpuszczenia na wspólny rynek UE konkurencyjnych produktów z Ameryki Południowej.

Umowa z Mercosur przewiduje szereg bezpieczników w postaci chociażby limitów importu niektórych produktów (np. wołowina i cukier), a nawet dopuszcza wstrzymanie importu danego produktu, gdy doprowadzi on do zbyt dużego spadku cen na rynkach europejskich. Nie zmieni to faktu, że UE otworzy się w ten sposób na rynek, z którym jej rolnictwo nie będzie w stanie konkurować kosztowo. W krajach Mercosur PKB na głowę jest dziś średnio trzy razy niższe niż w Polsce. Wspólnota decyduje się więc na odważny, potencjalnie groźny eksperyment. Pytanie brzmi tylko, czy w błyskawicznie zmieniającym się otoczeniu międzynarodowym stać ją jeszcze na to, żeby nie podejmować ryzyka. ©℗



Reforma do reformy

MAREK RABIJ

Premier wstrzymał prace nad zmianą funkcjonowania Państwowej Inspekcji Pracy. Kierunek zmian proponowanych przez resort rodziny i pracy mu nie odpowiada. Nie może być tak, rzecze premier, że los przedsiębiorców zależeć będzie od widzimisię urzędników. Ciekawe to zdanie w ustach kogoś, kto pełniąc funkcję *de facto* urzędniczą, właściwie codziennie podejmuje decyzje wpływające na życie milionów Polaków, ale nie czepiajmy się słów. Reforma PIP, którą proponowała szefująca resortem pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, była istotnie bardzo odważna i nic dziwnego, że wznieciła obawy wśród przedsiębiorców, a nawet części pracowników.

Największe kontrowersje budził zapis nadający inspektorom PIP uprawnienia do zamiany tzw. elastycznych form zatrudnienia (głównie umów zleceń i kontraktów B2B) w umowę o pracę. Taka decyzja wchodziłaby w życie z dniem ogłoszenia, w dodatku niosąc ze sobą skutki wsteczne w postaci doliczenia nieodprowadzonych składek na ZUS. Przedsiębiorca mógłby się od niej odwołać do sądu, ale na wyrok poczekałby mniej więcej tyle samo, ile dziś czekają nieliczni pracownicy, którzy sądownie domagają się zmiany umowy śmieciowej na etat. Czyli średnio ponad trzy lata. Do rządu ruszyły więc procesje przedstawicieli tzw. środowiska pracodawców, apelując o spiłowanie nowych zębów PIP. Resort pracy pod presją, częściowo uzasadnioną, rezygnował z kolejnych punktów. Wyrzucono przede wszystkim zapis o składkach naliczanych wstecz, który faktycznie mógł położyć na łopatki niejedną firmę, ale lobby przedsiębiorców poczuło, że premier w gruncie rzeczy myśli podobnie, i zagrało *va banque*. Reforma trafiła do kosza.

Rząd obiecuje, że wróci do tematu, ale to samo obiecywał w trakcie kampanii. Trudno uwierzyć, że w 37. roku gospodarki wolnorynkowej Polska nagle dorobi się inspekcji pracy z prawdziwego zdarzenia. Rząd nie umie wyjść poza paradygmat „wspierania drobnej przedsiębiorczości", udając, że nie zna danych OECD, które pokazują, że polskie mikrofirmy (nie mylić z małymi i średnimi przedsiębiorstwami) pod względem wydajności ciągną się w ogonie państw rozwiniętych i w coraz większym stopniu stanowią balast dla gospodarki. Tylko w latach 2020-23 liczba zatrudnionych w Polsce na umowę o pracę wzrosła o ledwie 17,9 tys. W tym samym czasie przybyło aż 161,9 tys. tzw. samozatrudnionych. ©℗

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk podczas posiedzenia rządu. 30 grudnia 2025 r.



RADEK PIETRUSZKA / PAP



Dwie interpretacje

MARTA ZDZIEBORSKA

Śmierć 37-latki z Minneapolis wzburzyła Amerykę i podsyciła gniew wobec brutalności służb odpowiedzialnych za naloty imigracyjne. Renee Nicole Good zginęła w południowym Minneapolis, w stanie Minnesota, około półtora kilometra od miejsca, gdzie niecałe sześć lat temu rozegrała się inna tragedia. Policjanci udusili wtedy czarnoskórego George'a Floyda, co wywołało gwałtowne protesty w całych Stanach. Tym razem nie jest inaczej, choć demonstracje, które przetoczyły się w miniony weekend przez USA – były skromniejsze i zwykle miały pokojowy charakter.

Renee Nicole Good została zastrzelona przez agenta służb imigracyjnych i celnych (ICE), gdy zignorowała polecenie, by wyjść z auta, którym blokowała ruch na osiedlowej ulicy. Władze stanowe interpretują to wydarzenie zupełnie inaczej niż administracja Trumpa. Te pierwsze uważają, że agent ICE nie powinien był strzelać, gdy kobieta próbowała odjechać. Z kolei urzędnicy administracji twierdzą, że Good chciała potrącić agenta ICE, i że działał on w samoobronie.

Sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego Kristi Noem nazwała zastrzeloną kobietę „terrorystką".

Demonstranci protestowali nie tylko w związku z tragedią w Minneapolis, ale szerzej: przeciw brutalności agentów ICE i ich coraz większej obecności w miastach w USA. Do samego Minneapolis i okolic skierowano ostatnio 2 tys. funkcjonariuszy federalnych. Posiłki, odpowiedzialne za akcje deportacyjne, trafiają też od miesięcy m.in. do Chicago, Portland i Los Angeles. Do tego ostatniego miasta w czerwcu, na fali protestów przeciw działaniom ICE, Trump bez zgody władz stanowych wysłał Gwardię Narodową, co zaogniło sytuację.

Strzały oddane do siedzącej w aucie Renee Nicole Good – Amerykanki i matki trójki dzieci – to nie jedyny taki przypadek. Dzień po jej śmierci agenci ICE strzelali do dwóch osób w Portland. Twierdzili, że działali w samoobronie, obawiając się, że zostaną potrąceni przez kierowcę samochodu. Według administracji Trumpa chodziło o zupełnie inną sprawę: zatrzymanie dwójki Wenezuelczyków podejrzanych o powiązania z groźnym gangiem Tren de Aragua.

Ostatnie wydarzenia podsyciły na nowo gniew wielu Amerykanów wobec działań agentów ICE. Stali się oni symbolem agresywnej polityki Trumpa, nie tylko migracyjnej. Ten gniew szybko nie zniknie, podobnie jak zwiększone posiłki służb wysyłanych na ulice przez jego administrację. Do Minneapolis mają trafić kolejne setki funkcjonariuszy. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

NA PUNKTY

AZYL
Zbigniew Ziobro otrzymał azyl polityczny na Węgrzech, albo raczej – jak napisał w serwisie X – wybrał „walkę z politycznym bandytyzmem i bezprawiem" oraz „opór postępującej dyktaturze". Szczęśliwie dodał, że czyni to w imię zasad, którymi zawsze się kierował.

SANKTUARIUM
W imię zasad, którymi zawsze się kierował, prezydent Karol Nawrocki wziął udział w Ogólnopolskiej Patriotycznej Pielgrzymce Kibiców na Jasną Górę, podczas której – jak informuje Wirtualna Polska – serdecznie witał się z szefem gangu kiboli, skazanym nieprawomocnie za promowanie nazizmu i udział w bójkach.

KORONA
Inne zasady zdaje się wyznawać Jarosław Kaczyński. „Jeżeli Polska chce utrzymać chociażby elementarne podstawy swojego bezpieczeństwa, to nowy rząd nie może być rządem z udziałem, czy nawet z poparciem zwolenników pana Brauna" – powiedział prezes PiS, dodając, że lider Konfederacji Korony Polskiej „dalece przekroczył te granice, które są nieprzekraczalne dla polityków w naszej sferze cywilizacyjnej". ©℗



Jakiego Kościoła chce Leon XIV

PAULINA GUZIK Z RZYMU

Zamknięcie drzwi jubileuszowych 6 stycznia to jednocześnie otwarcie na dobre pontyfikatu Leona XIV (na zdjęciu) – realizacji własnego, nie Franciszkowego, kalendarza.

Pierwszym jego punktem był konsystorz nadzwyczajny – spotkanie wszystkich kardynałów z całego świata. Leon XIV pokazał twarz lidera, który zbiera zespół, by go poznać, ale też by zespół mógł lepiej poznać nowego papieża.



Konsystorze nadzwyczajne zwołuje się, jak mówi prawo kanoniczne, by odbyć konsultacje co do „szczególnych potrzeb Kościoła lub rozpatrywać poważniejsze sprawy". W przeciwieństwie do konsystorzy zwyczajnych, które gromadzą tylko kardynałów z Rzymu i zwykle mają charakter ceremonialny (zatwierdzanie kandydatów na ołtarze lub wręczanie nominacji kardynalskich).

Poprzednicy Leona w różny sposób korzystali z takich kolegialnych konsultacji. Jan Paweł II, w ciągu ponad 26 lat pontyfikatu, zwołał sześć konsystorzy nadzwyczajnych, Benedykt XVI organizował je trzykrotnie w przeddzień konsystorzy zwyczajnych. Franciszek zwołał nadzwyczajny konsystorz tylko raz – preferował formułę mniejszego grona doradców (rada dziewięciu kardynałów z różnych części świata).

Otwierając obrady, Leon XIV wyjaśniał, że zbiera kardynałów „nie po to, by promować programy", ale by uczestniczyć w „rozeznaniu", które „pochodzi od Pana". Zapowiedział, że konsystorze nadzwyczajne odbywać się będą co rok, począwszy od najbliższego czerwca, i będą trwać 3-4 dni. Ten pierwszy, krótszy (półtora dnia), służył rozeznaniu najważniejszych potrzeb Kościoła. Papież chciałby, by był on chrystocentryczny, misyjny (w oparciu o franciszkową adhortację programową „Evangelii gaudium") i synodalny (słuchający i budujący relacje).

Kościół ma nie tylko głosić Ewangelię, ale także być „formą komunii i braterstwa" – mówił dziennikarzom na konferencji prasowej algierski kardynał Jean-Paul Vesco. Dodając, że papieżowi chodzi o „Kościół, któremu zależy" na wszystkich. Także na kardynałach. ©

RICCARDO DE LUCA / ANADOLU / AFP / EAST NEWS



Plastikowy krzyżyk z Kielna

ARTUR SPORNIAK

Rozedrganie emocji związanych z obroną symboli religijnych osiągnęło w Polsce poziom groteski. W mediach pojawiła się informacja, że nauczycielka z podstawówki w Kielnie na Pomorzu zdjęła ze ściany krzyż, który powiesiły dzieci, i wrzuciła go do kosza. Rozpętała się burza. Posłanka PiS Dorota Arciszewska-Mielewczyk wraz z Robertem Bąkiewiczem i jego Ruchem Obrony Granic zorganizowała pod szkołą demonstrację w obronie krzyża, zakłócając pracę placówki. W mediach zaczęły pojawiać się coraz bardziej dramatyczne nagłówki: „Trwa walka w obronie krzyża w Kielnie!", „Szokujące sceny", „Krzyż na śmietniku".

Zareagowały instytucje. Kuratorium zawiesiło nauczycielkę i wszczęło postępowanie dyscyplinarne, a wójt zgłosił sprawę do prokuratury. Tymczasem z wersji nauczycielki wynika, że chodziło o plastikowy krzyżyk z halloweenowego stroju zakonnicy (potwierdzają to zdjęcia opublikowane przez policję), który dzieci dla zabawy powiesiły nad klatką chomika.

Tego teatru absurdu w sferze publicznej nie da się łatwo zatrzymać. Środowiska, które zaangażowały się w „obronę krzyża", nadal bronią cosplayowego gadżetu jako chrześcijańskiego symbolu. Czy to oznacza, że teraz będziemy chronić przed rzekomą profanacją zabawki przypominające krzyż?

Ale przez medialne szaleństwo ostatnich dni przebiła się też pozytywna wiadomość. Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało i przekazało do konsultacji społecznych projekt zmian przepisów dotyczących przestępstwa obrazy uczuć religijnych (usunięcie kary pozbawienia wolności za ich naruszenie). Art. 196 Kodeksu Karnego przewiduje dziś za obrazę uczuć religijnych (m.in. przez publiczne znieważenie przedmiotu czci religijnej) także karę więzienia do lat dwóch. To przepisy zbyt surowe, jak na standardy określane przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, i niebezpieczne w kraju o tak rozhuśtanych emocjach społecznych. ©℗

Gangi III RP. Tak zmieniła się Polska

POLSKA MAFIA ▪ Po 25 latach wyszedł z więzienia 57-letni Ryszard Bogucki, skazany za zabójstwo Andrzeja „Pershinga" Kolikowskiego, bossa mafii pruszkowskiej. Elegancko ubrany, porozmawiał chwilę z dziennikarzami, po czym wsiadł do terenowego mercedesa i odjechał.

Wydarzenie to jest symbolicznym domknięciem epoki, którą mamy na szczęście za sobą. Polska początków lat 90. była krajem, w którym nowy porządek jeszcze się nie ukształtował, a stary zdążył już umrzeć. Postkomunistyczna policja była słaba, pełna sfrustrowanych, a nierzadko przekupnych funkcjonariuszy, którzy nie radzili sobie z nowymi rodzajami przestępczości, jakie przyniosło otwarcie się Polski na świat. Przemyt alkoholu, papierosów i kradzionych aut, rabunki, wymuszenia, napady na tiry, produkcja amfetaminy, porwania dla okupu, wewnętrzne porachunki przy użyciu broni i ładunków wybuchowych, podpalenia konkurencyjnych agencji towarzyskich – to codzienność polskich miast pierwszej dekady wolności.

Choć mówiło się wówczas najczęściej o mafii pruszkowskiej i wołomińskiej, tak naprawdę struktury trzęsące Polską nie były zbyt spójne i zasługiwały raczej na miano grup bandyckich niż mafii – stosowały proste, brutalne metody budowania wpływów. W efekcie stolica 40-milionowego kraju bała się gangsterów z dwóch podwarszawskich miasteczek i ich okolic. „Pershing", „Malizna", „Wańka", „Słowik", „Kiełbasa", a z drugiej strony „Klepak", „Dziad" i „Wariat" – stali się symbolem bezradności państwa, w którym dopiero rodziły się profesjonalne służby do zwalczania rozlewającej się po Polsce przestępczości zorganizowanej (CBŚ powstało w 2000 r.). Postrach budziła wtedy również tzw. grupa mokotowska, gang „Oczki" ze Szczecina, grupa „Nikosia" z Gdańska, a najbardziej śląska ekipa „Krakowiaka".

Kulminacją tamtych czasów stało się niewyjaśnione do dziś zabójstwo byłego komendanta policji gen. Marka Papały w 1998 r. oraz egzekucja dokonana rok później na tracącym wpływy „Pershingu" przez Boguckiego (nigdy nie przyznał się do winy), z którym współpracował bielski gangster Ryszard „Rzeźnik" Niemczyk. Ten ostatni zasłynął brawurową ucieczką z więzienia w Wadowicach, a zatrzymano go dopiero po pięciu latach w Niemczech.

Powolny koniec prymitywnej, choć specyficznie barwnej gangsterki na ulicach polskich miast wiąże się z zeznaniami świadka koronnego „Masy".

To dzięki niemu udało się skazać bossów grupy pruszkowskiej. Potem, przez ponad dekadę, toczyły się procesy innych gangsterów, a najbardziej brutalna przestępczość w zasadzie zamarła. Skończyły się strzelaniny i zamachy bombowe, a w mediach o wiele częściej niż o haraczach od restauratorów zaczęto wspominać o zaawansowanych formach zorganizowanej przestępczości: od afery hazardowej po mafię VAT-owską.

© ℗ MAREK KĘSKRAWIEC



WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ryszard Bogucki podczas procesu o spowodowanie śmierci Marka Papały. Warszawa, 10 lutego 2010 r.

Diety: co za dużo, to niezdrowo

DIETA ▪ Wielu z nas rozpoczęło nowy rok z postanowieniem zmiany swojego życia – zakup karnetu na siłownię, przeczytanie jednej książki tygodniowo i wdrożenie nowej diety. A czasami kilku diet, które nie zawsze są bezpieczne.

Wbrew pozorom interwencje dietetyczne nie są błahe dla organizmu. Zmiana nawyków żywieniowych bywa radykalną ingerencją w układ pokarmowy, odpornościowy czy hormonalny i może mieć kluczowe znaczenie w terapii wielu chorób. W obliczu mnogości diet i ich rosnącej popularności, sytuacja, w której jednocześnie stosujemy dwie lub trzy różne diety, staje się coraz powszechniejsza.

Przykłady można mnożyć: pacjent z celiakią (w której to chorobie gluten, czyli białka niektórych zbóż, powoduje zapalenie śluzówki jelita cienkiego) jest wegetarianinem i stosuje na własną rękę popularną ostatnio dietę niskohistaminową; albo weganin z zespołem jelita drażliwego stosujący dietę ubogą w fermentujące sacharydy (low-FODMAP). Może się nagle okazać, że korzystając z różnych diet, ograniczymy większość źródeł białka albo niektórych witamin.

Gastroenterolodzy i dietetycy z australijskiego Uniwersytetu Monasha i Uniwersytetu Technologicznego Swineburne określają to zjawisko mianem „diet, stacking", czyli piętrowego układania diet. W „Journal of Gastroenterology and Hepatology" przywołali dane dotyczące częstości występowania takich sytuacji – wśród pacjentów z zespołem jelita drażliwego, u których kluczowa dla opanowania objawów jest wspomniana dieta low-FODMAP, nawet 54 proc. stosuje dodatkowo drugą interwencję dietetyczną. Jak zauważają autorzy, „diet stacking" jest efektem własnej inwencji pacjentów, ale równie często nieuwagi lekarzy i dietetyków, którzy do już stosowanych zaleceń dietetycznych dokładają kolejne.

Większość diet ujętych we wspomnianej analizie polega na eliminacji konkretnych substancji, potencjalnie niekorzystnych dla pacjentów – np. dieta bezglutenowa i bezlaktozowa. Ale popularność zyskują również takie, które nie są zalecone w gabinetach specjalistów, np. dieta ketogeniczna i bardziej restrykcyjna dieta „carnivore", w których unika się produktów bogatych w cukry lub spożywa wyłącznie mięso, mleko i jaja.

Stosowanie wielu takich diet naraz może prowadzić do niedoborów, skutkować zaburzeniami odżywiania, jak anoreksja i bulimia, a nawet sprzyjać występowaniu chorób przewlekłych. Na nowy rok, poza wytrwałością, można zatem życzyć, aby stosowanie diety nie przerodziło się w zgubny stos diet.

© BARTOSZ KABAŁA



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Targi Książki w Krakowie, 26 października 2025 r.

Europejczycy czytają coraz więcej książek

RYNEK KSIĄŻKI ■ Spływające z różnych stron świata raporty o kondycji sektora wydawniczego przeczą fatalistycznym tezom o globalnym kryzysie czytelnictwa. Włoskie Stowarzyszenie Wydawców chwali się rekordowo wysokimi słupkami: na Półwyspie Apenińskim coraz więcej osób sięga po książki. Aż 76 proc. Włochów przeczytało w minionym roku co najmniej jeden tytuł (to wzrost czytelników z 32,6 mln do 33,9 mln). Co ciekawe, najdynamiczniej rosnącą grupą miłośników drukowanych opowieści jest młodzież w wieku 15-17 lat. Podobne sygnały świadczące o ożywieniu rynku pojawiają się w innych europejskich krajach: w Niemczech sprzedaż literatury pięknej wzrosła o 1,3 proc. w porównaniu z rokiem 2024 i aż o 14,9 proc. względem roku 2022.

Jeden z wątków włoskiego raportu podkreśla też rosnącą rolę mediów społecznościowych w wyborze lektur. Do zakupów pod wpływem Instagrama czy TikToka przyznaje się 20 proc. tamtejszych czytelniczek i czytelników (w grupie poniżej 25. roku życia to aż 40 proc.).

Podobne trendy obserwujemy w Polsce. Według najnowszego raportu Empiku w 2025 r. spędziliśmy z książkami cyfrowymi o 22 proc. więcej czasu niż rok wcześniej, a liczba użytkowników aplikacji służącej do słuchania i czytania książek na ekranie wzrosła o 60 proc. Średni czas naszego kontaktu z literaturą był wyższy o 22 proc., co wskazuje na zmianę stylu czytania – przestaliśmy szukać osobnego momentu na lekturę i audiobooka włączamy w każdej wolnej chwili: w drodze do pracy, podczas spacerów, zakupów, na siłowni itp.

O potrzebie nieustannego kontaktu z literaturą świadczą też wieści płynące z sektora usług publicznych. Otóż kilka dni temu Poczta Polska pochwaliła się, że sprzedała w swoich placówkach niemal milion egzemplarzy książek. Wśród najpopularniejszych tytułów znalazły się „Akuszerki" Sabiny Jakubowskiej, „Chłopki" i „Służące do wszystkiego" Joanny Kuciel-Frydryszak oraz „Ziemianki" Marty Strzeleckiej.

Dostrzegając w obrocie książkami coraz lepszy interes, Poczta planuje rozszerzenie asortymentu, zwiększenie liczby spotkań autorskich i uruchomienie tzw. Pocztowego Klubu Czytelniczego. Dobrze, że urzędnicy zdają sobie sprawę z potrzeby integracji środowisk czytelniczych. Szkoda, że wydając publiczne środki na „promocję" literatury w punktach pocztowych, pozwalamy jednocześnie na zamykanie kolejnych księgarni kameralnych – średnio co trzy dni znika z naszych miast jedno takie miejsce. Cóż, może właśnie dlatego w Polsce to Poczta musi handlować książkami.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

JAK DBAĆ O STARSZYCH RODZICÓW

BOGDAN DE BARBARO, PSYCHOTERAPEUTA:

Rodziny nie dzielą się na te dobre,
które z bezgraniczną miłością zajmują się bezradnymi rodzicami,
i złe, które rodziców odtrącają albo oddają do DPS-ów.



KATARZYNA KUBISIOWSKA: Lubił Pan Gene'a Hackmana?

BOGDAN DE BARBARO: Najbardziej za role we „Francuskim łączniku" i „Rozmowie".

Rok temu ciała aktora i jego żony znaleziono na terenie ich posiadłości. Najpierw zmarła ona, potem on. Nie żyli od kilku dni.

Szczegółów nie znamy, więc nie daję sobie prawa do szybkich uogólnień. Ale zastanawia mnie, jak to się stało, że ludzie, których stać było na codzienną opiekę, nie mieli jej zapewnionej. Bogaci na ogół otaczają się osobami, które im gotują, sprzątają, czuwają nad ich zdrowiem, pielęgnują ogród. A gdzieś na drugim planie – rodzina.

Relacje w tej rodzinie musiały być napięte, skoro Hackman w testamencie pominął trójkę dzieci.

To szczególnego rodzaju *misterium mortis*: znany aktor leży martwy przez tydzień na podłodze. Pozostanie zagadką, czy dzieci zerwały relację z ojcem, czy ojciec z dziećmi. A we mnie, jako terapeucie – w gruncie rzeczy jak chyba w każdym z nas – pojawia się pytanie o ciąg wydarzeń poprzedzających tragiczny finał. Można by domniemywać, że w tej rodzinie działo się coś mrocznego i bolesnego.

I nasuwa się też pytanie: czy obowiązkiem dorosłego dziecka jest miłość okazywana starszemu i chorującemu rodzicowi?

Trudno mi myśleć o miłości w kategoriach obowiązku. Ale uważa się, że fundamentem dobrego życia jest więź miłosna, doświadczana w dzieciństwie od bliskich, zwłaszcza od rodziców. Dziecko czuje się kochane i tę miłość odwzajemnia. Jest to więc świat troski, czułości, bliskości wyrażanej werbalnie i pozawerbalnie. Jest tu miejsce na spojrzenie pełne zachwytu, przytulenie, pocieszenie w razie kłopotów, czuwanie, gdy zajdzie potrzeba całonocnej opieki. W tej relacji naturalnie odpowiedzialność spoczywa na rodzicu, trudno przecież, by relacja między trzylatkiem a jego najbliższymi zależała od dziecka. Chciałoby się, by dorosły rzeczywiście dorósł do swojej roli.

A jeśli nie dorósł? Jeśli dziecko czuło się niekochane, a teraz ma zająć się rodzicem?

Dorosłe dziecko ma obowiązek materialnego zabezpieczenia rodziców. Jednak zdarza się, że sąd może zwolnić dorosłe dziecko z tego obowiązku, jeżeli zostanie wykazane, że rodzic rażąco zaniedbywał swoje rodzicielskie obowiązki.

Jednak pytanie postawione przez panią dotyczy sytuacji bardziej skomplikowanej, bo przecież zdarza się, że rodzice kochają swoje dziecko, ale wyrażają to, powiedzmy, niezdarnie. Np. poprzez stanowcze wymagania, wysokie oczekiwania wobec córki. Bywa, że ta po latach, już jako dorosła kobieta, przypadkiem dowiaduje się od znajomych, że w dzieciństwie rodzice byli z niej dumni, ale jej o tym nigdy nie powiedzieli. A ona mogła się czuć niekochana.

I co teraz?

W dorosłym dziecku może się kłębić żal i tęsknota za niespełnionymi uczuciami z dzieciństwa, poczucie obowiązku, miłość połączona z gniewem. W tym stanie emocjonalnym, w pewnym sensie, córka staje się rodzicem swojej matki. Jednocześnie taki jest cykl życia rodzinnego. Role odwracają się: rodzice wchodzą pod skrzydła dzieci. I to może być trudne dla obu stron. Ten etap był łatwiejszy w czasach, kiedy pod jednym dachem żyliśmy w rodzinach wielopokoleniowych.

Dziś coraz częściej stajemy przed dylematem: mieszkam w innym mieście, mam swoją rodzinę, z matką łączą mnie trudne relacje, a teraz mam się nią zajmować?

Powstaje kwestia, czy przyjmując rolę opiekuna swoich rodziców, mam tym obciążać swoją rodzinę? Czy mam wziąć rodzica do domu? Przeorganizować nie tylko przestrzeń, oddać do dyspozycji pokój, urządzić go, ale też zmienić rytm dnia i nałożyć na innych nowe obowiązki? Warto pamiętać, że przy wspólnym podejmowaniu decyzji – bo każdy domownik powinien się wypowiedzieć – inną perspektywę ma córka czy syn, a inną, w sposób naturalny, synowa czy zięć. Jakże wiele będzie tu zależało od tego, jakie uczucia łączą te osoby. I co myślą i czują na ten temat wnuki tych z roku na rok coraz bardziej bezradnych seniorów i seniorek?

Relacja między dorosłym dzieckiem a jego rodzicami to część całego systemu rodzinnego. Na pewno nie osobny byt.

Co zrobić, gdy reszta rodziny jest niechętna mieszkaniu z teściową i babcią?

Nie sądzę, by to miało się odbywać przez głosowanie. Ale na pytanie, co zrobić, inną odpowiedź znajdzie rodzina, w której jest głębokie poczucie obowiązków międzypokoleniowych, a inną rodzina, w której dominuje nastawienie na wygodę i przyjemność. Sporo będzie zależało od warunków lokalowych, od możliwości finansowych, od tego, czy w pobliżu jest DPS o wysokim standardzie i czy pozostaje on w zakresie finansowych możliwości. W dojrzałej emocjonalnie rodzinie jest miejsce na pogłębiony namysł, problematyzowanie, żmudne szukanie konsensusu. I wzajemna pomoc emocjonalna.

Moralnym dylematem jest samo oddanie rodzica do DPS-u.

Nie traktowałbym DPS-u w kategoriach zsyłki. Zdarza się, że właśnie po uwzględnieniu całego kontekstu – czy możemy w domu zapewnić dobre warunki dla seniora – DPS może się w ostatecznym rozrachunku okazać tym, co lepsze. Podkreślam: nie mamy do czynienia z sytuacją „wszystko albo nic". Przecież ktoś opiekujący się swoimi rodzicami w domu może też zadbać o siebie i nie wchodzić w rolę zatracającego się w tym pomaganiu. A osoba przebywająca w DPS-sie może być odwiedzana przez bliskich i te spotkania mogą być pełne szczerej serdeczności i bliskości.

A jednak przygnębia myśl, w której jedynym rozwiązaniem jest pobyt bliskiego w DPS-ie.

W naszej rozmowie jeszcze to słowo nie padło, a nie od rzeczy będzie go użyć: starość.

Dla niektórych jest ona ograniczeniem fizycznym, psychicznym, seksualnym, emocjonalnym. Poczuciem przemijania, bólem, samotnością, bezradnością. Trudniej nam zrozumieć świat, szczególnie ten cyber. I jedni będą tym przygnębieni, a inni zadowolą się pytaniem, czy jutro spadnie śnieg, czy wnuki zdrowe, albo wspomnieniami z młodych lat. Będą i tacy, którzy popadają w głęboki smutek, bo przygniatają ich dolegliwości somatyczne. Będą i tacy, którzy na swoje utrapienia znajdują pocieszenie w religii. Jeszcze dla innych starość to smak ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ uwolnienia się od błyskotek zabierających wolność wewnętrzną, poczucie spełnienia, radość z miłosnego współbycia z kochanymi i kochającymi. A większość z nas mieści się gdzieś między tymi biegunami.

Ale czy decyzja o opiece nad rodzicem jest papierkiem lakmusowym dla kondycji rodziny?

Rodziny nie dzielą się na te dobre, które z bezgraniczną miłością oddają się opiece nad bezradnym psychicznie i fizycznie rodzicem, i na te złe, które rodziców odtrącają, nie dając żadnej opieki ani wsparcia. Brzmi banalnie, ale każda sytuacja jest inna i warto wnikać w jej złożoność.

A sama złożoność sprzecznych emocji dorosłego dziecka wobec starszego rodzica? W tym kłębowisku uczuć dominuje poczucie winy dyktowane przykazaniem: „czcij ojca swego i matkę swoją".

W ten sposób następuje połączenie poczucia krzywdy z dzieciństwa z poczuciem winy jako wewnętrznej reakcji na własny tłumiony gniew. Taki stan zamieszania emocjonalnego można by określić jako krzywdo-winę. Jeszcze ten stan sprzężeń: matka seniorka może czuć się skrzywdzona niedostatkiem opieki, a winna, że sama niegdyś nie dała dzieciom tego, czego potrzebowały. Stan krzywdo-winy u córki i krzywdo-winy u matki współtworzą napięcie w tej relacji.

Ale nie stać mnie na jakąś jednoznaczną podpowiedź, co należy zrobić. Chyba panią teraz zawiodłem.

Niestety.

Relacje z osobą w podeszłym wieku są bardzo skomplikowane i często nie ma rozwiązania, które byłoby dobre dla wszystkich. Nie mam ochoty mówić innym, co powinni robić, kiedy nie znam ich słabych i silnych stron, ich gotowości do ofiarności, ich traum z dzieciństwa, ich dojrzałości i niedojrzałości, ich zdolności do wytrzymywania niewygód, ich systemu etycznego, itd., itp. I nie wiem, czy ta osoba w wieku senioralnym wymaga opieki całodobowej, czy jest spokojna, wdzięczna za pomoc i życzliwa, czy przeciwnie: bywa agresywna, wymagająca i gniewna. Mogę jedynie powiedzieć, że tym, co może pomóc córce opiekującej się matką, jest poczucie sprawczości. A więc świadomość, że to od tej córki zależą konkretne rozwiązania. I że w takich trudnych sytuacjach warto działać nie w samotności, lecz biorąc wsparcie od bliskich.

No dobrze, a jeśli ten starszy człowiek jest agresywny?

I chce rządzić, jest despotyczny, a raz na jakiś czas porcelana wypada mu z ręki? Jeśli ktoś jest tak na okrągło gniewny, to niewykluczone, że wskazana może być konsultacja u psychoterapeuty i u geron-topsychiatry, którzy po dokonaniu diagnozy zaproponują odpowiednie postępowanie, a może także farmakoterapię.

To częściowe rozwiązania problemu.

Pozostaje kwestia, co przeżywa osoba, która jako dziewczynka była córką surowej matki, a teraz jest opiekunką staruszki, która wymaga całodobowej opieki. Przecież nie byłoby ani etyczne, ani merytorycznie skuteczne, gdyby ta dorosła córka stanęła nad matką i jej wszystkie krzywdy z dzieciństwa – jak to się pięknie określa – wygarnęła. A z drugiej strony tłumienie gniewu, nasilonego jeszcze przez konieczność żmudnej opieki, też nie jest dobrym rozwiązaniem.

Idealnego rozwiązania nie znam. Ale jako najmniej złe uważam wyjście dwutorowe. Z jednej strony sensowne i naturalne jest dawanie troski i opieki, a w pracy wewnętrznej – przeżywanie swojej matki jako człowieka bezradnego i praca nad przebaczeniem.

Dlaczego tłumienie gniewu nie jest skuteczne? Przecież to gwarantuje święty spokój.

Tłumienie jest ryzykowne dla tłumiącego. Bo emocje gniewu, wściekłości, agresji, nienawiści wchodzą w człowieka i choć doraźnie mogą psychicznie integrować, na dłuższą metę niszczą od środka. Zostają w naszym ciele, np. dają stałe poczucie zmęczenia,

Gdy odwracają się role

OPIEKA nad starzejącym się rodzicem to jedno z najbardziej obciążających emocjonalnie doświadczeń dorosłości, na które większość z nas nie jest przygotowana. Trudno o recepty i gotowe scenariusze, bo każda relacja jest inna – jest jednak kilka uniwersalnych zasad, które mogą pomóc odnaleźć się w roli opiekuna.

FAKT, że rodzic potrzebuje pomocy i wsparcia w codziennych czynnościach nie oznacza, że przestał być dorosłym człowiekiem. Przez dekady funkcjonował autonomicznie, dlatego traktowanie go jak dziecka – strofowanie, dyscyplinowanie, zdrabnianie słów czy decydowanie „dla jego dobra" odbiera mu godność i infantylizuje. Nawet niewielka, a czasami wręcz symboliczna sprawczość daje słabnącemu rodzicowi poczucie autonomii i kontroli. Zamiast komunikatu typu „tato, czas na kąpiel", warto – w miarę możliwości – zadawać pytania dające wybór: „Tato, wolisz umyć się przed czy po teleturnieju?"

W MIARĘ MOŻLIWOŚCI nie warto ograniczać samodzielności seniora. Aktywność przynosi mu więcej korzyści niż szkód.

OPÓR I BUNT SENIORA to nie zła wola, ale często lęk i trudne emocje. Niechęć czy niezadowolenie rodzica rzadko odnoszą się bezpośrednio do opiekuna. Zdecydowanie częściej kryje się za nimi strach przed utratą niezależności i intymności, trudność z pogodzeniem się z nową rzeczywistością oraz lęk przed „byciem ciężarem". W sprzyjającym momencie warto spróbować o tym szczerze porozmawiać.

MIŁOŚĆ nie oznacza poświęcenia bez reszty. Gdy opieka nad starzejącym się rodzicem przekracza fizyczne lub psychiczne możliwości, sięgnięcie po specjalistyczną pomoc jest aktem odpowiedzialności, a nie porażką. Opiekun, który nie ma własnego życia, prędzej czy później zaczyna tracić cierpliwość – a to nieuchronnie odbija się na relacji. © MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA



MARGY CRANE / SHUTTERSTOCK

Niemłoda Polska

GUS nie opublikował jeszcze pełnych danych za ubiegły rok, ale nie ulega wątpliwości, że demograficzny kryzys, którego Polska doświadcza od kilku lat, może się jedynie pogłębiać. W roku 2024 liczebność roczników dzisiejszych czterdziestolatków, oscylująca w przedziale 600-660 tys., o ponad sto tysięcy przewyższała liczebność Polaków w wielu 15-20 lat. Rodaków najmłodszych, tych urodzonych w trakcie roku 2024 – mieliśmy już tylko ćwierć miliona. Mediana wieku w Polsce to 43 lata, choć jeszcze dziewięć lat temu wynosiła 39,9.

SZYBKO STARZEJĄCA SIĘ POPULACJA. Dodajmy do tego głębokie zmiany społeczne, spowodowane migracjami ze wsi do miast, zwłaszcza dużych ośrodków (największe polskie metropolie to w zasadzie jedyne miejsca na mapie kraju, w których przybywa mieszkańców), by otrzymać smutny obraz społeczeństwa, w którym przybywa tych, którzy potrzebują opieki w jesieni życia, i ubywa takich, którzy takiego wsparcia mogliby seniorom udzielić.

PAŃSTWO POLSKIE, zwłaszcza samorządy, jest na te zmiany kompletnie nieprzygotowane. Najtrudniejsza sytuacja panuje w miastach powiatowych, z których młodzi wyjeżdżają na studia. Przykład: 70-tysięczna miejscowość na Dolnym Śląsku. Przeszło dwustu seniorów zgłoszonych do miejskiego ośrodka pomocy społecznej, który dysponuje tylko siedmioma pracownicami terenowymi. Brakuje także miejsc w domach pomocy społecznej. Wedle ostrożnych szacunków, zapotrzebowanie o około 25 tysięcy przekracza podaż.

KRAJOWE WSKAŹNIKI DZIETNOŚCI również zbliżają się do globalnych minimów. W 2025 r. na jedną Polkę w wieku rozrodczym przypadło statystycznie 1,03 dziecka, co oznacza dramatyczny spadek z 1,39 w 2020 roku – daleko od poziomu zastępowalności pokoleń(około 2,1).

© MAREK RABIJ

przekształcają się w autoagresję albo skierowują się na innych. To przecież nierzadka sytuacja, że ktoś, kto zaznał agresji od swoich rodziców, staje się wymagający i agresywny wobec innych, chociażby współpracowników czy własnych dzieci. Chcę powiedzieć, że jednak lepiej być w kontakcie z własnymi emocjami, także tymi negatywnymi. Rozumiejąc je i mając w nie wgląd, nie pozwolimy, by nami rządziły.

Przebaczenie nie może być oparte na stłumieniu gniewu. Potrzebny jest ów tor drugi: opiekunka matki powinna dać sobie prawo do gniewu za niegdysiejsze krzywdy i poczucia niesprawiedliwości: „To ty byłaś dla mnie zła, a ja mam teraz być dla ciebie dobra?”.

Rozmawiać o tym z matką?

To ma być rozmowa z matką, ale nie tą realną, bezradną i cierpiącą, lecz z tą, którą nosi się w swoich emocjach, do której ów żal i agresja są adresowane. A więc byłby to swoisty monolog skierowany do tej osoby, którą nosimy w sercu.

Czasami w tego typu pracy pomocny może być psychoterapeuta, czasem list do owej krzywdzicielki czy krzywdziciela sprzed lat. List, którego nigdzie nie wyślemy, ale pomoże nam spotkać się z samym sobą. To byłaby osobista autopsychoterapia, która ma pomóc rozliczyć się z traumami z przeszłości.

W sumie dlaczego tylko robić to wewnętrznie? Rodzic przekazu nie zrozumie?

Może i zrozumie, tylko co on miałby z tym zrobić? Proszę to sobie wyobrazić: przed matką, która ma 76 lat, staje jej 50-letnia córka i robi wyliczankę: „Gdy miałam 5 lat, przestałaś się mną zajmować, bo zajęłaś się moją siostrą, która właśnie przyszła na świat, a gdy oblałam klasówkę, to zamiast mnie wesprzeć, robiłaś mi awantury. I w ogóle nie miałaś dla mnie czasu. Nie czułam się kochana!”. Czy takie wypominki przyniosłyby tej pięćdziesięciolatce ulgę?

Nie przyniosą?

Ale czy to pomoże dorosłemu dziecku? Po pierwsze wątpię, czy matka agresywnie atakowana jest w stanie wtedy prosić o wybaczenie. A po drugie, prawdopodobnie wpadnie w poczucie bezradności i winy, z którymi nie będzie miała co zrobić. Wtedy ta córka poczuje, że swoim atakiem skrzywdziła matkę. I krzywdo-wina rozkręci się dwuosobowo. Nie wydaje mi się, by wyrzucanie gniewu na seniorkę czy seniora w trybie aktu oskarżenia miało sens.

Co jeszcze da takie napisanie listu?

Lepszy kontakt z samym sobą, z własnymi emocjami, z tym uwewnętrznionym teraz dzieckiem, które było krzywdzone. Skonfrontuje się tego zranionego chłopca czy dziewczynkę z przeszłości z tym kimś, kim jest się teraz, tego kilkulatka z dziś już dorosłą osobą. Zatroszczyć się, okazać uwagę i czułość. Spotkanie z dzieckiem, które w sobie mamy.

No nie wiem.

↦

↦ Proszę pomyśleć: przeszłość jest w nas, także dzisiaj. Więc może dojść do spotkania z tym kimś, kim byliśmy kiedyś – dziewczynką czy chłopcem. Taka konfrontacja z ówczesnymi uczuciami może mieć sens. Bo tę troskę, której wówczas nie dostaliśmy od rodzica, adresujemy do dziecka teraz sami. I takie spotkanie może przynieść głęboką ulgę.

Na jakiej zasadzie działa ten mechanizm?

Ulgę przynosi nadanie nowych znaczeń doświadczeniom z przeszłości. Więc ten list napisany do rodzica, ale do niego niewysłany, ma być budowaniem siły wewnętrznej. Tą drogą można zrobić remanent życiowy. Po co? By pomóc niegdysiejszym ranom w zabliźnianiu się. Ten, kto nie dostał bezpiecznej miłosnej więzi w dzieciństwie, może w swojej dorosłości być też nieczuły i agresywny wobec siebie.

Już to widzę: osoba opiekująca się starszym rodzicem, będąca w kieracie życia, znajduje jeszcze moment na to, by wykonać tę wewnętrzną pracę.

Słyszę tę ironię w pani głosie. Ale jednak nie sądzę, że tu chodzi o brak czasu. To raczej emocjonalna trudność w podjęciu takiej pracy. Zachęcałbym do sprawdzenia, co jest do przepracowania. To zwiększa szansę, by zaakceptować siebie ze swoimi niegdysiejszymi urazami, odrzuceniami i porażkami. I bazować na tym, co dobre, możliwe, chciane. To nie ma być dodatkowy jednorazowy wysiłek, tylko sposób radzenia sobie z czymś, co jest problemem. I warto jeszcze pamiętać, że nie jesteśmy sami i z tych spraw sprzed lat możemy się zwierzyć mężowi, żonie, przyjacielowi, komuś zaufanemu. Wiem, że ta droga bywa skuteczna.

Istnieją zranienia nie do przepracowania?



GRAŻYNA MAKARA

PROF. DR HAB. BOGDAN DE BARBARO jest psychiatrą i psychoterapeutą, zajmuje się terapią rodzin.

Nie jestem na tyle naiwny, by twierdzić, że wszystko jest możliwe i że jesteśmy wszechmocni we władaniu własnymi emocjami i samopoczuciem. Poza tym nie miałoby sensu powtarzanie w kółko tej samej metody, gdyby się okazała nieskuteczna. Ale to nie znaczy, że mamy popadać w drugą skrajność i rezygnować z sensownego dbania o siebie. I nie chodzi mi tu o dbanie, które ma prowadzić do zachwytu nad samym sobą, lecz o to, żeby relacja z rodzicami nie była zniewolona dawnymi urazami i by osłabić ich destruktywną moc. Dbając o siebie przy opiekowaniu się innymi, możemy sprawniej działać.

Znajomy był w dzieciństwie bity przez ojca i do dziś, choć ma już 80 lat, mówi o nim, że był potworem. Kiedy jednak ten ojciec zachorował, opiekował się nim troskliwie do jego ostatnich dni. Sam jest dobrym ojcem dla własnych dzieci.

Ta sytuacja budzi moje głębokie uznanie, bo ten człowiek potrafił przepracować swoją krzywdę, a musiała ona być głęboka, skoro zapamiętał ojca z dzieciństwa jako potwora. I świadomie idzie drogą dobrych uczuć. Można powiedzieć, że realizuje antyscenariusz: nie przekazuje swoim dzieciom tego, co zostało w nim zapisane. Ale przecież nie każdego stać na tego rodzaju przepracowanie traumy z dzieciństwa, zwłaszcza gdy zachowanie rodzica można by uznać za przestępcze. Nie daję sobie prawa do wygłaszania sloganów o zaletach wybaczenia, nie potrafię wskazać granicy między tym, co jest do udźwignięcia poprzez przebaczanie, a co nie.

To przebaczenie jest czymś w relacjach międzyludzkich pożądanym.

Wierzę, że nasze życie budujemy na chwiejnej równowadze między wartością miłości a wartością wolności. Bo miłość będzie sprzyjać bliskości i trosce w zachowaniu równowagi między dawaniem i braniem. Ale jeśli tej miłości będzie za dużo, to doprowadzi do zniewolenia. Z kolei wolność tworzy fundament rozwoju własnego. Jeśli jednak ta wolność nie będzie uwzględniać i szanować Innego, stanie się swawolą.

Na tragedię Hackmana, od której zaczęliśmy naszą rozmowę, możemy więc spojrzeć przez pryzmat „ile miłości – ile wolności" jak na kolejną odsłonę pytania o fundament naszej egzystencji. I podobnie możemy podejmować pytanie o to, jak powinna wyglądać relacja między osobami dorosłymi a ich rodzicami. Sensowne rozwiązanie znajdziemy poprzez zbudowanie odpowiednich proporcji między miłością a wolnością. Im bardziej świadomie, tym lepiej. Lepiej dla nich, lepiej dla nas.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

ELIZA

Kącka:
Takie numery



Przesiadam się z tramwaju w tramwaj przy stacji Pole Mokotowskie. Coś obmyślam, przebiegam na drugi peron, nieprzytomna. Nadjeżdża tramwaj 17, a ja się budzę bez torby. Odjazd, a przez szyby ruszającego widzę, że startuje i tramwaj 19 z moją torbą, nie dobiegnę. Przez charkot szyn słyszę: „Proszę pani, proszę pani!". Patrzę: stoi staruszka z moją torbą, lecę. „Jak tak można!". Przepraszam. „Pilnować! Pani ma tożsamość telewizyjną, a oszustów nie brak. Jeszcze ktoś się poda za panią?". Śmieję się. „Tak się zdenerwowałam! Jeszcze by pani nagrodę zabrali!". Śmieję się. „A co!". „Bardzo pani dziękuję". „Autobus bym zmusiła do jazdy za panią. Ale tramwaj?". „Ech". „Pani Elizo, takie numery to w moim wieku". Znikła w przejściu podziemnym.

Tramwaj 14, Plac Politechniki. Dosiada się dwójka dwudziestolatków. On: „Ej, a Trzech Króli to obowiązkowe święto? Czy dowolne?". „Jak: dowolne?". „No, czy grzech jest, jak nie idziesz". „Chyba można nie iść". „Nie wiesz? Ty?!". „I tak muszę, babcia nie może żyć bez święconej kredy". „Aaa, no tak, napis". „W zeszłym roku ojciec zapomniał i mu wybaczyła dopiero w Wigilię". „Niezła". „Babcia mówi, że drzwi mają być katolickie. I że napis chroni". „Przed...?". „Chorobami i tak dalej". „Ona ciągle choruje!". „Bez napisu już by nie żyła". „Aaa. A dlaczego literki K, M, B się sumuje?". „Ha ha, to nie plusy, to krzyżyki". „O, ja głupi". „Jakbyś tak babci... Rok bez obiadu".

Rozmowa poranna z tatą. Nie poznaje, wraca do Lidzbarka z dzieciństwa: „Ostatni rok mojej wyprawy". Mama: „Wyprawiasz się i wyprawiasz". „Dajcie mi klucze". Ja: „Do domu?". „Do auta". „Kluczyki?". „Klucze. Chcę do Lidzbarka". „Jesteś w Lidzbarku. Nie masz już samochodu". „Chcę klucze. Jadę do mamy Weroniki". „Gdzie?". Zirytował się: „Głupie, do mamy. Na wysokie piętro". Ja: „Tam mieszkała?". „Ja tam mieszkam. Nie przeszkadzajcie". „Jesteś w domu". „Nie – smutnieje – ciągle ktoś przeszkadza. Ale blisko, blisko". „Co blisko?". „Mama".

Jazda kolejką do Mińska Mazowieckiego. Tuż dwie w moim wieku. Pierwsza: „Widziałaś, celebryci piszą książki. Tomiki poezji, nie tylko biografie". „Widziałam. Ale wiesz, że to sztuczna inteligencja zmachała? Ewentualnie ktoś na zlecenie?". „Może. Niekoniecznie, ale możliwe. Chcę poruszyć na lekcji...". „Po co? Chcesz temu robić reklamę?". „Ej, co ty, oni wiedzą szybciej niż ja". „Straszne". „No trudno, ja mam na polskim trzy tematy: historia literatury jest niepotrzebna, sztuczna inteligencja jest fascynująca, piszę i chcę wydać książkę". „Matko! A nie możesz powiedzieć, że ty tu rządzisz i wracamy do Mickiewicza?". „Nie". „Dlaczego?!". „To już na nich nie robi wrażenia". „Co? Władza?". „Jaka tam władza. My".

Wigilia, ranek, powrót tramwajem z Placu Unii. Na przystanku babcia z wnukiem. „Babciaaa, a dlaczego my ubieramy choinki?". „Bo tak się podoba Panu Bogu". „A Jezus miał choinkę?". „Pan Jezus leżał w żłobie pod choinką. W tym miejscu co roku stawiasz żłóbek". „A drugi na stole". „Na stole kładziesz Dzieciątko. Na sianku". „To Pan Jezus leżał na stole?!". „Nie, ale w ten sposób wspominamy, że wszystko to jego dary". „Śledzie też?". „Oczywiście". „To dlatego dziadek mi każe jeść śledzia?". „Tylko kawałek". „A dlaczego prezenty przynosi święty Mikołaj, nie Pan Jezus?". „Bo?". „Bo mówiłaś, że wszystko jest od niego. To mógłby załatwiać prezenty". „Nie kombinuj!". „A Pan Jezus się rodzi co roku na nowo?". „Tak". „To jak zdąża dorosnąć?".

Powrót z Józefowa, wysiadka: Warszawa Śródmieście. Dwie torby, kwiaty, a tu raptem podchodzi kobieta o lasce z prośbą, by pomóc jej wysiąść z kolejki. Młody do mnie: „Potrzymam pani bukiet". Takich grzeczności nie znaliśmy.

Kolejka do Ożarowa Mazowieckiego. Gość pyta, czy to już druga strefa biletowa. Potwierdzamy. Idzie po bilet, wraca. „Na Islandii to ja takich problemów nie miałem". Sąsiadka na ekscytacji: „Islandia!". „Nie jest łatwo, jakoś dajemy tam radę. Z Poznania jestem, dawno wyjechałem. Miałem kryzys. I wiedziałem, że mnie tylko surowość wyleczy. Ludzi, krajobrazu. Żonie narobiłem kłopotów. Przeżyliśmy". Pytam: „Lód leczy?". „A żeby pani wiedziała. Leczy". „Tak myślałam".

Wskakuję do tramwaju 16, a tu zmiana trasy. Raptem na Ochotę, nie na Mokotów. Wysiadam, a tuż za mną starszy pan, bardzo rozdrażniony. Zbiegam do metra, tracę go z oczu. Wysiadam na stacji Metro Politechnika, wybiegam na powierzchnię. Czekam przy wiacie na przesiadkę, a tu nadchodzi mój kompan. „Depczemy sobie po piętach". Uśmiecham się: „Ano". „Ruchomy labirynt z tego miasta". „Zawsze to wyzwanie". „A pewnie, nie narzekam, jakbym tak siedział w chałupie, nie jeździł do córki, to bym zdziadział. A tak codziennie nieprzewidywalne". „He he". „Ale wie pani, tych zmian jest o gram za dużo". „Tak". „Córa mówi, że przez to się traci więź. Z miastem, z ludźmi. I dobrze mówi". „Dobrze". „Ja to nazywam przyczepnością. Tracę przyczepność. Trochę jak na Księżycu. I dzisiaj tak szaro, chłodno, jak tam".

Trzebię piwnicę po zmarłej cioci. Wyrzucam pakiet makulatury. „Pani tu mieszka?" – ktoś zza pleców. Oglądam się: „Nie". „O, to pani poczeka!". Przyleciał z książką: „Ma pani fanki w naszej wspólnocie. Mieszkaniowej". „No proszę". „Ocieplam stosunki". „Świetnie". „Przepraszam, że tak przy śmietniku". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

KRAJ

ZŁOTY PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Okres niemowlęcy mają za sobą. Wszystko wskazuje na to, że rola kryptowalut w gospodarce będzie tylko rosnąć. Nadszedł czas, by przygotowała się na nie także Polska.

MAREK RABIJ

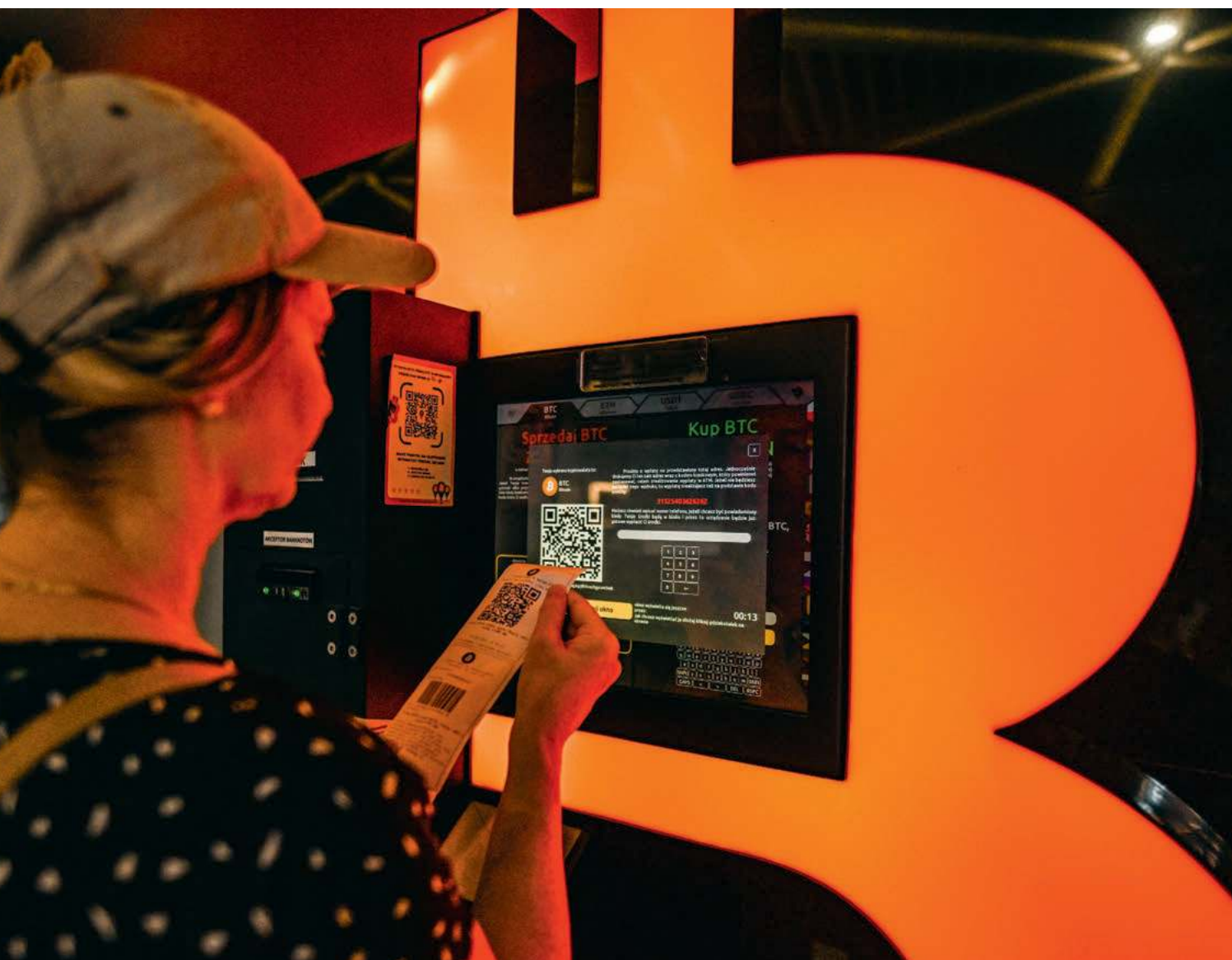

Gdyby nie znużenie, jakie budzą kolejne odsłony awantury między rządem a prezydentem, można by odnieść wrażenie, że niedawny spór o weto głowy państwa dla ustawy regulującej polski rynek kryptowalut to jedno z najważniejszych politycznych wydarzeń minionego roku. Aktorzy tego spektaklu sięgnęli po najbardziej sugestywne środki wyrazu współczesnego teatru politycznego. Było nawet niejawne posiedzenie Sejmu, na którym rząd zapoznawał posłów z ponoć wrażliwymi informacjami o kryptozagrożeniach dla Polaków i dla polskiej demokracji. Atmosferę podgrzał wcześniej prezydent Nawrocki, który w zawetowanej ustawie dostrzegł zagrożenie dla rodzimej przedsiębiorczości i swobód obywatelskich. Premier nie pozostał dłużny i zapowiedział, że nie odpuści tematu, bo gdy stawką jest bezpieczeństwo Polaków, rząd nie pójdzie na kompromis.

Waluta polityczna

Zabawa potrwa zapewne jeszcze długo, bo w sprawie kryptowalut nie chodzi ani wyłącznie o bezpieczeństwo, ani tylko o swobodę działalności gospodarczej. Na dalszym planie jest m.in. wdrożenie unijnych regulacji dla rynku krypto, zawartych w kompleksie rozporządzeń MiCA (skrót od Markets in Crypto-Assets Regulation), wypracowanych i zaleconych w ostatnich latach przez Brukselę. Kryptowaluty to dziś czyste polityczne złoto, gwarantujące obu stronom polsko-polskiej wojny hojną wypłatę w formie polaryzacji.

Dla środowisk, w których wyborców łowi Konfederacja – i w stronę których łapczywie spogląda teraz zarówno część PiS, jak też obozu rządzącego – krypto to niemal wyznanie wiary, symbol wolnościowych aspiracji, w których państwo istnieje tylko w wersji minimum, pozbawione wyłącznego prawa do emitowania waluty i kontroli nad obiegiem pieniądza. Na drugim biegunie w klasycznych politycznych wyobrażeniach plasują się propaństwowcy, dla których bitcoin, ethereum, solana, XRP, dogecoin i przeszło dziesięć tysięcy innych narzędzi płatniczych spod znaku technologii blockchain (patrz sidebar) – to symbol całego zła, które nagromadziło się w sieciowej sferze naszej codzienności. Sceptycyzm ten jest uzasadniony, bo nieuregulowanym światem kryptowalut regularnie wstrząsają skandale związane z upadkiem kolejnych giełd handlujących takimi aktywami. Największe z nich kończą się stratami inwestorów, idącymi w dziesiątki miliardów dolarów.

Problem w tym, że prosty podział na świat, w którym kryptowaluty są albo czystym złotem, albo czystym złem, z każdym rokiem coraz słabiej oddaje polską rzeczywistość. Krypto coraz częściej łączy, niż dzieli.

Ilu Polaków inwestuje w kryptowaluty? Do wyników sondaży ilustrujących skalę popularności takich inwestycji w Polsce warto podchodzić z dystansem, bo odpowiedzi na to pytanie najczęściej udzielają żywotnie zainteresowani tym, by była ona jak największa. Badanie przeprowadzone kilka miesięcy temu na zlecenie jednego z kluczowych graczy tej branży, kryptogiełdy Binance, szacuje polską populację posiadaczy kryptowalut już na 4 mln osób. Jeśli to prawda, to rodzima kryptospołeczność uległa potrojeniu w ciągu zaledwie dwóch lat, bo jeszcze w 2023 r. Polski Instytut Ekonomiczny podawał liczbę niespełna 1,2 mln osób. Na koniec 2025 roku – to już niedawne przewidywania amerykańskiej firmy Chainanalysis badającej światowe rynki krypto – liczba posiadaczy kryptowalut miała zbliżyć się w Polsce aż do 7 mln.

Górnicy do bitcoinów

Ankieta, którą w sierpniu ub. roku przeprowadziła giełda Kraken, idzie jeszcze dalej i sugeruje wręcz, że polski dylemat inwestycyjny sprowadza się obecnie do wyboru: krypto albo wcale. Wśród dwóch tysięcy uczestników badania, najwięcej, bo aż 36,4 proc. zadeklarowało brak inwestycji kapitałowych. Reszta najczęściej lokowała kapitał właśnie w kryptowalutach (łącznie 30,9 proc. badanych). Akcje kupowało 21,5 proc., a w nieruchomości inwestowało tylko 15,2 proc. Zleceniodawcy badania pozwolili sobie na tej podstawie wysunąć nawet śmiałą tezę, że lokowanie kapitału w kryptowalutach stało się w Polsce zjawiskiem masowym. Ich służbowy optymizm mocno korygują doradcy podatkowi, którzy na podstawie zapytań o pomoc przy rozliczaniu takich transakcji, szacują grono poważnych kryptoinwestorów, czerpiących z tego regularne dochody, najwyżej na 150 tysięcy osób.

Obserwacje doradców potwierdzają jednak inną, o wiele ważniejszą prawidłowość. Kryptowaluty w szybkim tempie przestają być nad Wisłą domeną młodych mężczyzn, związanych zawodowo z programowaniem i komputerami. W podkaście „Pismo do słuchania" Marcelina Szwed-Ziemichód, prawniczka, która od 2016 r. pracuje w branży blockchain, rysuje szeroką panoramę społeczną tej grupy i rozmaite motywacje, często dalekie od stereotypowych wyobrażeń o dopaminowym kopie, który ma jedynie pogłębiać głód kryptoryzyka. Są tu więc właściciele kwiaciarni, którzy część oszczędności zdeponowanych w banku zamieniają na bitcoiny. Są emeryci, którzy fundują wnuczkowi portfel krypto na start w dorosłość. Trafił się jej nawet górnik, który doszedł do wniosku, że skoro na co dzień fedruje węgiel, to po godzinach spróbuje kopać kryptowaluty. Zdarzają się w tej grupie i osiemnastolatkowie, i osiemdziesięciolatkowie, ludzie pióra i ludzie od kodów cyfrowych, miasto i wieś.

Inwestycje w takie instrumenty finansowe nie muszą oznaczać gigantycznych nakładów. Firmy zarejestrowane w polskim rejestrze VASP, obejmującym dostawców usług aktywów wirtualnych, wykazały transakcje o wartości przekraczającej 28 mld euro w 2024 r., ale ta kwota odzwierciedla bardziej ruch w tym interesie niż sumaryczną wartość polskich inwestycji i oszczędności kryptowalutowych, szacowanych na równowartość około 2 mld zł. Częściowo potwierdzają to wyniki wspomnianej wyżej ankiety na zlecenie giełdy Kraken, w której przeszło co piąty uczestnik deklarował, że w kryptowalutach trzyma od 1 do 5 proc. oszczędności. Aż 41 proc. ulokowało w nich od 6 do 20 proc. swoich aktywów finansowych. Zdeklarowani kryptoinwestorzy, którzy w tej formie przechowują wszystkie oszczędności, stanowili zaledwie 1,4 proc. badanych. Jeśli za podstawę dla dalszych obliczeń przyjąć statystyki NBP, który podaje, że przeciętny Polak z grupy posiadającej jakąś poduszkę finansową zgromadził średnio ok. 35 tys. zł, można założyć, że przeciętna wartość polskiej kryptoinwestycji oscyluje w przedziale od 350 do 7000 zł. ↦

Bitomat w Rzeszowie, 4 sierpnia 2024 r.

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Koniec świata fiatów

↦ Znamienne, że zainteresowanie kryptowalutami rośnie nad Wisłą przy niesłabnącym zaufaniu do złotego. Przeszło dwie trzecie Polaków nadal nie chce słyszeć o porzuceniu rodzimej waluty na rzecz euro – i jest ich niemal dwa razy więcej od tych, którzy kryptowaluty uważają za bezpieczne. W kraju polski złoty cieszy się opinią lepszą niż w świecie, gdzie uchodzi po prostu za solidnego średniaka. Stoi za nim relatywnie duży kraj o zdrowej gospodarce i finansach publicznych w niezłej kondycji, ale to wciąż za mało, by inne państwa i zagraniczni inwestorzy chcieli przechowywać swoje nadwyżki w naszej walucie.

W świecie gospodarki realnej wartość pieniądza stanowi odzwierciedlenie poziomu zaufania do emitującego go państwa. To podstawa współczesnego światowego systemu monetarnego, który już od ponad półwiecza opiera się na tzw. fiatach, czyli pieniądzu, którego wartość jest pochodną renomy kraju-emitenta, a nie zasobów złota.

Frank szwajcarski cieszy się od lat opinią „najstabilniejszego pieniądza globu", co w tym przypadku oznacza nie tyle brak dużych wahnięć kursowych, ile powszechne przekonanie, że w niepewnych czasach posiadacze dużej gotówki będą lokować swoje oszczędności właśnie w helweckiej walucie – i w tym sensie dość łatwo przewidzieć, jak jej kurs zareaguje na poważne geopolityczne czy gospodarcze turbulencje.

Stabilność amerykańskiego dolara to z kolei prosta funkcja pozycji USA na świecie i kluczowej roli waluty tego kraju w handlu międzynarodowym. Największa gospodarka globu, odpowiadająca za niemal 27 proc. światowego PKB, z pewnością nie ogłosi z dnia na dzień trwałej niewypłacalności (cykliczne „shutdowny" administracji federalnej to raczej ustrojowy folklor tego państwa niż oznaka trudności fiskalnych). Inwestorzy mogą więc ze spokojem kupować amerykańskie obligacje i lokować swoje nadwyżki w dolarze (choć trzeba też uczciwie przyznać, że udział waluty USA w światowych rezerwach ostatnio topnieje).

Jak czytać w tym kontekście rosnącą popularność kryptowalut, które obecnie odpowiadają za około 2 proc. globalnego obiegu pieniądza i w dodatku podwoiły ten udział w ciągu zaledwie pięciu ostatnich lat? W co naprawdę inwestują ludzie kupujący bitcoiny, ethereum i inne alternatywne środki płatnicze, zamieniając na nie waluty emitowane i gwarantowane przez państwa? Wskazanie na pragnienie szybkiego wzbogacenia się dzięki aktywom, które w ciągu kilku minut potrafią zyskać na wartości nawet kilkadziesiąt procent, nie będzie na pewno strzałem w płot, ale też nie wyczerpuje tematu. Kursowa nieprzewidywalność kryptowalut to także ich największa słabość. W zeszłym roku rynek krypto stracił na wartości ponad bilion dolarów, z czego większość wyparowała w ostatnich trzech miesiącach. Dla wielu nabywców istotna jest także dywersyfikacja zasobów, tym ważniejsza, że dająca niemal pełną niezależność od głównego nurtu gospodarki, w której za sznurki pociągają państwa i wielcy inwestorzy. W sposób nie zawsze uczciwy i przejrzysty.

Polska populacja posiadaczy kryptowalut szacowana jest już na 4 mln osób. Jeśli to prawda, to rodzima kryptospołeczność **uległa potrojeniu w ciągu zaledwie dwóch lat.**

Niepewne jak w banku

Zapewne nieprzypadkowo narodziny kryptowaluty zbiegły się w czasie z kryzysem finansowym wywołanym upadkiem banku Lehman Brothers we wrześniu 2008 r., który poprzedził krach amerykańskiego rynku hipotecznego. Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacował potem, że pomoc dla banków, którym groziła niewypłacalność, pochłonęła na całym świecie ponad 2,5 bln dolarów. Gdyby rachunek za kryzys rozszerzyć o głęboką przecenę akcji i innych papierów wartościowych, bilans wzrósłby do około 12,8 bln dolarów, a i tak nie obejmie on trudnych do podliczenia kosztów społecznych. Na całym świecie wskutek gospodarczych zawirowań zainicjowanych amerykańskim krachem źródło utrzymania straciło, jak szacuje Międzynarodowa Organizacja Pracy, co najmniej 28 mln osób.

Kryzys finansowy wywołali przedstawiciele profesji, którą przez dekady uważano za zawód zaufania publicznego. Ufność w profesjonalizm bankowców i skuteczne mechanizmy kontrolne samych banków była tak wielka, że w niektórych krajach, w tym także w Polsce, ich wewnętrzna dokumentacja miała przed sądem status równy dokumentom urzędowym (np. dopiero 7 lat po upadku Lehmana rodzime sądy przestały z automatu nadawać klauzule wykonalności bankowym tytułom egzekucyjnym). Kryzys finansowy z przytupem zakończył więc nie tylko pierwszą dekadę XXI wieku. Milionom ludzi na całym świecie uświadomił też, że powiedzenie „pewne jak w banku", obecne również w językach angielskim, niemieckim czy szwedzkim, było w istocie makabrycznym żartem.

Max Keiser, ekscentryczny amerykański inwestor, który po kryzysie finansowym stał się jednym z najzagorzalszych orędowników bitcoina, tak argumentował w 2011 r. sens istnienia równoległego, alternatywnego pieniądza obok walut narodowych. „Wall Street to oszuści. Banki centralne to oszuści. (...) Żyjemy w erze finansowych terrorystów, dżihadystów bankowości, którzy są tu po to, żeby was zabić i samemu zginąć. Są trenowani przez takie medresy jak Princeton, Harvard czy Yale. Zamiast w Koran, wierzą w Adama Smitha, którego błędnie odczytali i którym próbują uzasadnić swoje samounicestwienie".

Keiser bezpośrednio pił do szokujących ustaleń dziennikarzy i analityków, którzy z rosnącym zdumieniem odkrywali, że najważniejsze persony amerykańskiej bankowości miały w poważaniu stabilność sektora finansowego; interesowała ich jedynie wysokość rocznych premii. Na Wall Street nikt po prostu nie wierzył, że za ordynarne spekulacje ktoś poniesie odpowiedzialność – i co gorsza, nie było to przekonanie pozbawione podstaw. Uratowane za pieniądze podatników banki i towarzystwa ubezpieczeniowe, umoczone w toksyczne amerykańskie aktywa hipoteczne, zaraz po ugaszeniu największego pożaru przyznały swoim szefom wielomilionowe premie i wróciły do zasady *business as usual*. Aby rozkręcić narodowe gospodarki, większość państw przystąpiła do „drukowania pie-

niędzy" na niespotykaną dotąd skalę, czyli obniżyła stopy procentowe. Koszty tej resuscytacji spadły w głównej mierze na drobnych ciułaczy, którym odsetki od lokat bankowych nie pokrywały czasem nawet inflacji. Keisera – który zgromadził kryptoaktywa wyceniane jeszcze kilka miesięcy temu na ponad 300 mln dolarów – trudno więc posądzać o analityczny dystans do tej tematyki. Bez wątpienia trafnie odczytywał jednak emocje i motywacje towarzyszące sporej grupie inwestorów kupujących kryptowaluty. I im, i jemu marzył się świat, w którym prawo do emisji waluty nie będzie już wyłącznym przywilejem państw i w którym banki centralne nie będą mogły „psuć" pieniądza, bawiąc się stopami procentowymi.

Zjeść ciastko i mieć ciastko

Nawet kryptoinwestorzy pragną jednak odrobiny bezpieczeństwa i przewidywalności. W odpowiedzi na takie zapotrzebowanie powstają stablecoiny, kryptowaluty o kursie sztywno powiązanym najczęściej z kursem dolara amerykańskiego lub euro, rzadziej z rynkową wartością określonego koszyka papierów wartościowych lub z kursem wybranych surowców. W tej grze chodzi głównie o to, by zjeść ciasto i je zachować: połączyć przewidywalność i bezpieczeństwo typowe dla klasycznego pieniądza z zaletami jego kryptoalternatywy, za którą nie stoi, a zatem też nie kontroluje jej żadne państwo.

W odróżnieniu od klasycznej kryptowaluty, „emitowanej" w łańcuchu technologii blockchain, stablecoiny mają zwykle określonego emitenta, najczęściej prywatnego, który zazwyczaj musi też stworzyć dla nich rezerwy w postaci zapasu prawdziwej gotówki. Stablecoin staje się wówczas w zasadzie wirtualną wariacją klasycznej waluty, będącej dla niego punktem kursowego odniesienia, łączącą największe atuty obu środków płatniczych. W krajach dotkniętych hiperinflacją, jak Wenezuela czy Zimbabwe, gdzie lokalnej walucie nie ufa w zasadzie już nikt, powiązane z dolarem stablecoiny przejęły sporą część obiegu pieniężnego.

Nic więc dziwnego, że z rosnącym zaniepokojeniem zerkają w tę stronę także państwa. Rachuba jest prosta: każdy dolar, euro czy juan, który zostaje zamieniony w bitcoina czy inną kryptowalutę, trafia w ten sposób poza sferę oddziaływania banku centralnego. Dopóki kryptowaluty odpowiadają za niewielki wycinek obiegu finansowego danego kraju, dopóty nie stanowi to wielkiego problemu. W zależności od potrzeb bank centralny może oddziaływać na rodzimą gospodarkę, stymulując popyt poprzez obniżkę stóp procentowych (taniejąc wtedy kredyty i maleje opłacalność przetrzymywania pieniędzy na lokatach), lub studząc gospodarkę przez podwyżki stóp.

Szybko rosnące zainteresowanie kryptowalutami sprawia jednak, że szefowie banków centralnych coraz częściej muszą zadawać sobie pytanie, kiedy w poletku, które dotychczas mieli na wyłączność, pojawi się dostatecznie dużo kryptowalut, by sama ich obecność w obiegu pozbawiła ich poczucia sprawczości. Bo gdyby tempo, w jakim globalny rynek kryptowalutowy rósł w minionej pięciolatce, utrzymało się do połowy stulecia, to w latach 60. XXI w. banki centralne miałyby pod kontrolą mniej niż połowę globalnego obiegu pieniężnego! Podwyżki lub obniżki stóp mogłyby w tej sytuacji stać się pustym gestem. Tańszy kredyt lub korzystniejszą lokatę dałoby się znaleźć po drugiej stronie regulacyjnego lustra.

Czekając na e-złotego

Narodowy Bank Polski do świata kryptowalut podchodzi na razie z ortodoksyjną nieufnością. W publikacjach dla klientów podkreśla ich spekulacyjny charakter, ostrzega przed brakiem gwarancji dla kryptoaktywów oraz iluzoryczną w gruncie rzeczy kontrolę państwa polskiego nad systemem rozproszonym zgodnie z logiką blockchain. Na pojawiające się regularnie sugestie, by część polskich rezerw złota zamienić w bitcoina, NPB również odpowiada konsekwentnie – nie.

W niezbyt odległej przyszłości możemy jednak być świadkami emisji własnej e-waluty przez polski bank centralny. Tzw. CBDC (ang. *Central Bank Digital Currency*) z roku na rok zyskują coraz liczniejszą rzeszę zwolenników jako bezpieczny, w pełni kontrolowany przez państwo ekwiwalent bitcoina czy któregoś ze stablecoinów. Nasz hipotetyczny e-złoty byłby zapewne tym samym, czym są jego krewniacy z Chin (e-juan), Nigerii (e-naira) oraz Bahamów (Sand Dollar), czyli oficjalną cyfrową walutą Polski, akceptowaną z urzędu na terenie całego kraju i na sztywno związaną – jeden do jednego – z kursem zwykłego złotego. Takie e-depozyty byłyby gwarantowane przez państwo na podobnych warunkach jak zwykłe, zaś NBP zarządzałby podażą e-złotego tak samo jak tradycyjną walutą.

E-złoty mógłby się bardzo przydać w skutecznej polityce socjalnej czy kulturalnej. Wypłacane w nim zasiłki np. na dzieci mogłyby mieć zaszyte ograniczenia, które pozwalałyby wydać udostępnione środki jedynie na wskazane potrzeby. W tym celu polska klasa polityczna musi jednak wcześniej wyjść poza schemat, w którym o kryptowalutach rozmawia się głównie w kontekście skrajnych zagrożeń. ©℗ MAREK RABIJ

Jak działa bitcoin

- **BLOCKCHAIN** to pojęcie nieodłącznie związane z kryptowalutami. To zdecentralizowana technologia zapisu danych, w której każda transakcja jest automatycznie odnotowywana na wielu niezależnych nośnikach informacji. Każdy kolejny zapis odnosi się do poprzedniego i w ten sposób potwierdza wiarygodność operacji.

- **NAJPOPULARNIEJSZA** kryptowaluta świata, istniejący od 2009 r. bitcoin, jest „emitowana" właśnie w ten sposób. Tzw. kopanie bitcoinów w uproszczeniu polega na udostępnianiu mocy obliczeniowych własnych maszyn na potrzeby systemu blockchain, w którym zapisane są informacje o tej kryptowalucie. Przy obecnym poziomie zaawansowania tego systemu i jego zapotrzebowaniu na moce obliczeniowe (do przeprowadzenia jednej transakcji z użyciem bitcoina potrzeba ok. 330 tys. razy więcej energii elektrycznej niż do jednego zakupu kartą w terminalu płatniczym), „wykopanie" jednego bitcoina na zwykłym laptopie zajęłoby kilkadziesiąt tysięcy lat.

- **PODAŻ BITCOINA** jest ograniczona do 21 mln, w dodatku każda kolejna jego emisja, odbywająca się co cztery lata, jest mniejsza od poprzedniej. Ostatni bitcoin zostanie wykopany w 2140 r. ©℗ MR

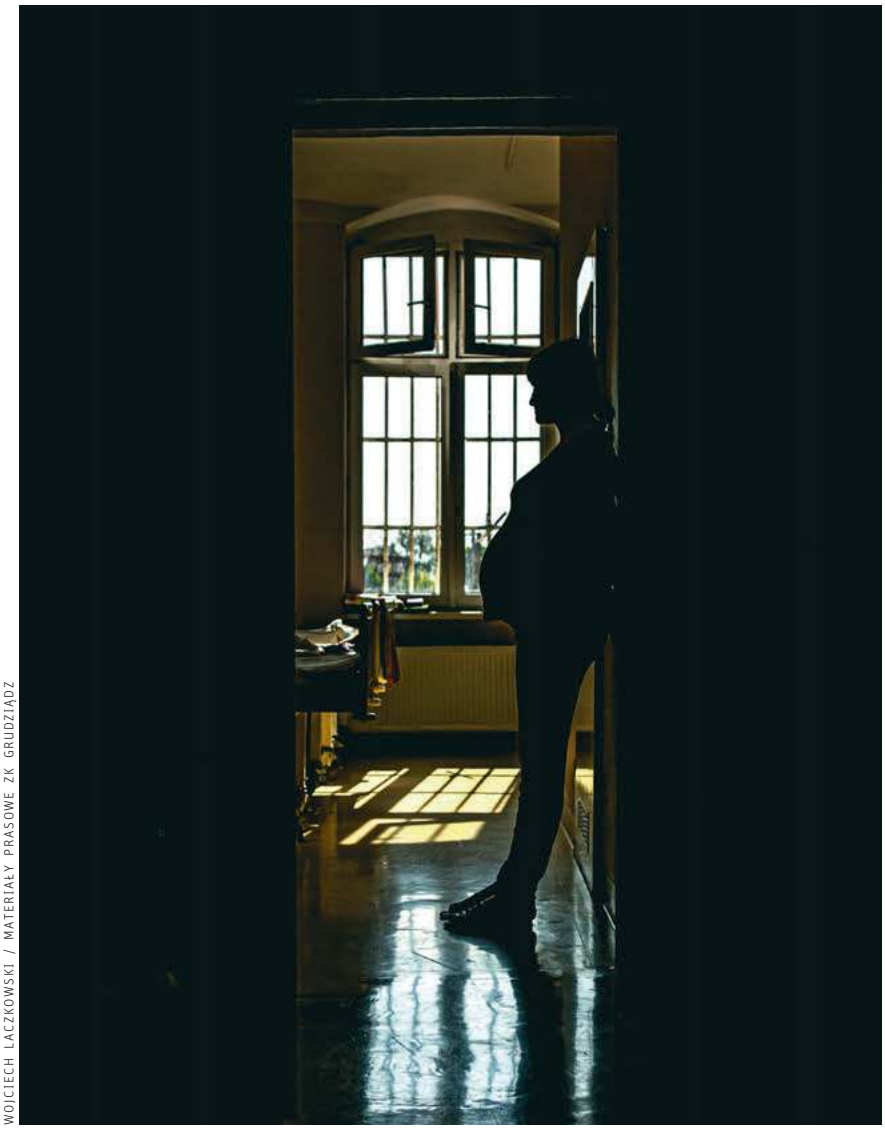

WOJCIECH ŁACZKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE ZK GRUDZIĄDZ

Dom Matki i Dziecka w Zakładzie Karnym nr 1 w Grudziądzu

Macierzyństwo pod pełną kontrolą

ANNA KORYTOWSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Dla wielu kobiet to pierwsze miejsce, w którym mogą doświadczyć, że nie są wyłącznie sumą swoich błędów. Dostają drugą szansę i mogą z niej skorzystać.

Kilkupiętrowy budynek Domu dla Matki i Dziecka przy Zakładzie Karnym nr 1 w Grudziądzu bardziej przypomina oddział szpitalny niż zakład karny. Obok więzienia w Krzywańcu to jedyne miejsce w Polsce, które umożliwia skazanym kobietom odbywanie kary wraz z dziećmi do 3. roku życia. Przez 76 lat działalności placówka objęła opieką około 3,2 tys. dzieci; obecnie przebywa w niej 25 matek i 25 dzieci.

Na ścianach wiszą dziecięce rysunki, w kątach stoją pudełka z zabawkami, na półkach pluszowe misie. – Osadzone trafiają tu na własną prośbę. Składają wniosek do dyrektora zakładu, w którym odbywają karę, z deklaracją, że chcą ją odbywać razem z dzieckiem. Do nas przyjeżdżają zwykle już w ciąży, na około dwa miesiące przed porodem. Pod opieką psychologa przygotowują się wówczas do macierzyństwa. To kluczowe w rozwoju dziecka, żeby pierwsze chwile spędzało z matką – mówi mł. chor. Edyta Majewska, wychowawczyni w Domu dla Matki i Dziecka.

Ostateczną decyzję, zazwyczaj po kilku miesiącach, podejmuje sąd rodzinny, który wcześniej zwraca się do placówki o opinię. Psycholog więzienny, na podstawie codziennych obserwacji, rozmów i historii życia kobiety, przygotowuje ocenę, jak radzi sobie ona w roli matki i czy może nadal przebywać z dzieckiem. To proces wymagający uważności i cierpliwości.

Żyć bez przemocy

– Codziennie rano mówię mu, jak bardzo go kocham. Przepraszam, że jesteśmy w „tym" miejscu, że nie wychowuje się z rodzeństwem. Ale jeszcze będzie na to czas – mówi z nadzieją w głosie Agata. Ma 33 lata, a Pawełka urodziła 9 miesięcy temu – w zakładzie karnym, gdzie przebywa od roku i dwóch miesięcy. – To moje piąte dziecko. Czwórka jest na wolności pod opieką mojej matki. Rozmawiamy telefonicznie, piszę do nich listy. Czekają na mnie. Będę walczyła, żeby po wyjściu odzyskać nad nimi opiekę – tłumaczy.

Agata odsiaduje wyrok z 2014 roku. – Kradzieże, narkotyki. Długo odraczałam odsiadkę ze względu na dzieci, ale w końcu musiałam się stawić – przyznaje. I tak w 2022 roku trafiła do zakładu karnego na Śląsku z rocznym wówczas synem. Spędziła tam 20 miesięcy i warunkowo wyszła na wolność. – Po kilku miesiącach pani kurator odwiesiła mi karę, bo znowu trafiłam w towarzystwo z przeszłości. Byłam wtedy już w ciąży z Pawełkiem – opowiada Agata, która z synem spędza całą dobę. – Pocieszam się, że na wolności każdy goni. Praca, przedszkole, pranie, sprzątanie, gotowanie. W zakładzie mam więcej wolnego czasu. Zapisuję wszystko: pierwszy ząbek, pierwszy

krok – tłumaczy Agata, która celę dzieli z dwiema innymi kobietami. – Różnie bywa. Czasem są takie dni, że jedna z drugą się pokłóci. Ale wspieramy się, doradzamy. Jak komuś mogę pomóc, to się cieszę – zapewnia.

Codzienność wypełniają im zabawy, sprzątanie, gotowanie, warsztaty, spotkania z psychologami. – Uczę się porozumiewania bez przemocy. Wiem już, jak rozmawiać z dziećmi, jak być konkretną, jak stawiać granice. Mam nadzieję, że stałam się dobrą mamą pomimo tego, jak bardzo zbłądziłam – mówi. Sama dzieciństwa nie wspomina dobrze. Szybko uciekła w alkohol, narkotyki, bardzo złe towarzystwo. – Z mamą nie miałam dobrej relacji. Przeciwnie, były ciągłe kłótnie, kary. Za to ojca nie było w ogóle... Nie chcę tego powtórzyć ze swym życiem, być taką matką dla swoich dzieci. Chcę, by wiedziały, że w każdej chwili będą mogły do mnie przyjść i porozmawiać – mówi z przekonaniem. Kiedy tylko ma możliwość, przypomina im o tym.

Za dwa miesiące wychodzi na wolność. Ma konkretny plan. – Zrozumiałam, co zrobiłam źle. Naprawdę dużo ćpałam w życiu, wydałam na to masę pieniędzy. Ale teraz powiedziałam: koniec, znajdę pracę, będę żyć inaczej. Dla dzieci i dla siebie – dodaje.

„Wiem, że stanę na nogi"

Kasia odbywa ponad trzyletnią karę od października 2023 roku. Po dwóch miesiącach na własną prośbę została przeniesiona do Grudziądza. Po kolejnych dwóch urodziła syna. – Nasza relacja jest bardzo silna, Tomek jest ze mną 24 godziny na dobę. Ma niemal dwa lata i jest najstarszym dzieckiem w zakładzie, a przez to bardzo opiekuńczym dla pozostałych. Pobuja je w leżaczku, a jak płaczą, to pocałuje w czółko – tłumaczy. W przywięziennym Domu dla Matki i Dziecka mają najdłuższy staż. – Plan dnia znamy bardzo dobrze. O 6.00 rano mamy pobudkę, o 6.15 apel. Później po kolei wstają dzieci. Śniadanko, przebieranie, zabawy. Potem obiad, drzemka, znowu zabawy, kolacja. Jest bawialnia dla dzieci, chodzimy też na plac zabaw na terenie zakładu, a z wychowawczynią nawet na spacery poza teren jednostki – opowiada.

Kasia i jej syn są „przepustkowi", więc kiedy tylko mają taką możliwość, korzystają z wyjścia poza więzienie. – To działa tak, że dostajemy przepustki systemowo oraz nagrodowo, za dobre sprawowanie. Najkrótsza trwa około 6 godzin, najdłuższa 6 dni. To najlepszy czas – mówi. Kasia stara się wtedy załatwiać wszystkie formalności. Niedawno złożyła wniosek o mieszkanie komunalne. Stara się też wywalczyć alimenty od partnera. – Po 16 latach mnie zostawił. W ogóle nie zna swojego dziecka – tłumaczy.

Podczas przepustki Kasia spędza czas ze swoim starszym synem. – Powinnam być przy nim, a jestem w zakładzie. Cierpi on, cierpi mój młodszy syn, przecież też jest w zamknięciu. Cierpimy wszyscy przez to, co zrobiłam – mówi.

Od wielu lat jest uzależniona od narkotyków. – Jak zaszłam w ciążę z pierwszym dzieckiem, przestałam. 10 lat nic nie brałam. Potem w pracy miałam wypadek: gwałtownie się schyliłam i uszkodziłam kręgosłup w odcinku lędźwiowym. Chciałam uśmierzyć ból i wtedy wzięłam narkotyki – wspomina. Tak wróciła do nałogu. – A że pieniążków było wtedy mało, to popadłam w kradzieże, włamania, handel narkotykami. Dopiero tu, w zakładzie, zrozumiałam, że dalej tak nie chcę. Że mam problem z uzależnieniem. Potrafię się do tego przyznać i z tym walczyć. Dla siebie, nie tylko dla dzieci, to jest bardzo ważne – zapewnia.

Kasia stara się o przedterminowe zwolnienie, a pomaga jej kadra więzienia. – Mam nadzieję, że się uda. Wiem, że stanę na nogi. Naprawdę, nie chcę robić już nic złego – przyrzeka.

Przepracować deficyty

Praca z osadzonymi trwa przez cały wyrok. Często zaczyna się od spraw najbardziej podstawowych. – Zdarza się, że kobiety trafiają do nas z bardzo trudnych warunków życiowych, więc zanim zaczniemy mówić o wychowywaniu dziecka, musimy zadbać o fundamenty. Od higieny i zmiany bielizny, po przygotowywanie posiłków dla siebie i dziecka. Potrzebna jest dbałość o siebie i codzienna rutyna, wzmacniająca poczucie bezpieczeństwa. Przepracowujemy wszystkie deficyty, z którymi te kobiety się zmagają. Także problemy uzależnienia – wyjaśnia mł. chor. Edyta Majewska.

Równolegle budowane są nowe, spokojniejsze schematy i wzorce relacji. – Jak spędzać czas z dzieckiem, jak reagować na jego potrzeby, jak dbać o jego higienę i zdrowy rozwój. Prowadzimy rozmowy instruktażowe, mamy warsztaty, programy profilaktyczne i zajęcia artystyczne. Dla dzieci są zabawy, spacery, a także zajęcia kulturalno-oświatowe poza terenem jednostki – wymienia wychowawczyni.

Na terenie zakładu znajduje się plac zabaw. Tam matki uczą się, że wspólny czas nie musi być skomplikowany ani kosztowny. – Zależy nam na tym, by po wyjściu na wolność potrafiły odnaleźć się w macierzyństwie, czyli budować relację opartą na rozmowie, a nie przemocy – tłumaczy Edyta Majewska, zaznaczając, że postępy w komunikacji testowane są także w relacjach ze współosadzonymi. W celach, które bardziej przypominają pokoje w mieszkaniu, żyją po trzy kobiety z dziećmi. – To codzienna nauka współistnienia, dojrzałej rozmowy i rozwiązywania konfliktów. Zdarzają się oczywiście kłótnie, są skargi, ale to normalne podczas takiego procesu – zaznacza wychowawczyni.

Niezwykle istotnym elementem pracy ze skazanymi jest wzmacnianie poczucia ich własnej wartości. To są przecież osoby, które dorastały zazwyczaj w środowiskach pozbawionych stabilności, gdzie częściej od wsparcia pojawiała się bezwzględna krytyka budząca lęk, a przemoc była główną formą komunikowania się. W ich biografiach powracają więc doświadczenia przemocy, uzależnień, zbyt wczesnej dorosłości i konieczności radzenia sobie bez zaplecza, na którym można by się oprzeć. – Zakład karny jest często pierwszym miejscem, w którym te kobiety słyszą, że zrobiły coś dobrze. Proste słowa uznania mają dla nich ogromne znaczenie – podkreśla Edyta Majewska.

Osadzone uczą się rozpoznawać swoje emocje i nazywać je, zamiast reagować impulsywnie. Powoli budują zaufanie do siebie i świata. Zaczynają zauważać, że potrafią zadbać nie tylko o dziecko, ale również o własne potrzeby; stawiać granice. – Jeśli kobieta zaczyna myśleć o sobie inaczej, lepiej, to zmienia się też sposób, w jaki patrzy na własne dziecko. Budowanie samooceny staje się fundamentem dalszej zmiany. Bez niej trudno mówić o odpowiedzialności, planowaniu przyszłości czy trwałym zerwaniu z wcześniejszymi schematami. Dla wielu kobiet Dom dla Matki i Dziecka jest pierwszym ↦

↦ miejscem, w którym mogą doświadczyć, że nie są wyłącznie sumą swoich błędów. Dostają drugą szansę i mogą z niej skorzystać – zapewnia Majewska.

Dać mu to, czego matce zabrakło

Marta ma 27 lat i 10-miesięczną córkę Wiktorię. Do zakładu karnego trafiła w piątym miesiącu ciąży, za kradzieże. – Ukrywałam się długo, ale jak zobaczyłam na teście dwie kreski, to uznałam, że jak mnie w końcu złapią, to odbiorą mi dziecko – wspomina. Wyrok dostała, kiedy miała dopiero 21 lat. – Interesowały mnie szybkie i łatwe pieniądze, trzymałam się wówczas z niewłaściwymi ludźmi. Dużą rolę odgrywały narkotyki; pojawiły się w moim życiu bardzo wcześnie – przyznaje.

W jej domu nie działo się dobrze. Ojciec trafił do zakładu karnego, z mamą nie miała dobrych relacji. – Nie mogłam porozmawiać z nią o niczym. Byłam nauczona tego, że zawsze muszę sama radzić sobie z problemami – tłumaczy. Przyszedł jednak czas, kiedy nie potrafiła już im sprostać. – Blizny po samookaleczeniach mi o tym przypominają. Byłam nastolatką, czułam się samotna. Uciekłam w uzależnienie – opowiada. W zakładzie karnym przeszła terapię, a na wolności chce uczęszczać na spotkania grupowe. – Córka stała się zapalnikiem do tego, żeby się w końcu ogarnąć. Wcześniej nie miałam dla kogo żyć, nie miałam nic do stracenia. Ale urodziłam ją i postanowiłam wychować. Wiem, mam na sobie bardzo dużą odpowiedzialność, ale muszę jej sprostać – zapewnia.

Te kobiety dorastały zazwyczaj w niestabilnych środowiskach, gdzie zamiast wsparcia od rodziców była totalna krytyka, a przemoc stanowiła główną formę komunikacji.

10-miesięczna córka to jej pierwsze dziecko, a do macierzyństwa nie zdążyła się przygotować. Wszystkiego uczy się w zakładzie, z pomocą wychowawczyń. – Nie ukrywam, brakuje mi codziennego wsparcia partnera. Ojciec małej jest na wolności, czeka na nas – zapewnia. Na szczęście to już niedługo, bo za półtora miesiąca wychodzą na wolność.

– Przed odsiadką miałam możliwość oddania Wiktorii, ale nie wyobrażałam sobie życia bez niej. Jeszcze długo będę sobie wyrzucała, co zrobiłam źle i że moja córka pierwszy okres życia spędziła w takim, a nie innym miejscu. Boli to, że dziecko nie może zobaczyć świata, kiedy zechce, ale dobre jest to, że mamy możliwość wyjścia poza jednostkę. A poza tym, będzie co nadrabiać – uśmiecha się trochę gorzko, odliczając dni do wyjścia. Jak twierdzi Marta, przez jakiś czas zostaną w Polsce, ale później planują wyjazd za granicę.

– Chciałabym zapewnić małej wszystko, co powinna mieć. Wszystko to, czego ja nie miałam. Chciałabym bardzo, żeby nie ukrywała przede mną niczego, żeby się nie bała do mnie przyjść z żadnym swoim problemem, tak jak ja się bałam – dodaje.

■■■

Matki mogą przebywać w Domu do trzech lat, a w szczególnych przypadkach do czterech. Zdarzają się też warunkowe, wcześniejsze zwolnienia. Zanim to nastąpi, stopniowo sprawdzana jest samodzielność i odpowiedzialność matek. Potem są krótkie przepustki, a w końcu inne, pozawięzienne formy odbywania kary, z dozorem policji.

Dobrze jest, jeśli kobiety utrzymują kontakt z rodziną – o ile ją mają i nie jest ona jedynie źródłem traum. Bywa jednak, że są zdane wyłącznie na wsparcie, które otrzymały w więzieniu. – Nie każda osadzona decyduje się na zmianę swego życia, ale na to już nie mamy wpływu. Jednak tam, gdzie pojawia się gotowość na nowe życie, staramy się im towarzyszyć – dodaje mł. chor. Edyta Majewska.

Agata, Kasia i Marta po wyjściu z zakładu chcą podjąć pracę, zająć się dziećmi i żyć według nowych reguł. Zrodzonych za kratami, ale prowadzących do prawdziwej wolności. © ANNA KORYTOWSKA

Imiona bohaterek z zakładu karnego w Grudziądzu zostały na ich prośbę zmienione.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 647/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Woszczyk, z domu Dziełak, *primo voto* Sachs, córce Władysława i Franciszki z domu Ciuchta, zmarłej w dniu 28 lutego 1989 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie przy ulicy Sierpińskiego.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 772/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Krzysztofie Bartłomieju Witiw, zmarłym w dniu 4 lipca 2020 r. w Basildon, ostatnio stale przebywającym w Grays.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 310/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Zychowiczu, zmarłym w dniu 12 sierpnia 2019 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie, przy ul. Urszuli 25 m. 1.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Trening grupy początkującej w krakowskiej Boxerni. Kraków, 13 listopada 2025 r.

Spokój i boks

TEKST: MARCIN TUSIŃSKI | ZDJĘCIA: JACEK TARAN

PASJE | Do niedawna boks uważano za sport dla półświatka i twardych chłopaków z niedobrych dzielnic. Dziś stał się pomostem między pokoleniami i grupami społecznymi. Oraz narzędziem do walki ze stresem.

Lewy, unik, prawy, hak... Tata, mama, siostra, brat... Skąd ten fenomen? Dlaczego mężczyźni, kobiety i dzieci coraz liczniej gromadzą się w salach treningowych?

Bijące Serca Krakowa

Przy Placu Niepodległości w krakowskim Starym Podgórzu jest witryna, wobec której trudno przejść obojętnie. Za podłużną ścianą ze szkła grupa ludzi „tańczy" w kręgu. Krążenia ramion, walka z cieniem, bieg tyłem, skipping. Nieraz tam stawałem, przyglądając się ich zmaganiom, zanim w końcu zdecydowałem się wejść do Boxerni.

Na powitanie – podziemna szatnia z poobijanymi szafkami, kibel z napisem: „szczotka nie granat, ręki nie urwie", oraz panowie w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu kilku lat zbijający piątki. Potem podziemne przejście obok spartańskiej siłowni i wreszcie sala treningowa.

Rubikon przekroczony. Jestem po drugiej stronie szklanej witryny: miękka pianka pod stopami, zapach potu i dźwięk gruszki miarowo uderzającej pod naporem ciosów o deskę. Na ścianie flaga w niebiesko-brązowych barwach z napisem: „Bijące Serca Krakowa". Barczysty, krótko ostrzyżony facet nawołuje do odbijania karnetów. Opieprza kogoś za spóźnienie.

Zaczynamy długą rozgrzewką – owym tańcem w przestrzeni pomiędzy workami a ringiem. Wokół mężczyźni z szatni, kilkoro zawodników i zawodniczek w barwach klubowych, trzy zaprzyjaźnione ze sobą studentki. Polacy, Włosi, Ukraińcy, Hindusi, jeden Angolczyk. Krążenia ramion, bieg bokserski, rozciąganie... rozgrzewka w tym sporcie to wyzwanie samo w sobie. Ciężki pot.

Gdy przechodzimy do technik – kombinacji ciosów i uników w parach – spotyka mnie miłe zaskoczenie. Ludzie są pomocni i serdeczni. Nie czuć napięcia. Wysoki blondyn, z którym trafiam do pary, porusza się niezwykle miękko. Widać, że boksuje od dawna. Nie przejmuje się moim wahaniem ani błędami, cierpliwie powtarza kombinacje. Lewy prosty, prawy, zejście, lewy hak na głowę, prawy prosty. I od nowa. ↦

Oszukać swój wiek

↦ Po ukończeniu socjologii na UJ, Łukasz wybrał karierę w gastronomii jako kelner i sommelier. Trenuje cztery, pięć razy w tygodniu. Mówi, że Boxernia go zbudowała.

– Chodzi o mental i radzenie sobie ze stresem w życiu codziennym. Nikt tutaj nie podstawia sobie nóg ani nie rywalizuje nieczysto. Wspieramy się i spotykamy poza treningami – opowiada. I dodaje, że tutaj nie jest się dyrektorem z korpo ani taksówkarzem, tylko Darkiem czy Michałem. Jeden ma dobry lewy prosty, a drugi obronę.

Obok nas ćwiczy Wojtek – facet po czterdziestce o posturze zawodowego koszykarza, na co dzień dyrektor sprzedaży i *customer success* w firmie IT. Gdy w czasach studenckich na oczach dziewczyny zaatakował go pijak, postanowił nauczyć się kickboxingu. Kontuzje wykluczyły go na chwilę ze sportu, ale twardo trzymał się sztuk walki i w końcu trafił do Boxerni.

– Wróciłem oszukać proces starzenia – śmieje się Wojtek. – Dla mnie to jest jak medytacja, wyłączenie się z innych spraw. Wychodzę stąd z czystą głową – mówi.

I znowu: lewy prosty, prawy, zejście, lewy hak na głowę, prawy prosty. Po katorżniczej końcówce treningu – worki, skakanki, brzuszki – w szatni poznaję jeszcze Dymitra, Ukraińca, który za kilka miesięcy wyjeżdża do pracy w Maroko. I Cemala z Turcji, który został w Polsce po studiach i założył rodzinę. Do Boxerni przychodzi, żeby poczuć się pewniej.

Zbijamy piątki z miłym odczuciem zmęczenia. W drodze do domu myślę, że z wszystkich miejsc świata najmniej spodziewałbym się tak przyjaznej atmosfery akurat w klubie bokserskim. Co się za tym kryje?

Fair play

Boxernię założył Darek Felix Dębiec, ów barczysty facet, który prowadził mój pierwszy trening. To były zawodnik bokserski i kickboxerski, dawny nauczyciel plastyki oraz trener Polskiego Związku Bokserskiego klasy mistrzowskiej.

Jego klub działa pod egidą stowarzyszenia o nazwie Bractwo Boxernia, Bijące Serca Krakowa. Darek sam zaprojektował barwy, herb, symbole. Napisał statut, w którym przeczytać można m.in., że „bez względu na pochodzenie i status społeczny czy majątkowy, wartością bezwzględną i warunkiem członkostwa jest wyznawanie i praktykowanie szlachetnych wartości moralnych w duchu braterstwa i wzajemnej pomocy".



W krakowskiej Boxerni. Na zdjęciu Bartosz Janik – jeden z trenerów.

Zamysłem jest budowanie wspólnoty, która ma pomagać młodym oraz dorosłym wychodzić z uzależnień i wykluczenia społecznego przy pomocy sportu, przyjaźni i samodyscypliny.

– Dopóki żyję, nie będziemy klubem komercyjnym, w którym płaci się za karnet i robi, co chce. Ludzie wiedzą to od wejścia – podkreśla Dębiec. – Mamy tu ludzi z kadry Polski, mistrzynie i mistrzów województwa i kraju. Od kilku lat jesteśmy w czołówce punktacji młodzieżowej w boksie olimpijskim w Polsce, najlepsi w Małopolsce. Natasza Kosiec, mistrzyni Polski kadetek, została niedawno trzecią rękawicą Mistrzostw Europy Kadetek. Poza regularną rutyną treningową, zawodnicy ćwiczą także z amatorami. I jeżeli ktoś z nich zostanie wspaniałym sportowcem – to świetnie. Ale przede wszystkim mają być dobrymi ludźmi, którzy są wobec siebie *fair* – powtarza z naciskiem.

Jego idealizm bywa przedmiotem żartów wśród osób z Bractwa, do którego zapraszani są tylko najbardziej zaangażowani bywalcy Boxerni i zawodnicy. Niektórzy nazywają je „sektą". A jednak – to działa.

Jak w szermierce

– Byłem takim ćpunem jak z filmów – mówi Michał, kierownik logistyki w rodzinnej firmie budowlanej. – Kokaina, amfetamina, mefedron. W końcu terapeutka uzależnień poleciła mi sport jako ważny element leczenia. Boks pomógł mi wyczyścić głowę, która była zaburzona, dał satysfakcję z postępów. Mogę spojrzeć w lustro – opowiada.

Jego marzeniem jest wygrana w amatorskich zawodach. Chciałby mieć zdjęcie z sędzią trzymającym jego rękę w górze.

– On sam sobie zawdzięcza, że z tego wyszedł – mówi Darek Felix Dębiec. – Klub był dla niego odpowiednim środowiskiem, ale musiał się dostosować do naszych reguł. Znalazł w sobie samodyscyplinę – mówi trener. – Członkowie stowarzyszenia zobowiązują się do lojalności i wzajemnego wsparcia – dodaje.

To czuć na sali treningowej.



Darek Felix Dębiec i jego podopieczna Natasza Kosiec, brązowa medalistka Mistrzostw Europy.

– Boks to nie mordobicie, lecz szlachetna sztuka walki, którą można porównać do szermierki. Tyle że nie ma tu przedłużenia ramienia. Operujemy pięściami. Darek twardo trzyma się zasad etycznych – mówi dyrektor Filharmonii Krakowskiej, Mateusz Prendota, który zasiada w zarządzie stowarzyszenia Bijące Serca Krakowa i trenuje w Boxerni.

Jego zdaniem mężczyźni potrzebują dzisiaj takiej pozytywnej identyfikacji, bo powracają do konserwatywnych wartości. Walka, fizyczność i ból w odpowiednim kontekście kształtują charaktery i zbliżają do siebie. Dla niego samego w treningach trudniejsze od przyjęcia ciosu było przełamanie lęku przed uderzeniem kogoś. To nauczyło go o sobie więcej niż niejedne studia.

– Myślę, że treningi bokserskie są wyrazem tęsknoty każdego człowieka za przynależnością do grupy. Nie chodzi tylko o sport, ale o atmosferę – kończy.

Wiktoria jedzie na turniej

W Szczecinie atmosfera od wejścia krzyczy: zwycięstwo! Hasło reklamowe: „Najlepszy Klub Bokserski w Polsce" dobrze opisuje PGE BKS Skorpion. To jedno z najlepiej zorganizowanych „przedsiębiorstw pięściarskich" w kraju. W rozmowie z założycielem Skorpiona, Marcinem Stankiewiczem, ciągle wraca jedno słowo: wynik.

– Ciężka praca i dyscyplina równa się wynik – powtarza.

Stankiewicz zaczynał na początku lat 90. jako zawodnik Sztormu Szczecin. Potem kilkuletnia tułaczka po klubach w Polsce i Niemczech; powrót do Sztormu w roli trenera. Wypowiedzenie – i praca w podstawówce. Ktoś inny mógłby się załamać.

Stankiewicz stworzył klasy o profilu sportowym, nie wiedząc jeszcze, że kładzie podwaliny pod Szkołę Mistrzostwa Sportowego oraz Klub Bokserski Skorpion Szczecin, które do dzisiaj prowadzi z przyjacielem Karolem Chabrosem. Potem dołączył do nich trener Patryk Tkaczyk.

– Od początku w 2007 roku byliśmy najlepsi w Polsce, mieliśmy też bardzo mocną grupę dziewczyn – mówi Stankiewicz.

System szkolenia kadry od pierwszych klas podstawówki, przez liceum, aż do profesjonalnej kariery zawodniczej w barwach klubu świetnie się sprawdził.

– Mateusz Bereziński awansował na igrzyska olimpijskie, Fabian Urbański został mistrzem świata kadetów, Katarzyna Brodacka historyczną mistrzynią Europy kadetek, Daria Parada dwukrotną młodzieżową mistrzynią Europy, były jeszcze medale mistrzostw świata Patrycji Kiwak, Hanki Soleckiej... Wiktoria Rogalińska wywalczyła złoty medal Pucharu Świata... – wylicza jednym tchem Stankiewicz.

– Byłam bardzo nieśmiałą osobą z małą wiarą w siebie – opowiada Wiktoria Rogalińska. – Pójście na boks było dla mnie próbą charakteru. Małymi kroczkami zaczęłam wzmacniać wiarę w swoje umiejętności i stałam się bardziej otwarta. Trenerzy namówili mnie na liceum sportowe zamiast zawodówki. Jestem im wdzięczna – mówi zawodniczka i studentka dietetyki.

Dwudziestoczterolatka mieszka w Szczecinie z matką i siostrą, ojciec niedawno zmarł. Jej życie toczy się w rytmie: zawody, chwila odpoczynku w domu, powołanie do kadry, przygotowania do walk, dieta, sparingi, zawody i... od nowa.

– Dla mojej rodziny to już normalne, że „Wiktoria jedzie na turniej", „Wiktoria jedzie na obóz", „Wiktoria będzie boksować". Mama i siostra mnie wspierają, choć rzadko przychodzą na walki – przyznaje.

Daj sobie szansę

W podobny sposób żyje coraz więcej dzieci i młodych osób w kraju. W spisie Polskiego Związku Bokserskiego widnieje blisko tysiąc licencjonowanych klubów bokserskich, ponad 300 amatorskich i 25 tys. komercyjnych ośrodków sportowych.

Zawodniczki i zawodnicy rywalizują w setkach turniejów, rozgrywek lokalnych, wojewódzkich, krajowych... w ligach, na olimpiadach, mistrzostwach. Polska, Europa, świat. Sukcesy MKSW Pomorzanin Toruń, BB Bijące Serca Krakowa, KS Concordii Knurów czy rodzimego klubu Wiktorii Rogalińskiej – PGE BKS Skorpion Szczecin przyciągają na salę treningową coraz więcej amatorów.

W Szczecinie szkolą się panowie i panie w średnim wieku, studenci, menadżerki, budowlańcy, taksówkarze.

– To jest wszechstronny trening, można odreagować, przekraczać bariery, wzmocnić samodyscyplinę. ↦

↦ Myślę, że amatorów przyciąga marka i chęć przełamania barier – mówi Marcin Stankiewicz.

Pytam Wiktorię Rogalińską, co radzi nowicjuszom, którzy borykają się z lękiem przed ciosem lub z nadmierną tuszą.

– Najważniejsze to dać sobie szansę i pamiętać, że każdy potrzebuje tyle czasu do przełamania się, ile potrzebuje. Cierpliwość jest kluczem – odpowiada.

Tuż przed końcem rozmowy Stankiewicz dodaje jeszcze, że w miejscu dawnego Szczecińskiego Ośrodka Sportu powstanie niebawem hala sportowa zdolna pomieścić kadry zawodników z całej Europy.

– Będą tu przyjeżdżały mocne teamy z Niemiec, Belgii, Czech oraz Irlandii. Dzięki temu i my podniesiemy poziom – podsumowuje.

Sposób na nadwagę i autyzm

– Mnie nie zależało na wynikach. Nie marzyłem nawet, żeby zostać zawodnikiem – mówi siedemnastoletni Marcel Włodarczak. – Chciałem tylko, żeby koledzy przestali się ze mnie śmiać, bo byłem mocno otyły. Grałem ciągle w „Fortnite'a" i nie wychodziłem z domu.

Trudno mi w to uwierzyć, gdy widzę go w hali treningowej klubu BKS Smok Zabierzów, jak okłada worek treningowy z zimną precyzją zawodowca. Rosły i pewny dziś w ruchach Marcel trafił tu w piątej klasie podstawówki, po stanowczej rekomendacji fizjoterapeuty. Podobnie jak wiele innych dzieciaków z problemami zdrowotnymi.

BKS Smok Zabierzów to mały lokalny klub bokserski mieszczący się pod Krakowem w niepozornej hali, nieopodal centrum naprawy ciężarówek. Pedantycznie wyznaczone miejsca parkingowe, przejrzyste wnętrza, uprzejma obsługa. Nawet worki i ringi rozmieszczone są symetrycznie. Bardziej przypomina to salę fitness dla pracowników korporacji niż zwykły klub bokserski.

Grzegorz Zbroja, który stworzył to miejsce od podstaw z żoną Agnieszką (trenerką jest tu m.in. niezwykle utytułowana Monika Puzio-Nieszporek), postawił na boks dla całych rodzin jako formę rehabilitacji i dbania o zdrowie.

– Jeśli przy okazji wyrosną z tego zawodnicy, to dobrze – mówi. – Mamy treningi personalne i grupowe: dla dorosłych, młodzieży i zawodników z niemałymi sukcesami. Przychodzą do mnie dzieci z problemami ruchowymi czy integracyjnymi. Wzmacniają się psychicznie, fizycznie i społeczne – tłumaczy.

Zbroja zaczynał jako trzynastolatek u boku słynnego kickboxera Andrzeja Firsta.

– Do klubu trafiłem na fali mody na Bruce'a Lee. Szybko zostałem zawodnikiem, potem trenerem – opowiada.

23 listopada 1996 r. First został brutalnie zamordowany na klatce schodowej swojego bloku w Krakowie, najprawdopodobniej na zlecenie mafii, próbującej przejąć kontrolę nad lokalem, który ochraniał. Kiedy wiadomość spadła na osiemnastoletniego wówczas Zbroję, zareagował decyzją o kontynuowaniu działalności jego klubu o nazwie „Smok". Uhonorował mentora.

Potem przyszły studia, rodzina, kariera menadżerska w banku. Sport i klub poszły w odstawkę. Aż do narodzin pierwszego syna Zbrojów – Andrzeja. Gdy u chłopca zdiagnozowano autyzm, ojciec rzucił karierę ekonomisty, żeby opiekować się dzieckiem. Szybko wpadli z żoną Agnieszką na pomysł założenia w Zabierzowie Centrum Boksu i Kickboxingu dla całych rodzin. W klubie trenują obaj synowie Zbrojów. Dla jednego to rehabilitacja, dla drugiego pasja.

– Jestem z nich dumny – mówi Zbroja. – Boks i kickboxing to sporty walki, które angażują cały układ nerwowy, mięśniowy, szkieletowy. Jest wiele badań naukowych, które pokazują, że trening beztlenowy na wysokim tętnie wpływa na szybsze odnawianie komórek – tłumaczy trener.

Dzięki ćwiczeniom dzieci rozwijają małą i dużą motorykę – zwiększają zakres ruchów, budują wytrzymałość i zżywają się ze sobą. Wszystko w formie treningu sportowego. Młodzi trenują obok zawodników i swoich rodziców. Efekty widać po jednych i drugich.

– Rodzice po czterdziestce przychodzą tu często w słabej kondycji fizycznej. Po kilku miesiącach ruszają się, jakby trenowali od zawsze – mówi Zbroja. – A ja czuję, że robię coś dobrego dla nich i dla dzieciaków – puentuje.

Coraz więcej naukowych publikacji udowadnia, **że boks ma zbawienny wpływ na zdrowie.** Wszystko zależy od tego, jak go uprawiamy.

Za i przeciw

Dużo tu dobrego. Nie sposób jednak nie wspomnieć o tym, czym uprawianie boksu grozi. Z opublikowanych w czasopiśmie „Seminars in Neurology" badań naukowych Barry'ego D. Jordana z University of Columbia wynika, że wieloletnia ekspozycja na ciosy prowadzi do uszkodzeń w płatach czołowych i skroniowych mózgu, zaniku neuronów, trudności z koncentracją, depresji czy zaburzeń pamięci. Zawodowcy ryzykują zdrowiem, ale nikogo to nie zniechęca.

Z drugiej strony, pojawia się coraz więcej publikacji dowodzących zbawiennego wpływu tego sportu na zdrowie. Naukowcy University of Minneapolis dowiedli poprawy równowagi, mobilności i jakości życia pacjentów z chorobą Parkinsona, którzy uprawiali boks jako element kuracji.

W czasopiśmie naukowym „American Journal of Occupational Therapy" grupa badaczy z University of Columbia opisała z kolei znaczącą poprawę zdolności planowania, umiejętności społecznych i zwiększenie stabilności ciała u dzieci ze spektrum autyzmu uprawiających pięściarstwo w ramach terapii. Wiele wskazuje na to, że wpływ boksu na zdrowie zależy nie od tego czy, ale jak go uprawiamy.

– To wyjątkowy sport, bo daje satysfakcję po treningu, ale też niesamowitą pewność siebie – podsumowuje Marcel Włodarczak. – Świadomość, że masz te umiejętności i robisz postępy, daje takie fajne poczucie dystansu do problemów. Od tego robi się lżej.

A ja wracam na kolejny trening do klubu za witryną przy Placu Niepodległości w krakowskim Starym Podgórzu. Miękka pianka pod stopami, zapach potu i dźwięk gruszki miarowo uderzającej pod naporem ciosów o deskę. Stukot skakanek o podłogę. Lewy, unik, prawy, hak...

© MARCIN TUSIŃSKI

OLGA

Drenda: *Baśń o niekochanym tyranie*



W „Pałacu wiosennym", czyli willi Ceaușescu w Bukareszcie, od pewnego czasu nie wolno robić zdjęć. Mówi się, że jedna z przyczyn to obawa przed złamaniem zakazu propagowania symboli i ideologii komunistycznej, który ma zostać wprowadzony w Rumunii. W willi, która obecnie funkcjonuje jako muzeum dostępne tylko w ramach wycieczek z przewodnikiem, symboliki propagandowej nie ma. Jest to bardziej ociekający złotem pomnik megalomanii i niepowstrzymanej miłości własnej – jeśli już, to może służyć za antyreklamę komunizmu. Ale być może teraz nie ma już czegoś takiego jak antyreklama. Zawsze istnieje ryzyko, że ktoś przestrogę odczyta jako instruktaż. Takie zagrożenie pojawia się, kiedy opowiada się o przebiegu zbrodni albo o mechanizmach uzależnień; w większości odbiorców wywołają zgrozę, ale zawsze ktoś znajdzie w nich poradę, jak zabić albo jak ukrywać nałóg. Pewnie tak samo jest z ideologiami. Wszak i u nas czasami zaprzysięgli antykomuniści dziwnie mówią Gomułką i socrealizmem, czyli zjawiskami pozornie odesłanymi do muzeum absurdów.

Ceaușescu pochodził z biedy, a został słońcem Karpat. Taka droga może nauczyć, jak zostać władcą sprawiedliwym, który rozumie ludzkie potrzeby. Nie był to ten przypadek. W imię *idée fixe* dyktatora, któremu zamarzył się kraj – samotna wyspa wolna od pożyczek, ludzie marzli we własnych domach i nie dojadali, a setki niechcianych „dzieci z dekretu", które miały budować demograficzną potęgę kraju, cierpiały w upiornych sierocińcach. Jednocześnie w Bukareszcie budowano mamuci i nikomu niepotrzebny Pałac Ludu.

Ale jak wszędzie, po latach ludzie mają skłonność, żeby wybierać „znanego diabła", gdy po egzorcyzmach nie nadchodzi świat anielski. A po 1989 r. bieda bynajmniej nie odeszła z Rumunii, a dzieci z sierocińców-więzień kończyły zwykle na ulicy. To te sceny zapisały się w pamięci mocniej niż terror lat 80. i w efekcie spora część społeczeństwa pozytywnie, bo selektywnie, ocenia rządy Ceaușescu. Po prostu skupiają się na wcześniejszych, pogodniejszych dekadach. Pamięci, ani własnej, ani zbiorowej, nie należy nigdy ufać do końca.

Pomniki groteskowej megalomanii miały być szczepionką na uroki totalitaryzmów. Pokraczna nowomowa, tytułomania, złote łazienki, zachłystywanie się własnym mitem niosły przekaz: „kto zdrowy na umyśle traktowałby to poważnie?". Ale znów nadeszły dobre czasy dla figury tyrana-kabotyna. Wpływowi ludzie nie obawiają się utraty twarzy, bo uważają, że są potężniejsi niż wszystko i wszyscy. Z satysfakcją zachowują się jak ktoś, kto podczas posiłku kładzie brudne skarpetki na stole. Ale podobnie jak dwudziestowieczni dyktatorzy, nie są w stanie kupić, zainscenizować lub wymusić wszystkiego, co im się zamarzy. Jest jedna rzecz, która wydaje się nieustannie bóść ich w czuły punkt, całkiem jak w starych baśniach z morałem.

Elena Ceaușescu samozwańczo nadawała sobie tytuły naukowe, choć nie miała pojęcia o chemii. Podczas „wizyt gospodarskich" dyktatorskiej pary statyści udawali entuzjazm. I wiek groteski wcale się nie chce zakończyć. Mieszanina zakompleksienia, megalomanii, przekonania o niemal magicznej wszechwładzy dziwnie kojarzy się z antybohaterami współczesności, zwłaszcza krezusami świata technologii. Oczywiście przy właściwych proporcjach, bo oni nie dzierżą dyktatorskiej władzy i bezpośrednio nie decydują o czyimś życiu i śmierci, choć może by chcieli.

Cechą wspólną jest tutaj skrypt niczym z bardzo starych baśni o tym, że można zadekretować lub kupić sobie niemal wszystko, stanowisko, wpływ na politykę jednego z największych mocarstw, ale nie da się kupić ludzkiej przychylności i tego, żeby ktoś po prostu cię lubił i uważał, że jesteś w porządku. Może to banalne, ale o tym przecież jest też jeden z największych filmów w dziejach. I tak – można kupić swojej ukochanej absolutnie pozbawioną wiarygodności okładkę największego magazynu o modzie, można podpisywać z kontraktorkami umowy na usługę pt. urodzenie dziecka, można zainwestować w czatbota po to, by wreszcie wygenerował spojrzenie zakochanej w tobie sztucznej osoby. Ale zazdroszczenie komuś majątku czy szanowanie biznesowej sprawności to nie to samo, co zupełnie darmowa i dostępna zwykłym zjadaczom chleba (co za skandal!) ludzka sympatia. W jej poszukiwaniu postacie te bywają tak nieporadne, że momentami można byłoby nawet im współczuć. Ale to byłby już nadmiar życzliwości, bo inaczej niż w baśniach, w rzeczywistości nikt niczego się z morałów nie uczy. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

Świat jest dziś bardzo ironiczny, choć nikt już ironicznie nie mówi



OLGA DRENDA

ROZMOWA

CZY NATO ROZBIJE SIĘ O GRENLANDIĘ

JUSTYNA GOTKOWSKA, EKSPERTKA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA MIĘDZYNARODOWEGO:
Gdyby Amerykanie przejęli tę wyspę siłą, Sojusz Północnoatlantycki znalazłby się w ogromnym kryzysie.



JACEK STAWISKI: Co to jest doktryna Donroe'a?

JUSTYNA GOTKOWSKA: Nazwa jest dosyć komiczna: chodzi o grę słów wziętą z połączenia imienia obecnego prezydenta USA z nazwiskiem prezydenta Jamesa Monroe'a, który w 1823 r. ostrzegł Europę przed wtrącaniem się w sprawy zachodniej półkuli, deklarując równocześnie, że Stany nie będą się wtrącać w sprawy europejskie.

Dziś zmodyfikowana doktryna Monroe'a prezydenta Trumpa wydaje się zakładać ustanowienie nowych stref wpływów: amerykańska Strategia Bezpieczeństwa Narodowego głosi, że dominacja USA na zachodniej półkuli nie podlega dyskusji. Amerykę Południową i Grenlandię uznaje się za obszar istotny dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, zarówno w kontekście bezpieczeństwa wewnętrznego, jak zewnętrznego.

Połączenie z bezpieczeństwem wewnętrznym widać przede wszystkim w przypadku Wenezueli: operacja służb specjalnych, zakończona uprowadzeniem prezydenta Maduro z Caracas i postawieniem go przed amerykańskim sądem, jest przedstawiana jako akt policyjny, nie interwencja wojskowa.

W przypadku Grenlandii zaś mówi się o bezpieczeństwie zewnętrznym: o znaczeniu tego obszaru dziś i w przyszłości dla monitorowania Arktyki i o uniemożliwieniu wejścia tam Rosji i Chin.

Waszyngton definiuje więc swoją strefę wpływów politycznych, gospodarczych i wojskowych, z której chce wypychać Moskwę i Pekin. Chce też móc korzystać ze znajdujących się w niej surowców naturalnych: w Wenezueli Amerykanie już przejęli kontrolę nad eksportem wenezuelskiej ropy.

Jeśli dobrze rozumiem, Strategia Bezpieczeństwa Narodowego rozszerza doktrynę Monroe'a. W XIX wieku kluczem była zasada neutralności i odrębności obu Ameryk.

Kraje Ameryki Południowej budowały swoją państwowość, odrywały się od Hiszpanii i Portugalii, a amerykański przywódca mówił: „Europejczycy, trzymajcie się z dala od nowych państw, które powstały w kontrze do europejskiego kolonializmu".

Dziś jednak mamy do czynienia z kolonializmem Stanów Zjednoczonych.

To prawda, że w 1823 r. chodziło o ograniczanie albo wypychanie imperializmów europejskich z obu Ameryk. Później doszło jednak do zmiany tej doktryny na bardziej asertywną. Stany Zjednoczone interweniowały w Ameryce Południowej i militarnie, i gospodarczo. O traktowaniu tego kontynentu jako strefy wpływów USA można było mówić już w początkach XX w.

Obecną sytuację zestawiałabym raczej ze światem zimnej wojny, podczas której Stany Zjednoczone wypychały z Ameryki Południowej swojego strategicznego przeciwnika, czyli Związek Radziecki. W szczególności po rewolucji kubańskiej Waszyngton zaczął wspierać tamtejsze reżimy prawicowe i dyktatury wojskowe, żeby ograniczyć wpływy radzieckie i zapewnić sobie bezpieczeństwo w regionie, nie tylko środkami militarnymi, ale też gospodarczymi.

Dziś rywalami strategicznymi USA są Chiny i Rosja. A UE? Czy ją również Amerykanie będą wypychać, skoro zawarła porozumienie handlowe z Mercosur – najsilniejszą organizacją gospodarczą państw Ameryki Południowej?

Waszyngton nie traktuje współpracy handlowej z Ameryką Południową w kategoriach wyłączności, ale niewątpliwie administracja Trumpa postrzega UE jako przeciwnika gospodarczego. Z tej perspektywy umowa Unii z Mercosur może być uważana za niekorzystną dla Stanów Zjednoczonych.

A czy Grenlandia może stać się częścią Stanów Zjednoczonych? Na ile zmieni to relacje z Danią, która zawsze była bliskim sojusznikiem USA i trzymała się na dystans od pewnych projektów europejskich, żeby nie osłabiać więzi z Ameryką?

Moim zdaniem to zależy przede wszystkim od Grenlandczyków. Paradoksalnie, nie od Danii.

Kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców wyspy zadecyduje, być może, o losie zachodniego sojuszu?

Trudno sobie w tej chwili wyobrazić militarne przejęcie wyspy przez Stany Zjednoczone. Ameryka ma na Grenlandii bazę wojskową, ma instalacje radarowe wczesnego ostrzegania – i ma pełną możliwość rozbudowania swojej obecności na wyspie we współpracy zarówno z Grenlandią, jak i Danią. Militarnym przejęciem wywołałaby też ogromne kontrowersje w samych USA.

W nowym rozumieniu relacji międzynarodowych Amerykanie chcą mieć jednak nad Grenlandią pełną kontrolę. Ta pełna kontrola może być zrealizowana tylko na drodze ogłoszenia przez Grenlandczyków niepodległości i zawarcia jakiegoś stowarzyszenia z USA. Od lat mieszkańcy wyspy dyskutowali o niepodległości, ale nie zdecydowali się na nią. Partie opowiadające się za niepodległością są popularne, ale obecna sytuacja mocno zaniepokoiła również samych Grenlandczyków. Jak każdy, nawet najmniejszy naród, również oni nie chcą być przedmiotem gry: chcą być podmiotem, więc niechętnie odnoszą się do amerykańskich zakusów, zwłaszcza wyrażanych tak dobitnie i agresywnie.

Jeżeli uda się Stanom Zjednoczonym zmienić tę narrację, wpłynąć na opinię publiczną w Grenlandii, przedstawić korzystną ofertę grenlandzkim politykom, być może wyspa pójdzie tą drogą.

Najprostszy wariant to po prostu rozbudowa obecności amerykańskiej na Grenlandii bez zmiany statusu tego obszaru.

Oczywiście z perspektywy europejskiej, z perspektywy duńskiej i grenlandzkiej byłoby to najlepsze rozwiązanie, ale wydaje się, że prezydent Trump ma swoje *idées fixes* i jest wśród nich również rozszerzenie amerykańskiego terytorium. Tu wchodzi w grę myślenie bardziej ideologiczne niż praktyczne.

Szefowa rządu Danii uważa, że zajęcie Grenlandii przez Stany Zjednoczone bez zgody Danii i Grenlandczyków oznacza koniec NATO. Zgadza się Pani z tym?

Gdyby jedno państwo sojusznicze wystąpiło przeciw drugiemu, gdyby doszło do siłowego, bezprawnego przejęcia ↦

Wiceprezydent JD Vance z wizytą w amerykańskiej bazie Pituffik na Grenlandii, 25 marca 2025 r.

JIM WATSON-POOL / GETTY IMAGES

↦ Grenlandii, byłby to ogromny problem dla NATO. Pytanie, co przeważyłoby? Czy interes utrzymania wspólnoty transatlantyckiej z perspektywy największych państw członkowskich i z perspektywy państw północno-wschodniej flanki, czy faktycznie rozłam?

Jesteśmy w trudnym momencie. Niewątpliwie państwa europejskie przyspieszają zbrojenia i starają się usamodzielnić, ale musimy sobie zdawać sprawę, że od Amerykanów jesteśmy uzależnieni w kluczowych zdolnościach konwencjonalnych i w zakresie odstraszania nuklearnego. Tego w krótkim czasie Europa nie jest w stanie sama rozwinąć.

A gdyby Amerykanie przejęli Grenlandię siłą?

Nie wykluczam, że faktycznie NATO znalazłoby się w ogromnym kryzysie i przeszlibyśmy być może w większym stopniu do bilateralnej współpracy wojskowej ze Stanami Zjednoczonymi: polsko-amerykańskiej, niemiecko-amerykańskiej, francusko-amerykańskiej itd.

Ale sądzę, że prawdopodobieństwo wystąpienia takiej sytuacji jest jeszcze odległe. Administracja Trumpa i sam prezydent wywierają presję, bo chcą uzyskać korzystny dla siebie wynik. To ich stała metoda: przypomnijmy sobie ostatni rok negocjacji w sprawie wojny na Ukrainie i ogromny nacisk Waszyngtonu na Kijów.

Gdzie w tej chwili jesteśmy? W momencie, kiedy Amerykanie jednak zgodzili się uczestniczyć w gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy i w monitorowaniu linii rozgraniczenia po ewentualnym zakończeniu wojny. Wprowadzone zostały nowe sankcje na rosyjskie koncerny naftowe: Rosnieft i Łukoil. Oczywiście mamy mniej bezpośredniego wsparcia wojskowego USA dla Ukrainy, ale cała ta sytuacja pokazuje, że prezydent Trump używa różnych środków, żeby osiągnąć swoje cele. Ogromna presja, pod którą stawia nawet sojuszników czy partnerów, jest jednym z elementów gry.



Czy to, co się wydarzyło w Wenezueli, wypełnia definicję obalenia reżimu?

Nie do końca. Amerykanie przeprowadzili dosyć ograniczoną operację, mającą na celu wywiezienie z kraju urzędującego, ale nieuznawanego w wielu światowych stolicach przywódcy. Pełnej inwazji nie było. Zobaczymy, jak ułoży się sytuacja wewnętrzna w kraju, Stany Zjednoczone na pewno nie chcą mieć tam chaosu. Stawiają na powolną, stopniową zmianę reżimu i modyfikację jego polityki.

To zresztą ciekawy i nowy sposób interwencjonizmu amerykańskiego: za Trumpa Waszyngton nie stawia na duże interwencje militarne, które zakończyły się fiaskiem np. w Afganistanie i w Iraku. Teraz chodzi o ograniczone użycie siły i poddanie pod dużą presję polityczną, gospodarczą, wojskową całego aparatu państwowego w celu wymuszenia zmiany korzystnej dla USA.

Dlaczego Europejczycy wpadli teraz w takie osłupienie? Przecież Amerykanie podejmowali

Co skrywają lody

JUŻ W XX WIEKU na Grenlandii eksploatowano złoża kriolitu, ołowiu, cynku, srebra i węgla, a pierwszą kopalnię złota na wyspie otwarto w 2004 roku.

GLOBALNE OCIEPLENIE nie tylko spowodowało topnienie lodu morskiego i ułatwiło wydobycie ropy naftowej i gazu ziemnego. Odsłoniło także nowe obszary do eksploatacji rudy żelaza, grafitu, wolframu, palladu, wanadu, cynku, złota, uranu oraz miedzi. Szacuje się, że pod powierzchnią Grenlandii spoczywa 36,1 mln ton pierwiastków ziem rzadkich, co stanowi ok. 30 proc. światowych złóż tych surowców. Wyspa obfituje także w złoża innych surowców krytycznych, jak tytan, fosfor, niob, tantal oraz platynowce.

ROŚNIE również znaczenie Grenlandii na globalnej mapie żeglugowej. Ocieplenie klimatu otwiera szlaki dla transportu morskiego, skracające zwłaszcza trasy z Azji do Ameryki Północnej. © JS

już punktowo ważne interwencje – we wspomnianych przez Panią krajach, ale też w Bośni czy w Kosowie.

To prawda: mieliśmy w ostatnich trzech dekadach do czynienia z amerykańskimi interwencjami na granicy prawa międzynarodowego, więc z tej perspektywy operacja w Wenezueli nie musiałaby być czymś nowym. Ale według mnie jest czymś sygnalizującym nową epokę, zwłaszcza w powiązaniu ze wspominaną już przez nas Strategią Bezpieczeństwa Narodowego, która odchodzi od postrzegania USA jako gwaranta liberalnego porządku międzynarodowego, opartego na prawie międzynarodowym i organizacjach wielostronnych.

Administracja Trumpa od tej koncepcji się odżegnuje: wycofuje się z szeregu organizacji i umów międzynarodowych, nie szuka usprawiedliwienia swoich działań normami, wartościami, zasadami prawa międzynarodowego, z czym mieliśmy jednak do czynienia w przeszłości. Mówi wyłącznie o normach amerykańskiego prawa wewnętrznego.

To wpisuje się w koncepcję stref wpływów, zapisaną w Strategii. I z tego względu pozwala mówić o wejściu w nową epokę w relacjach międzynarodowych. Epokę, w której główne państwo, dotąd utrzymujące i broniące wcześniejszego modelu (chociaż czasami działające obok albo przeciw części jego norm) – teraz ten system całkowicie odrzuca i inaczej definiuje swoją rolę i politykę w wymiarze regionalnym oraz globalnym.

Jak Pani zdaniem akcja wobec Nicolása Maduro zostanie odczytana w Pekinie i w Moskwie? Czy tak, jakbyśmy nie chcieli w Polsce, czyli jako powrót do sytuacji, w której największe mocarstwa mają prawo do decydowania o tym, co dzieje się w państwach ich „bliskiej zagranicy"?

Myślę, że w Rosji i Chinach widać plusy i minusy tej całej sytuacji. Stany Zjednoczone pokazały się jako państwo, które potrafi wykonać szybką i efektywną operację wojskową – i które potrafi zrobić to wbrew interesom chińskim i rosyjskim w tamtym regionie. Co więcej: które decyduje się na dosyć agresywne działania wobec Moskwy, np. na zajęcie tankowca pod rosyjską banderą, mimo



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

JUSTYNA GOTKOWSKA jest wicedyrektorką Ośrodka Studiów Wschodnich, kieruje w nim Zespołem Bezpieczeństwa i Obronności.

że w pobliżu są jeszcze rosyjskie okręty podwodne.

W Caracas w dniu pojmania prezydenta Maduro przebywała chińska delegacja. Wszystko to pokazało Chińczykom i Rosjanom, że Amerykanie również potrafią agresywnie dążyć do realizacji swoich interesów. I co ważne: ta operacja wydarzyła się akurat w Wenezueli, ale Chińczycy i Rosjanie mogą mieć obawy, że powtórzy się w innym miejscu. W tym sensie Amerykanie nie są izolacjonistami: to, że się koncentrują na zachodniej półkuli, nie oznacza, że nie mają interesów w Europie albo na Indo-Pacyfiku. Z drugiej strony to przejście do świata, który jest zdominowany przez największe mocarstwa i ich strefy wpływów, z perspektywy rosyjskiej i chińskiej jest oczywiście korzystne, bo Pekin i Moskwa również tak chciałyby ustawiać relacje międzynarodowe.

Ale wierni sojusznicy Moskwy czy Pekinu mogą dojść do wniosku, że ani Putin, ani Xi Jinping nie są w stanie przyjść im z pomocą. W grudniu 2024 r. Moskwa nie była w stanie obronić Assada w Syrii, teraz ten los spotkał Maduro.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest bardziej skomplikowana. Po skoncentrowaniu się Rosji na Ukrainie, po wyeliminowaniu wsparcia proirańskich bojówek dla Assada na skutek działań izraelskich, jego upadek przyspieszyły także poczynania Turcji.

A co z Tajwanem? Kwadratura koła polega na tym, że Pekin uważa, iż to terytorium wyłącznie chińskie, a większość państw świata, w tym zachodnich, oczywiście nieformalnie, traktuje tę wyspę jako odrębne państwo. Czy Chiny widząc akcję amerykańską w Wenezueli, dostały wolną rękę do działań wobec Tajwanu?

Chiny wzmacniają pozycję polityczną, wojskową i gospodarczą w regionie – i niewątpliwie chcą odzyskać Tajwan. Czy to zostanie przyspieszone w związku z Wenezuelą? Mam wątpliwości.

Pytanie brzmi bowiem także, jaką politykę Waszyngton prowadzi wobec Chin, oraz jaką ma w kwestii Tajwanu. Strategia Bezpieczeństwa Narodowego mocno podkreśla rywalizację amerykańsko-chińską, ale nie na poziomie strategicznym w regionie Indo-Pacyfiku, lecz na poziomie handlowym. W centrum uwagi jest wzmocnienie gospodarcze USA wobec Chin. Tajwan tam się pojawia jako wyspa istotna ze względu na produkcję półprzewodników, istotna ze względu na gwarantowanie szlaków handlowych, ale nie ma takiej pozycji, jaką miała wcześniej w myśleniu amerykańskim.

Jest to więc pytanie, na ile Chińczycy będą ze Stanami przeciągać linę, a na ile będą chcieli faktycznie interweniować zbrojnie. Ale w tej chwili nie spodziewam się konfliktu zbrojnego o Tajwan. Moim zdaniem Chińczycy będą grali inaczej: wykorzystując swoją przewagę gospodarczą i wzmacniając swoją pozycję wojskową w regionie tak, żeby stopniowo wypychać Amerykanów.

Jak Amerykanie będą się do tego odnosić?

Uważam, że prezydent Trump nie jest skłonny do pójścia na pełną konfrontację militarną z Chinami, przykładowo o Tajwan. Konfliktu zbrojnego między Chinami a USA za jego prezydentury się raczej nie spodziewam; rywalizacja będzie przebiegać na innych polach: politycznych, gospodarczych, wojskowych. Chodzi o pokazywanie siły, pokazywanie drugiej stronie, że wojna jest przez nią nie do wygrania, ale nie o bezpośredni konflikt zbrojny. ©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

ZATRUTA OFERTA TRUMPA DLA POLSKI

Po serii dyplomatycznych poniżeń wobec RPA, Stany przejmują przywództwo w grupie G20 i chcą usunąć z niej Południową Afrykę. W tle zaś składają Polsce kuszącą propozycję. Czy z niej skorzystamy?

TADEUSZ MICHROWSKI Z KAPSZTADU, PRETORII I GÓR SMOCZYCH (RPA)

Jesteśmy w otulinie Parku Narodowego Przylądka Igielnego, w Republice Południowej Afryki. Na końcu mało uczęszczanej szutrowej drogi, 30 km od najbliższej asfaltowanej nawierzchni, mieszka z rodziną młody farmer: Afrykaner, biały obywatel RPA. Z ganku ich domku widać ciągnące się po horyzont pola.

Farmer nie mówi zbyt długo o zakończonych właśnie zbiorach. Szybko przechodzi do krytyki rządów Afrykańskiego Kongresu Narodowego, rzuca kilka rasistowskich uwag i wspomina, że w dolince za drzewami ma prywatną strzelnicę. Mimochodem dodaje, że przez kilka lat pracował w USA.

Góry Smocze, ponad 1000 km dalej. Małżeństwo Afrykanerów ma niewielki jak na tę okolicę areał: 200 hektarów. Dzierżawią go lokalnemu wielkiemu posiadaczowi, ale nie jest to plan na zawsze. Może do czasu, aż ze Stanów, z Ohio, wróci ich syn.

Tu i tam tematem jest też Trump. Gdyby budować obraz RPA przez pryzmat tych dwóch miejsc, można odnieść wrażenie, że jego polityka cieszy się na południu Afryki pewnym poparciem. Ale to złudzenie.

Dyplomacja poniżania

Od początku drugiej kadencji Trumpa Biały Dom idzie na kurs kolizyjny z rządem w Pretorii, stolicy RPA. Stany dopiero co zbojkotowały szczyt grupy G20 – „klubu dwudziestu największych gospodarek świata" (to umowny termin, nie jest ich tyle i nie wszystkie są w pierwszej dwudziestce). Po raz pierwszy w historii szczyt odbył się w Afryce, w Pretorii.

Jak na ironię, wkrótce potem przewodnictwo grupy G20 przejęły Stany. Po czym natychmiast ogłosiły, że na jej kolejne spotkania nie będą zapraszać Republiki Połu-



TADEUSZ MICHROWSKI



EVAN VUCCI / AP / EAST NEWS

Podczas wizyty prezydenta Cyrila Ramaphosy w Stanach Donald Trump oskarżył władze RPA o zbrodnie na białych farmerach i pokazał nagranie i zdjęcia, na których miały być ich masowe groby. Potem okazało się, że materiały te pochodzą z Demokratycznej Republiki Konga. Na zdjęciu: Trump i Ramaphosa w Białym Domu, 21 maja 2025 r.

dniowej Afryki. Podano argument, który od roku pojawia się stale przy okazji sporu na linii USA–RPA: naruszenia praw człowieka w Południowej Afryce, a ściślej – jej białych mieszkańców.

W ten sposób Stany dają jasny komunikat, że dalej chcą karać Południową Afrykę za rzekome ludobójstwo białych i za reformy społeczno-gospodarcze, w USA postrzegane jako lewicowe. Tyle tylko, że żadnego ludobójstwa tu nie ma, a RPA pozostaje krajem o żywym i potężnym sektorze prywatnym, na którego czele stoi przedsiębiorca-milioner.

„Ludobójstwo białych"

To dezinformacja popularna ostatnio w sieci: opowieść o „ludobójstwie białych" zrodziła się z istotnie wysokiej przestępczości w RPA (według niektórych statystyk to trzeci najbardziej niebezpieczny kraj świata) oraz z przekonania części białych obywateli RPA, że rząd, od ponad 30 lat kierowany przez czarnych krajanów, wziął ich na cel – w odwecie za apartheid.

Opowieść ta mówi, że państwo rozmyślnie pozwala na mordowanie białych farmerów, by w ten sposób rozwiązać niejako problem tego, iż są oni wciąż dominującą grupą posiadaczy ziemi uprawnej. Tymczasem, mimo szeregu zmian wprowadzonych przez rząd, konstytucja RPA wciąż nie pozwala na odbieranie im ziemi bez rekompensaty.

Dowodów na tezę o ludobójstwie nie ma, a przemilcza się fakt, że w atakach na farmy giną też czarnoskórzy, którzy są w ogóle grupą najbardziej narażoną na przemoc. W 2024 r. zamordowano mniej farmerów (białych i niebiałych), niż ginie zamordowanych mieszkańców Kapsztadu, 5-milionowej metropolii, w jeden tylko weekend.

Opowieść tę napędzają jednak w sieci liczne konta, administrowane z RPA, USA, a nawet Polski. Robi to więc zarówno Elon Musk, jak też np. portal Visegrad24, założony przez mającego polskie korzenie Brytyjczyka Stefana Tompsona, a wspierany przez Dominika Andrzejczuka, Polaka z USA. Firma twórcy Visegrad24 zarabiała na finansowanych z budżetu za rządów PiS kampaniach medialnych. Tompson od lat twierdzi, że w RPA ma miejsce „afrykański Wołyń".

Trump eskaluje napięcie

W ślad za oskarżeniami poszli rzekomi uchodźcy – biali farmerzy zaproszeni do USA jako uciekinierzy. W pierwszej grupie było ich kilkudziesięciu. Do kolejnej zgłosiło się i zakwalifikowało dziewięć osób.

Następnie Stany uznały za *persona non grata* świeżo nominowanego ambasadora RPA. Pretekstem była jego rzekoma krytyka Trumpa – choć kontekst wskazywał, że ambasador apelował o zrozumienie dla nowych władz USA. ↦

Droga biegnąca przez świeżo skoszone pola pszenicy na Zachodnim Przylądku, RPA



↦ Te dorzuciły kolejny cios: na swojego ambasadora nominowały Brenta Bozella, skrajnie prawicowego aktywistę i apologetę Izraela. Tymczasem to RPA wniosła przeciw Izraelowi sprawę do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w związku z ludobójstwem w Gazie.

Po wycofaniu swojej delegacji ze szczytu G20, który miał miejsce w listopadzie w Pretorii, USA zagroziły kolejnym uderzeniem. W amerykańskim Senacie trwają rozmowy w sprawie przedłużenia AGOA, umowy handlowej USA z krajami Afryki, która w obecnym kształcie wyklucza Południową Afrykę.

Pretoria próbowała odpowiadać dyplomacją. W maju 2025 r. w Białym Domu stawił się prezydent Cyril Ramaphosa, by dowodzić, że nie ma ludobójstwa białych. W jego delegacji było kilka prominentnych postaci o białym kolorze skóry, m.in. miliarder, minister rolnictwa i dwóch zawodowych golfistów (Trump uwielbia wszak golfa).

Nic to nie dało. Dziś napięcie na linii Stany–RPA jest silniejsze niż kiedykolwiek od końca apartheidu w 1994 r.

Dwuznaczny multilateralizm

Za niechęcią Białego Domu stoi konkretny interes polityczny.

Od dłuższego czasu rząd w RPA próbuje ustawić się wśród liderów multilateralizmu – światowej polityki, w teorii zakładającej równorzędną współpracę wielu państw. Służą temu m.in. inicjatywa BRICS (grupa 10 krajów na czele z Brazylią, Rosją, Indiami, Chinami i właśnie RPA) czy New Development Bank (alternatywa dla Banku Światowego).

Na razie to instytucje słabe, ale odpowiadają na wizję tworzenia alternatywy dla świata zdominowanego przez Zachód – wizję popularną na tzw. Globalnym Południu.

Trzeba jednak przyznać, że za tym hasłem, promowanym także przez rząd RPA, kryje się również zacieśnianie relacji z Chinami i Rosją. A także brak krytyki wobec rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie czy łamania praw człowieka przez reżim w Pekinie. Jak też „zarządzanie napięciami": wizja balansowania między światowymi potęgami tak, by zyskać jak najwięcej korzyści dla siebie.

Gdy kończył się szczyt G20 w Pretorii, prezydent Ramaphosa mówił: „Przyjęta deklaracja pokazała, że duch multilateralizmu i kooperacji żyje i jest silny".

Nic nie wskazuje, by rząd Polski chciał realizować ambicję znalezienia się w G20 kosztem Południowej Afryki. **Ale polskie intencje to jedno, a dynamika wydarzeń to drugie – ona już ma miejsce.**

Dla Stanów to jak rzucenie wyzwania. Trump chce dogadywać się, robić „deale", ale z pozycji siły. RPA to zaś najsłabszy z członków grupy BRICS. Jest więc łatwym celem.

Kogo słuchają Amerykanie

Ale czemu akurat „białe ludobójstwo"? To zagadka nawet dla wielu białych farmerów z RPA, którzy z łatwością wyrażają poglądy rasistowskie, ale często są zdziwieni radykalną postawą USA. I to pomimo ich słabości do Trumpa i ruchu MAGA.

Nie bez znaczenia jest tu fakt, że w minionych latach wielu Afrykanerów korzystało z wizy H-2A, która umożliwia pracę na farmach w USA. Wiza ta istnieje od 1986 r., a w latach 2011-24 liczba korzystających z niej Południowych Afrykańczyków wzrosła o 1300 procent.

Wraz z ich obecnością w Stanach wzrosła podatność Amerykanów na najbardziej radykalne narracje dotyczące realiów w RPA – bo opowiadane przez ludzi, którzy utracili najwięcej przywilejów.

Z kolei w RPA, w przydrożnych kawiarniach, łatwo usłyszeć spiskowe wizje – w rodzaju tej, że biali farmerzy dogadują się z Trumpem za plecami swego rządu. Od lat mówi się też o „niepodległości Zachodniego Przylądka", czyli secesji jednej z najbogatszych prowincji RPA, rządzonej przez partię postrzeganą jako „biała" (w różnych wariantach tej teorii mowa jest też o kilku innych regionach).

Tyle tylko, że są to opowieści niewielkiej, nawet w obrębie białej populacji, grupy ludzi, której wpływ na politykę wewnętrzną w RPA jest znikomy. Czemu więc Stany miałyby korzystać z tego akurat narzędzia do politycznej walki?

Pomysł RPA na rozwój

W trakcie rozmów, w których uczestniczyłem na Światowym Forum Dziennikarzy Naukowych w grudniu 2025 r. w RPA, pracownicy tutejszego Ministerstwa Nauki i Innowacji otwarcie mówili, że nie mają nadziei na dogadanie się z ekipą Trumpa.

Ten resort ma kluczowe znaczenie. Pretoria próbuje wykorzystać ogromne zasoby minerałów ziem rzadkich – w przypadku platyny największe na świecie, a potężne dla manganu, litu i innych surowców niezbędnych do „zielonej transformacji" – aby podźwignąć swoją gospodarkę.

Pomysł jest prosty: zamiast być dostawcą surowców, typowym krajem Globalnego Południa, rząd RPA chce oferować współpracę. Kraj ma surowce, a partnerzy przychodzą z technologią i innowacjami, w efekcie wszyscy korzystają po równo.

Narzędziem są tu wielkie projekty. Takie jak Just Energy Transition Partnership – projekt wspierający odnawialne źródła energii, z udziałem UE, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA, wart 8,5 mld dolarów. Albo prace nad zielonym wodorem, rozwijane z Japonią, Niemcami i Holandią.

Podobnych projektów, większych i mniejszych, są w RPA dziesiątki.

Tak przykładowo, w konglomeracie wielu państw powstaje Square Kilometer Array (SKA): największy radioteleskop w historii. Jego siedziba jest w Wielkiej Brytanii, część sprzętu w Australii, a najważniejszy element na pustyni Karru w RPA (Polska rozważa przystąpienie do tego projektu).

O co toczy się gra

Taką koncepcję, wiążącą lokalne surowce z technologią z zewnątrz, zawiera strategia wykorzystania metali ziem rzadkich, opublikowana przez RPA w maju 2025 r. W momencie kluczowym, bo w apogeum konfliktu o „białe ludobójstwo".

I o to właśnie może tutaj chodzić. Biały Dom jako jedyne duże państwo nie uczestniczy np. w projekcie SKA, choć niesie to ryzyko marginalizacji wiodącej dotąd pozycji Stanów w radioastronomii. Zamiast tego USA podejmują działania, które odczytywane są jako próba osłabienia reputacji RPA

wśród światowych inwestorów, a nawet próba destabilizacji kraju.

Osiągnięcie tych celów oznaczałoby dyktowanie warunków przez Trumpa – sprowadzenie RPA do roli dostawcy surowców, a nie partnera (w praktyce mogłoby to oznaczać też ograniczenie dostępu Chin do surowców krytycznych w RPA).

Tyle że na razie polityka ta wiąże się dla Stanów z ogromnym kosztem, a rząd RPA wcale nie przegrywa tej rozgrywki – ani o reputację, ani o minerały, ani o naukę. Chaos wykorzystują za to rywale Stanów. Na początku grudnia 2025 r. zapadła decyzja, że w 2029 r. konferencja Światowego Forum Dziennikarzy Naukowych odbędzie się w Pekinie (kosztem Australii).

Chiny dostały więc okazję, by wykorzystać setki dziennikarzy – od „Scientific American" przez „Nature" i „National Geographic" po redakcje z Afryki i Ameryki Łacińskiej – do dalszego budowania swojego wizerunku jako alternatywnego partnera wobec Amerykanów, którzy „się obrażają".

Gdzie dwóch się bije, czyli Polska w G20?

Po RPA przewodnictwo w grupie G20 objęły Stany. I zaraz ogłosiły, że odsuną Południową Afrykę od stołu do czasu aż ta, jak ujął to sekretarz stanu Marco Rubio, „podejmie trudne decyzje konieczne do naprawienia zepsutego systemu i będzie ponownie gotowa do dołączenia do rodziny wolnych i prosperujących narodów".

W tym samym czasie Amerykanie zaprosili Polskę, jako jedyne nowe państwo, do udziału w pełnym zakresie w szczycie G20, który odbędzie się w Miami w grudniu 2026 r.

Nic nie wskazuje, aby rząd Polski chciał realizować ambicję znalezienia się w G20 kosztem Południowej Afryki. Ale intencje Warszawy to jedno, a dynamika wydarzeń to drugie – to już się dzieje. Na spotkaniu organizacyjnym szczytu w Miami zjawiła się delegacja z Warszawy, nie było za to delegacji z Pretorii.

Kłopot w tym, że zyskując miejsce w G20 w ten sposób, Polska sporo ryzykuje.

Grupa G20 to gremium prestiżowe, ale niemające stałego sekretariatu. Nie jest to NATO ani UE – to raczej miejsce przy stole razem z największymi. Jak dotąd nigdy nikogo z niej nie wyrzucono, nie udało się to nawet po agresji Rosji na Ukrainę. Usunięcie z niej RPA byłoby wydarzeniem bez precedensu. A zarazem elementem rozmontowywania grupy G20 przez Waszyngton.

Polska w intrydze Trumpa

Na czym miałoby polegać to rozmontowywanie? Niektórzy analitycy przewidują, że szczyt w Miami może stać się spotkaniem o takim charakterze jak polityka Trumpa – transakcyjnym. To znaczy: skoncentrowanym na Stanach, podczas którego do kosza trafią całe dziedziny współpracy i sama idea wspólnych interesów.

Globalne Południe zapomniało Polsce inne wielkie poddanie się woli USA: wojnę w Iraku. Ostatecznie udział w niej nam się opłacił – jako nasza inwestycja polityczna w sojusz z USA. Tyle że w 2003 r. byliśmy krajem dopiero rozwijającym się (i drugorzędnym członkiem tamtej koalicji George'a W. Busha).

Dziś jesteśmy jedną z najprężniejszych gospodarek Europy. Nasza rola w intrydze Trumpa byłaby wprawdzie przedmiotowa, ale kluczowa. Jednym słowem – ryzykujemy, że posłużymy Stanom do wywrócenia szachownicy, na której pragniemy się znaleźć.

Czy zrozumiemy tę grę?

W konflikcie Stanów z RPA oba kraje licytują wysoko. Nawet jeśli Trump zmusi innych do posłuszeństwa, będzie jasne, że pozostali partnerzy – od Europy po Azję – rozdanie to przyjmą tylko z konieczności. I że będą szukać alternatywy dla systemu, w którym Biały Dom chce dyktować warunki.

Tymczasem czy to na Zachodnim Przylądku, czy w Górach Smoczych – biali farmerzy z RPA nie analizują głęboko polityki Trumpa. Niekiedy łudzą się, że szkodząc ich krajowi, prezydent USA przysłuży się im.

Widać jednak, że często są też świadomi, iż Trumpowi nie chodzi o nich, że jedynie nimi gra. Pytanie, czy rozumiemy to nad Wisłą. © TADEUSZ MICHROWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY





GENYA SAVILOV / AFP / EAST NEWS

Po ataku rosyjskich dronów w Kijowie. Ukraina, 29 listopada 2025 r.

Scenariusze dla Ukrainy

JURIJ BUTUSOW, UKRAIŃSKI DZIENNIKARZ, ANALITYK WOJSKOWY I ŻOŁNIERZ:

Rosja nie będzie zagrożeniem dla Europy, dopóki stawiamy opór. Dopóki to na nas, na Ukrainie, skupione są rosyjskie siły i zasoby.

ANTONINA PALARCZYK: Czy Twoja decyzja o wstąpieniu do armii wynikała z utraty wiary w zmiany systemowe w kraju? Jako dziennikarz śledczy miałeś możliwości wpływu na decyzje na poziomie państwowym, a teraz jesteś na froncie jako żołnierz.

JURIJ BUTUSOW: O potrzebie stawiania oporu do końca można mówić tylko wtedy, gdy samemu jest się częścią tego oporu.

Jaką funkcję pełnisz?

Dowodzę oddziałem operatorów dronów. Rozpoznawczych, ale też uderzeniowych. Ta wojna opiera się na broni o wysokiej precyzji, która z kolei działa tylko w połączeniu z precyzyjnym zwiadem.

Jak opisałbyś sytuację na froncie?

Trwa wojna pozycyjna, wróg wywiera presję wzdłuż całego frontu, by wykorzystać swoją przewagę. Rosjanie atakują jednocześnie na wielu odcinkach, abyśmy nie mogli manewrować naszymi siłami i rotować jednostek. Na poziomie taktycznym niewielkie grupy piechoty prowadzą ciągłe operacje szturmowe. Odpieramy je, ale powoli się cofamy. Mamy mniej ludzi i mniej środków, przede wszystkim aby móc używać drony w większej niż dotąd skali.

W social mediach ukraińskich brygad coraz częściej pojawiają się filmy o żołnierzach, którzy po kilka miesięcy przebywają na pozycji. One są dowodem niezłomności tych ludzi, ale chyba także dowodem nieodpowiedzialności ich dowódców?

Prawdę o czynach konkretnych osób trzeba mówić. Co do odpowiedzialności dowództwa, to faktycznie problem częściowo leży w tym, jak prowadzona jest rotacja i jak planuje się działania. Jednak to problem obiektywny w sytuacji, gdy wróg stale atakuje, a jego drony kontrolują strefę frontową i prowadzące do niej drogi.

Wyjście z niektórych pozycji jest śmiertelnie niebezpieczne. Dlatego niektóre rotacje mogą trwać miesiąc lub dwa. Zwłaszcza jeśli długo nie ma pogody, która ułatwia rotację, jak deszcz lub mgła.

To także kwestia uzupełnień: czy do danej jednostki trafia dość zmotywowanych i przeszkolonych ludzi, by mogła prowadzić rotację, luzować. Wreszcie – to kwestia woli. Czy będziemy bić się o tę konkretną miejscowość, czy nie? Bo można cofać się w nieskończoność albo trzymać ją do końca.

Jakie są możliwe militarne scenariusze dla Ukrainy w 2026 r.?

Dobrym scenariuszem byłyby takie zmiany po naszej stronie, na szczeblu strategicznym i taktycznym, które przewyższą zmiany zachodzące w armii wroga. To pozwoliłoby zatrzymać front. Gdy to się stanie, dojdzie do koreańskiego wariantu, kiedy nie ma pokoju, ale dochodzi do faktycznego zatrzymania działań bojowych.

Dziś byłby to dla nas wariant najbardziej optymalny. Myślę, że jeśli będziemy mogli liczyć na odpowiednie wsparcie ze strony Europy, zwłaszcza finansowe, to Ukraina będzie zdolna do samodzielnego wyprodukowania takiej ilości dronów i środków walki z wrogimi dronami, by zatrzymać front i zadawać Rosjanom straty, których nie będą w stanie odrabiać.

Można wiele mówić o Trumpie, ale to on pokazał, iż to Europa w pierwszej kolejności powinna zająć się wsparciem Ukrainy, bo to głównie interes Europy.

Rosja nie będzie zagrożeniem dla Europy, dopóki Ukraina walczy, i dopóki to na niej skupione są rosyjskie siły i zasoby. Jeśli Rosjanie otrzymają możliwość regeneracji, to oni wypracowali już schemat, logikę agresji, która każe im pójść dalej.

Europa to dla Rosji odwieczny przeciwnik, z którym zawsze będzie walczyć o to, aby zmniejszać wpływy europejskich państw. To trwa od wieków, to naturalna konfrontacja geopolityczna.

Europa jest na nią gotowa?

Europa ma niedostatecznie rozwinięty przemysł wojskowy, aby się bronić i móc manifestować swoją siłę w polityce zagranicznej. Pomagając Ukrainie, Europa pomaga sobie: zyskuje czas na reorganizację w tej sferze.

Historia świata pokazuje, czym się kończy, gdy politycy mają małą wiedzę historyczną. Próby przekonania samych siebie i wyborców, że agresora można odeprzeć tylko pokojowymi metodami – to wszystko już było, wielokrotnie. I nigdy nie zadziałało. Jeśli nie będzie polityki odstraszania, przeciwdziałania, żadne działania dyplomatyczne nie przyniosą skutku.

Dlatego z szacunkiem patrzę na działania polskich władz, które polegają nie tylko na wspieraniu Ukrainy, ale też wzmacnianiu własnego potencjału i przemysłu obronnego. Oraz poszukiwaniu i dywersyfikowaniu dostaw broni i technologii z różnych krajów. To przemyślana polityka, której kurs jest niezmienny niezależnie od tego, kto u was rządzi.

Jak oceniłbyś obecne stosunki polsko-ukraińskie?

Mam szacunek dla tego, co Polska robiła i robi. Polska pomoc od początku 2022 r. była nieoceniona i na bezprecedensową skalę. A że z czasem w sferze medialnej pojawiły się problematyczne tematy, to normalne. To wewnętrzny dyskurs, walka polityczna.

Bez względu na to, wsparcie Polski było i jest dla nas kluczowe. I powtórzę: to ważne, że Polska buduje swój potencjał obronny, bo pozwoli to prowadzić bardziej aktywną politykę zagraniczną. Sądzę, że przyjazną Ukrainie, bo mamy wspólne interesy w sferze bezpieczeństwa.



ANTONINA PALARCZYK

JURIJ BUTUSOW jest ukraińskim dziennikarzem, założycielem portalu Censor.net. Wojnę z Rosją relacjonował od jej początku w 2014 r. Publikował reportaże z frontu, prowadził śledztwa dziennikarskie dotyczące korupcji. W maju 2025 r. wstąpił na ochotnika do 13. Brygady Gwardii Narodowej „Chartia", która walczy na Charkowszczyźnie. Na wywiad spotkaliśmy się w Charkowie, dokąd przyjechał z frontu na przepustkę.

Ukraina może wiele nauczyć się od Polski, jeśli idzie o prowadzenie reform, wzmacnianie państwa. Polska od lat prowadzi stabilną i przewidywalną politykę gospodarczą, by przyciągać inwestycje i siłę roboczą. To przynosi efekty i pozwala także na realizację programu zbrojeniowego.

Siła ekonomiczna, siła finansowa, siła militarna, siła technologii – tu musi być synergia. Mam nadzieję, że będziemy strategicznymi partnerami.

Chcę zapytać o Rosję: jak rosyjska armia zmienia się w toku tej wojny?

Rosja przeprowadza wiele zmian na poziomie taktycznym, operacyjnym i strategicznym. Ale, patrząc z perspektywy wojennego rzemiosła, jej działania są dość prymitywne i schematyczne. Są przewidywalne i mają wiele wrażliwych punktów. Ukraina nie jest w stanie wykorzystać tych słabości, gdyż kluczowym elementem rosyjskiej strategii jest wykorzystanie przewagi liczebnej, gdy idzie o ludzi i uzbrojenie.

Rosja budowała ten arsenał, podczas gdy Europa i Ameryka wierzyły w politykę powstrzymywania jej metodami pokojowymi. Rosja cały czas przygotowywała się do przyszłych wojen, jej przemysł zbrojeniowy przewyższa łączny potencjał militarny państw Europy. Sama produkuje znaczną część wykorzystywanych przez siebie środków rażenia.

Rosja wykorzystuje tę przewagę.

Na niej buduje strategię w walce z Ukrainą i stara się ją systematycznie realizować. Mamy tu do czynienia z jednym systemem pracy na wszystkich poziomach. Ustalili, jak będą realizować swoją przewagę liczebną, organizacyjną, przy użyciu wszystkich zasobów państwa. W tych ich działaniach jest pewna logika, wszystko jest jej podporządkowane.

Jak można temu przeciwdziałać?

Gdy rozmawiałem z zachodnimi politykami, mówiłem im, że Ukraina może wygrać tę wojnę, ale potrzebujemy porównywalnego do Rosji finansowania sił zbrojnych. Zwłaszcza w sferze dronów. Pięć-sześć miliardów euro rocznie mogłoby przyczynić się do zbudowania przez nas takiej przewagi w dronach, że nie dałby temu rady żaden z rosyjskich atutów.

Bo przewaga w liczbie ludzi nie odgrywa dziś roli w tej wojnie. Ona działa tylko wtedy, gdy po naszej stronie są problemy z organizacją, gdy brakuje nam broni i dronów. Gdybyśmy mieli odpowiednią ilość tych ostatnich, wróg nie miałby dziś żadnej przewagi.

Wierzę, że gdyby kraje Europy skupiły się nie tylko na wspieraniu Ukrainy tak, by mogła się dalej bronić, ale na osiągnięciu zwycięstwa w wojnie z Rosją, byłoby to możliwe. To nie jest oderwane od rzeczywistości marzenie. Chodzi o to, by z pomocą dronów niszczyć tak wielką liczbę rosyjskich okupantów, jakiej nie będą już mogli zmobilizować w Rosji.

© Rozmawiała w Charkowie
ANTONINA PALARCZYK

Tłuste koty z Waszyngtonu

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Chaotyczna polityka Trumpa to raj dla lobbystów na usługach biznesu i zagranicznych rządów. Są oni częścią „bagna", które ten w trakcie kampanii wyborczej obiecywał „osuszyć". Nie zrobił tego. Jak w USA działa dziś lobbing?

Brian Ballard, szatyn o przyjaznej twarzy, kocha Florydę. Jednak dziewięć ostatnich lat spędził na rozkręcaniu biznesu w Waszyngtonie. Oddział swojej firmy lobbingowej otworzył tu w styczniu 2017 r., zaraz po tym, jak Donald Trump zaczął swą pierwszą kadencję. W rozmowie z dziennikiem „Tallahassee Democrat" Ballard tłumaczył przed laty, że zrobił to, bo jego klienci szukali pomocy przy zdobywaniu kontaktów w administracji.

On nadawał się do tego idealnie. Wcześniej pracował dla firm Trumpa jako lobbysta i zbierał fundusze na jego kampanię w 2016 r. Ich znajomość datuje się na lata 80. XX w., kiedy to Ballard miał napisać list do Trumpa, chwaląc jego wydaną wówczas książkę „The Art of the Deal, czyli sztuka robienia interesów".

65-letni dziś Ballard, który pracował wtedy w biurze gubernatora Florydy, nie mógł wiedzieć, że ten list okaże się jednym z najbardziej owocnych posunięć w całej jego karierze.

Od TikToka po Harvard

Dzięki powiązaniom z administracją Trumpa, Ballard Partners jest dziś najlepiej opłacaną firmą lobbingową w USA. Tylko w trzecim kwartale 2025 r. zarobiła ponad 25 mln dolarów – cztery razy więcej niż w tym samym okresie rok wcześniej, gdy rządził Joe Biden.

Lobbing w erze Trumpa ma się tak dobrze, że Ballard zatrudnił w ostatnim półroczu dodatkowy personel i powiększył powierzchnię biurową w Homer Building. To centrum biznesowe oddalone o kwadrans spacerem od Białego Domu. Blisko stąd także do słynnej K Street, zagłębia firm lobbingowych.

Do Ballard Partners zgłaszają się giganci z branży farmaceutycznej i paliwowej, big techy (jak Amazon i TikTok), a także Uniwersytet Harvarda i inne uczelnie atakowane przez administrację Trumpa. Wśród klientów są też firmy z branży kryptowalut oraz Netflix i Paramount Skydance – rywale w walce o przejęcie imperium medialnego Warner Bros. Discovery. Zatwierdzać tę transakcję na amerykańskim rynku ma Departament Sprawiedliwości, którym kieruje dziś Pam Bondi – wcześniej lobbystka z Ballard Partners.

Kontakty Ballarda sięgają też Białego Domu, gdzie szefową personelu jest Susan Wiles, jego była podwładna. To wszystko sprawia, że do tej firmy – i do innych, także mających powiązania z administracją, jak Miller Strategies czy BGR Group – stoją kolejki klientów. W tym rządy zagranicznych państw, które szukają sposobu na ułożenie sobie relacji z Trumpem.

Kto da więcej

Najbardziej oczywistą kwestią jest próba urobienia Białego Domu, by nie nakładał ceł na towary importowane do USA. Portal Politico twierdzi, że po pomoc lobbystów związanych z administracją Trumpa sięgnęło co najmniej 30 państw, w tym Korea Południowa, Japonia i Indie. Tym ostatnim i tak nie udało się uniknąć 50-procentowych ceł, choć zatrudniły firmę należącą do Jasona Millera, doradcy Trumpa z czasów kampanii wyborczej.

W łaski prezydenta wkupił się za to Pakistan, który według źródeł „New York Timesa" wydał co najmniej trzy razy więcej na lobbing niż Indie. Na rzecz Islamabadu działali m.in. byli partnerzy biznesowi Trumpa, jego dawny ochroniarz, a także były sekretarz obrony Mark Esper. Efekt: cztery miesiące po zatrudnieniu lobbystów, prezydent obniżył Pakistańczykom cła z 29 do 19 procent.

Przy czym lobbing to jedna z przyczyn tego sukcesu – Pakistan zjednał sobie Trumpa także ustępstwami. Otworzył rynek na produkty rolne z USA i zgodził się na eksport do Stanów swoich metali ziem rzadkich (co ma częściowo uniezależnić USA od dostaw z Chin). Pakistan nominował też Trumpa do Pokojowego Nobla – twierdząc, że odegrał on kluczową rolę dla zawarcia przezeń rozejmu z Indiami w maju 2025 r.

Afryka się wykosztowuje

Szykując się na burzliwe rządy Trumpa, niektóre państwa zatrudniły lobbystów jeszcze przed jego powrotem do Białego Domu. Ambasada Somalii zakontraktowała firmę BGR Group już trzy tygodnie po wyborach prezydenckich w 2024 r. Według dokumentu, do którego dotarła redakcja „The Africa Report", ten jeden z najbiedniejszych krajów na świecie za roczne usługi lobbystów miał zapłacić 600 tys. dolarów.

Można się domyślać, że główny cel tej „inwestycji" to wsparcie w torpedowaniu propozycji doradców Trumpa, by Somaliland – samozwańcza republika, która oderwała się od Somalii – została uznana przez Stany. Somalia zatrudniała lobbystów już wcześniej, za pierwszej kadencji Trumpa – wtedy chodziło jej o to, aby usunięto ją z listy krajów objętych zakazem wjazdu do USA.

Z obawy przed trafieniem na celownik Trumpa, lobbystów zatrudniają też inne kraje Afryki, jak Sudan i Demokratyczna Republika Konga. Temu drugiemu w dniu powrotu Trumpa do Białego Domu Ballard podwyższył stawkę: z 75 tys. do 100 tys. dolarów miesięcznie. Nowy prezydent na dzień dobry zrobił zaś coś, czego władze w Kinszasie chciały uniknąć: zawiesił pomoc rozwojową, na której DRK, pogrążona w wojnie domowej, mocno polegała.

Płaci nawet Bruksela

Jednak tłuste koty z Waszyngtonu zarabiają nie tylko na biednych i zdesperowanych. W maju 2025 r. umowę z Ballard



ANDREW HARRER / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Dzięki powiązaniom z administracją Trumpa, Ballard Partners jest dziś najlepiej opłacaną firmą lobbingową w USA. Na zdjęciu jej właściciel Brian Ballard: z Trumpem znają się od lat 80. XX wieku, a w 2016 r. Ballard zbierał fundusze na jego kampanię.

Partners podpisało biuro przedstawicielskie Tajpej w USA, pełniące *de facto* rolę ambasady Tajwanu. Koszt usługi: 60 tys. dolarów miesięcznie.

To nieco mniej niż zapłacił rząd Danii za doradztwo, gdy Trump zagroził aneksją duńskiej Grenlandii. Firma Mercury Public Affairs – kolejny były pracodawca obecnej szefowej personelu Białego Domu – ściągnął od Duńczyków 263 tys. dolarów za cztery miesiące pracy.

Z raportów, które muszą składać firmy lobbingowe, wynika też, że z ich usług korzystała nawet Delegatura Unii Europejskiej w Stanach. Według ustaleń Politico kontrakt z DCI Group – firmą mającą dobre kontakty w Partii Republikańskiej – podpisano jeszcze przed wyborami w 2024 r. Zakres usług: doradztwo w sprawie strategii komunikacyjnej dotyczącej handlu.

Ja napiszę, a ty zgłoś

Open Secrets, organizacja śledząca przepływy pieniężne w amerykańskiej polityce, wylicza, że wydatki na usługi lobbystów w 2025 r. rosły w najszybszym tempie od roku 2008 – wtedy w tej branży wprowadzono obowiązek kwartalnego raportowania.

Inna sprawa, że lobbing to w Stanach sprawnie funkcjonująca machina bez względu na to, kto rządzi w Białym Domu albo kto ma większość w Kongresie. Wielki biznes tradycyjnie przepycha korzystne dla siebie przepisy z pomocą lobbystów. Nie jest rzadkością, że piszą oni gotowe projekty ustaw, które następnie podsuwają kongresmenom, by nadali im bieg.

W tym dysfunkcyjnym systemie dzieje się tak m.in. ze względu na braki kadrowe w biurach kongresmenów i fakt, że poświęcają oni dużo czasu na kampanie o reelekcję (w Izbie Reprezentantów kadencja trwa tylko dwa lata).

Widać też inną prawidłowość, poniekąd zrozumiałą: na lobbingu najlepiej zarabiają firmy powiązane z obozem aktualnego prezydenta. Tak było np. w 2021 r., pierwszym roku rządów Bidena, gdy największy kawałek tego „tortu" przypadł m.in. lobbystom z firm Putala Strategies i Ricchetti Inc.; tę drugą prowadził brat Steve'a Ricchettiego, doradcy Bidena.

Również i wtedy do lobbystów zgłaszały się rządy – w tym Ukraina, zabiegająca wówczas o pomoc wojskową USA. Niektóre kraje stale korzystają z lobbingu, by zapewnić sobie sprzedaż amerykańskiego uzbrojenia, zyskać przychylność Waszyngtonu w jakimś konflikcie regionalnym lub po prostu poprawić relacje.

Przysługa za przysługę

Jest jednak coś, co zmieniło się w „waszyngtońskim bagnie" – to określenie samego Trumpa, który w trakcie kampanii prezydenckiej obiecywał je „osuszyć". Częściej niż kiedyś lobbing odbywa się z pominięciem urzędników federalnych i kongresmenów. Lobbystami stają się zaś np. prezesi firm, zabiegający o spotkanie z Trumpem lub ludźmi z jego otoczenia.

Obrazuje to historia Jen-Hsuna Huanga, prezesa firmy Nvidia. Dzięki bliskim relacjom z Białym Domem i gotowości na biznesowe ustępstwa, uzyskał on zgodę Trumpa na sprzedaż do Chin zaawansowanych chipów, produktu strategicznego. Zgodnie ze swoją transakcyjną logiką, Trump zażądał od Nvidii, by do rządu USA trafiała jedna czwarta zysków ze sprzedaży tych chipów.

„Kiedyś spotkanie z prezydentem było ostatnią rzeczą, jaką można było zrobić, bo w zasadzie i tak w niczym nie pomagało" – mówił James Thurber, emerytowany profesor z American University, cytowany przez Politico. Thurber dodawał, iż obawia się, że pominięcie tradycyjnych lobbingowych zasad gry doprowadzi do przepychania fatalnych przepisów prawnych, dyktowanych prezydencką logiką „przysługa za przysługę".

Dla amerykańskich lobbystów dobra wiadomość jest taka, że spotkanie z Trumpem wywalczyć mogą sobie tylko nieliczni. Reszta da zarobić tłustym kotom z Waszyngtonu, takim jak Brian Ballard. ©

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".



Po dwóch latach nieobecności choinka wróciła na plac przed Bazyliką Narodzenia Bożego. Betlejem, 26 grudnia 2025 r.

Choinka wróciła na Plac Żłóbka

TEKST I ZDJĘCIA JAN POCHEĆ Z BETLEJEM (AUTONOMIA PALESTYŃSKA)

PALESTYNA | Od pięciu lat Betlejem funkcjonuje w kryzysie. Covid i wojna w Gazie sprawiły, że zmalał ruch pielgrzymów. Większość z nich to dziś chrześcijańscy Palestyńczycy. Żydzi żyją już tylko w zamkniętych osiedlach.

Irlandczyk Thomas Kilduff jest jednym z niewielu zagranicznych pielgrzymów, którzy w grudniu 2025 r. przybyli do Betlejem. Po dwóch latach nieobecności do miasta wróciła też choinka, jej blask rozświetla plac przed Bazyliką Narodzenia Bożego. A wraz z nią dziesiątki straganiarzy, którzy z daleka rozpoznają turystę i żarliwie nakłaniają do zakupów.

Kilduffa spotykam w sklepie z pamiątkami obok bazyliki. Należy do Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego. Co roku w okresie Bożego Narodzenia przyjeżdża do Betlejem, a w Wielkanoc do Jerozolimy. Opowiada, że od 7 października 2023 r., gdy Hamas zaatakował Izrael, życie w Betlejem nie wróciło do normy. Choć rok 2025 i tak był lepszy niż poprzedni.

Wcześniej przybywały tu dziesiątki tysięcy chrześcijan z całego świata. W grudniu 2025 r. przyjechało ich z zagranicy tylko około dwóch tysięcy.

Thomas Kilduff dodaje, że brak turystów oznacza brak przychodów dla lokalnej społeczności, także tej chrześcijańskiej.

Ta z roku na rok maleje, a przecież to ona tworzy – jak twierdzi pielgrzym – *living stones*, żywą wspólnotę wiernych w Ziemi Świętej.

TAKŻE POLAKÓW MNIEJ | Kilduff mówi, że jako Irlandczyk rozumie Palestyńczyków i poczuwa się do solidarności z nimi. Że oba narody zostały skrzywdzone przez Brytyjczyków: Irlandczycy okupacją ich wyspy, a Palestyńczycy deklaracją Balfoura (w 1917 r. szef brytyjskiego MSZ Arthur Balfour zaakceptował plan stworzenia państwa żydowskiego w Palestynie).

Do rozmowy dołącza Ronnie. Jest jednym z niewielu Palestyńczyków-katolików. Okazuje się, że on i Thomas mają wspólnych znajomych w tutejszym Kościele. Wymieniają się kontaktami, cieszą ze spotkania.

Ronnie Tabash od lat prowadzi ten sklep z pamiątkami. Zna polski. W drzwiach wita nas zdjęcie Andrzeja Dudy i jego małżonki wraz z Ronniem. Są też naklejki z hasłem „Taniej niż w Biedronce jest zawsze w Betlejem". Tabash mówi ciepło o Polakach, pokazuje film na YouTubie, w którym wykonuje utwór „Jezu, jesteś moim Bogiem". – Wykonywałem go przed Janem Pawłem II – opowiada z dumą.

Pytany, jak wielu Polaków odwiedza Betlejem, mówi, że po 7 października 2023 r. jest ich zdecydowanie mniej. – Przyjeżdża mniej pielgrzymek, zorganizowanych grup. Ale czasem zajrzą do mojego sklepu, zawsze witam ich ciepło i mam dla nich specjalną cenę.

PIĘĆ LAT KRYZYSU | Od 2020 r. Betlejem funkcjonuje w nieustannym kryzysie. Najpierw w roku 2020 i 2021 obchody świąteczne ograniczono w związku z pandemią, a lockdowny zatrzymały zagranicznych pielgrzymów. Gdy rok 2022 przyniósł powody do optymizmu, 7 października 2023 r. Hamas zaatakował Izrael, co dało początek wojnie w Gazie. Ruch turystyczny i pielgrzymi spadł niemal do zera. Sytuację pogorszyła wojna Izraela z Iranem w czerwcu 2025 r.

Symbolem tego kryzysu stała się choinka, która zgodnie z tradycją co roku powinna stać przy Placu Żłóbka. W grudniu 2023 i 2024 r. jej nie było: poprzez ten gest palestyńskie władze Betlejem chciały pokazać solidarność z cierpiącymi w Gazie. Wróciła teraz, wraz z paradą skautów.

Nie wróciła za to do Betlejem masowa turystyka. Z rozmów na miejscu można sądzić, że większość przyjezdnych to przede wszystkim arabscy i palestyńscy chrześcijanie – na co dzień mieszkający w Izraelu bądź w takich miastach Autonomii Palestyńskiej jak Nablus czy Nazaret. Dopiero w Wigilię zjawiło się więcej pielgrzymów z różnych zakątków świata.

W KOLEJCE DO GROTY | Tymczasem dla lokalnej gospodarki istotne jest nie tylko, ilu pielgrzymów i turystów tu przybywa, ale także, na jak długo się zatrzymają i gdzie nocują. Jerozolima, choć droższa od Betlejem, jest uważana powszechnie za bezpieczniejszą, a oba miasta dzieli tylko niecałe 10 km. To sprawia, że większość przybyszów decyduje się jedynie na jednodniowy przyjazd do Betlejem, nie wspierając tym samym hotelarzy i restauratorów.

Jednak kim są ci zagraniczni odwiedzający? Wydaje się, że to głównie członkowie stowarzyszeń wiernych bądź rodziny, które podczas świąt odwiedzają bliskich mieszkających w Izraelu.

Czekając w kolejce do Groty Narodzenia, spotykam rumuńską rodzinę. Od ich syna dowiaduję się, że jest pracownikiem rumuńskiej ambasady w Tel Awiwie. Rodzice go odwiedzili, a jako chrześcijanie, jak mówią, musieli przecież odwiedzić Betlejem.

PIELGRZYMI Z HAJFY | Kilka dni później spotykam w Hebronie Hiszpankę, która wraz z matką podróżuje po Zachodnim Brzegu Jordanu. Córka pracuje w hiszpańskiej organizacji pozarządowej, która ma siedzibę w Ramallah, stolicy Autonomii. Matka zaś zdecydowała się ją odwiedzić na urlopie (obie proszą, by nie podawać ich imion).

Opowiadając mi o swoim pobycie w Betlejem, zauważają, że na ulicach było słychać głównie arabski i że spotykały przede wszystkim albo mieszkańców, albo chrześcijańskich Palestyńczyków mających obywatelstwo Izraela. Ci zjechali do miasta głównie w sobotę, umowny drugi dzień świąt, gdyż to dla nich dzień wolny ze względu na szabat w Izraelu.

Taką palestyńską grupę spotkam potem w restauracji franciszkańskiego Domu Pielgrzyma w Betlejem: to chrześcijanie z Hajfy, wyznawcy zarówno Kościoła katolickiego, jak też Kościołów wschodnich. Czują się tu bezpiecznie – mówią po arabsku i uważają się za Palestyńczyków.



Ronnie Tabash (z lewej) prowadzi w Betlejem znany sklep z pamiątkami. Irlandczyk Thomas Kilduff (z prawej) jest jednym z niewielu zagranicznych pielgrzymów, którzy przybyli tu w okresie ostatniego Bożego Narodzenia. Betlejem, 26 grudnia 2025 r.

IMIGRANCI Z FILIPIN | Od jesieni 2023 r. w Izraelu pracuje coraz mniej Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu; uzyskanie przez nich pracowniczej wizy jest możliwe tylko na rygorystycznych warunkach.

Ale że Izrael potrzebuje taniej siły roboczej do prostych fizycznych prac, stąd ogromny napływ imigrantów z takich państw jak Indie czy Filipiny. I to właśnie kilka tysięcy Filipińczyków-katolików odwiedziło Betlejem w okresie świątecznym.

Ich obecność budzi jednak, jak się zdaje, mieszane odczucia u miejscowych. Wśród moich palestyńskich rozmówców panuje przekonanie, że pomagają oni budować siłę Izraela i umożliwiają pozbycie się Palestyńczyków z izraelskiej gospodarki.

Do 7 października 2023 r. to oni, Palestyńczycy, wykonywali w Izraelu takie prace, za które wynagrodzenie jest w niektórych zawodach aż czterokrotnie wyższe od tego, które mogą otrzymać na Zachodnim Brzegu. Teraz ten model zarabiania na życie dobiega końca.

EKSODUS CHRZEŚCIJAN | To właśnie emigracja zarobkowa jest głównym powodem topnienia społeczności chrześcijan w Ziemi Świętej. O tym problemie rozmawiam z Butrosem Nimehem, kapłanem z Asyryjskiego Kościoła Wschodu (to odłam chrześcijaństwa). Stoi on na czele wspólnoty, do której należy tu ok. 1,2 tys. wiernych. Jeszcze parę lat temu było ich ponad 5 tysięcy.

Co zmieniło się w międzyczasie? Według duchownego zmiana nie jest spowodowana tylko wojną. Mieszkańcy Betlejem są coraz biedniejsi, ubywa perspektyw na dobrą pracę. Co roku władze Izraela przyznają pulę pozwoleń na pracę na jego terytorium. Przysługują one wybranym wspólnotom religijnym, w tym asyryjskiej. Ksiądz Nimeh co roku dysponuje więc czymś, co decyduje o życiu jakiejś rodziny. Bo pozwoleń nie starcza dla wszystkich.

Pytam o relacje między różnymi religiami w mieście. Ksiądz zapewnia, że nie ma konfliktów, przynajmniej między przedstawicielami duchowieństwa muzułmańskiego, katolickiego bądź prawosławnego. – Czasem niektórzy członkowie społeczności mogą być niechętni wobec siebie, ale nie nazwałbym tego problemem – opowiada.

ZERWANE RELACJE | Zastanawia mnie, że ksiądz nie wymienił społeczności żydowskiej. Ale, jak się okazuje, ona w zasadzie nie istnieje w życiu miasta – jej przedstawiciele mieszkają na Zachodnim Brzegu już tylko w zamkniętych osiedlach.

Wprawdzie przed 7 października 2023 r. część z nich żyła, jak mawiano, „po drugiej stronie muru" (tj. wśród Palestyńczyków). Jednak krwawy atak Hamasu, a potem jeszcze krwawszy izraelski odwet na Gazie zmieniły wszystko.

Żydzi, którzy na Zachodnim Brzegu żyli dotąd poza osiedlami, wyprowadzili się – dobrowolnie bądź zmuszeni przez izraelski rząd, który twierdził, że nie jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwa.

W efekcie także w Betlejem wszelkie relacje między judaizmem a innymi religiami zostały zerwane.

■■■

Po roku 2025, w którym nastał „zgniły, ale pokój", Betlejem wróciło do celebrowania narodzin Jezusa. Święta przyniosły mieszkańcom krótką, lecz tak potrzebną chwilę wytchnienia od problemów codzienności. Pozwoliły spojrzeć w przyszłość z ostrożnym optymizmem – w oczekiwaniu na powrót turystów i pielgrzymów. To jednak, czy oni przybędą, nie zależy już od gościnności mieszkańców Betlejem. ©

HISTORIA

NASZ WIELKI SKOK

Zaczęło się 25 lat temu: miliony Polaków od listopada do marca wołały do telewizorów „Leeeć, Adam", a dziesiątki tysięcy ruszały za Małyszem na polskie i europejskie skocznie. Co i kogo chciały zobaczyć?

MICHAŁ OKOŃSKI



KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ten obraz pojawia się we wspomnieniach wielu milenialsów. Jest wczesne popołudnie, sobotnie lub niedzielne. Za oknem szaro, bo o tej porze roku słońce pojawia się na krótko i zostaje nisko nad horyzontem. Mama lub babcia podają do stołu rosół i schabowe. Na ekranie telewizora widać wzbijających się w powietrze szczupłych młodzieńców w narciarskich kombinezonach – i wszyscy wiedzą, że nie ma co podawać deseru, bo przecież za chwilę „Adam będzie skakał".

Czasami, gdy nie były to weekendy, zamierał cały kraj: w 2001 r. podczas mistrzostw świata w Lahti przerwano obrady Sejmu, pracującego akurat nad budżetem, żeby także posłowie mogli obejrzeć występ Adama Małysza. W 2002 r. oglądalność konkursu skoków w trakcie zimowych igrzysk w Salt Lake City należała do najwyższych od czasu wprowadzenia w Polsce telemetrii: według niektórych źródeł wyniosła nawet 17 mln widzów.

Spróbujmy jednak zacząć od początku.

Przeskoczył skocznię

Pierwszy konkurs 49. Turnieju Czterech Skoczni, zorganizowany w Obersdorfie 29 grudnia 2000 r., poruszył jeszcze nielicznych. 23-letni Adam Małysz zajął wprawdzie czwarte miejsce, ale przecież kilka sezonów wcześniej zdarzyło się mu się już raz czy drugi stanąć na podium zawodów o Puchar Świata i nie poszła za tym regularność. Po fatalnych igrzyskach w Nagano w 1998 r., Małysz myślał nawet o zakończeniu kariery sportowej i powrocie do wyuczonego zawodu dekarza.

Podobnych przypadków – zawiedzionych nadziei, zmarnowanych talentów i ognia, który wygasł równie szybko, jak zapłonął – Polacy widzieli wtedy wiele, nie tylko w sporcie.

Trzecie miejsce w noworocznych zawodach 2001 r. w Garmisch-Partenkirchen zwróciło jednak uwagę szerszej widowni, bo w klasyfikacji generalnej Turnieju Małysz był już drugi. A kolejne dwa starty, w Innsbrucku i Bischofshofen, przyniosły początek czegoś, co po upływie lat nazwano małyszomanią: oba konkursy Polak wygrał z kilkudziesięciopunktową przewagą nad rywalami. Takiej dominacji w historii Turnieju jeszcze nie notowano.

Z punktu widzenia medialnych decydentów nie był to sukces spodziewany. Stanisław Snopek, komentujący wówczas skoki narciarskie w TVP („Przeskoczył skocznię! Ustał!" – wołał 3 lutego 2001, gdy Małysz lądował w Willingen na słynnych 151,5 m), wspomina, że dopiero po triumfie w Bischofshofen stacja kupiła (okazyjnie, bo konkurencji nie było) prawa do transmisji kolejnego konkursu o Puchar Świata, w Harrachovie.

Kiedy okazało się, że i tam Małysz skacze znakomicie, nabyła następne, nadając rywalizacji na skoczniach wymiar trwającego wiele sezonów serialu.

Życie zastępcze

Choć może lepiej zacząć tę historię od końca?

267 słów, dwie i pół minuty – w tym pauzy, podczas których nagły przypływ emocji (zapewne po prostu łez) odbiera mówcy głos. „Jak to jest, tak się wzruszyć na antenie?" – zapytała potem Włodzimierza Szaranowicza o tamten moment córka w wywiadzie rzece „Życie z pasją". On tłumaczył, że człowiek jest wtedy „bezradny, w pewien sposób nagi", że „to przechodzi przez głowę, ale czasami



Adam Małysz na zimowych igrzyskach w Salt Lake City, 17 lutego 2002 r.

głowę trzeba odciąć i odmalować sytuację słowami, które płyną z serca, z ciebie, nie wiadomo skąd".

Równie dobrze mógłby zacytować „Kroniki" Miłosza: „Te głosy, które przeze mnie mówiły / Są moje i nie moje, słyszane z daleka". Bo podsumowując dekadę sukcesów Małysza, podczas transmisji ostatniego występu skoczka na mistrzostwach świata w 2011 r., podsumowywał coś jeszcze.

„Co tydzień siadaliśmy jak do telenoweli – mówił wtedy komentator TVP. – Fenomen socjologiczny! Ileż rzeczy można było mu przypisać podczas tej kariery? Że można w życiu wygrać ewidentnie bez układów. Że jest człowiekiem rzetelnym, solidnym, posłańcem wielkich wiadomości, wielkiej nadziei. Zaczynał jako idol kryzysowy, który miał nas prowadzić jako ambasador wspaniałego skoku cywilizacyjnego do Europy. Fenomen społeczny. Przecież my, dzięki tym transmisjom, żyliśmy życiem zastępczym".

Mitologia współczesna

„Głosów, które mówiły" było więcej. „Pod warstwą rozrywki i czysto sportowych zachwytów kryje się najprawdziwsza (choćby nawet, jak to ujął Eliade, »zdegradowana«) współczesna mitologia" – pisał o małyszomanii semiotyk kultury Marcin Napiórkowski. Psycholog społeczny Zbigniew Nęcki dodawał: „Sen o Janku Muzykancie realizuje się w Adamie, skromnym chłopcu z Wisły".

Spróbujmy to zrozumieć: 25 lat temu, gdy Małysz wygrał swój pierwszy Turniej Czterech Skoczni, Polska nie była jeszcze członkiem Unii Europejskiej. Kiedy w drukowanym wtedy na płachcie formatu A2 „Tygodniku" odnotowywaliśmy jego sukces w rubryce „Obraz tygodnia", *news* ten sąsiadował z informacją o powołaniu przez parlament Kambodży trybunału do osądzenia zbrodni Czerwonych Khmerów. Jaser Arafat godził się na warunkowe przyjęcie planu pokojowego Billa Clintona (ówczesny prezydent USA proponował m.in. utworzenie państwa palestyńskiego w Strefie Gazy i na 95 proc. terytorium Zachodniego Brzegu).

W Polsce Aleksander Kwaśniewski zaczynał właśnie drugą kadencję ↦

↦ prezydencką. Na czele rządu stał Jerzy Buzek, a ruchy odśrodkowe w tworzących jego gabinet formacjach były już wyraźne. Na polityczną niepodległość wybijał się nie tylko minister sprawiedliwości Lech Kaczyński – 19 stycznia 2001 r. Maciej Płażyński, Andrzej Olechowski i Donald Tusk zapowiedzieli powołanie Platformy Obywatelskiej.

Dzień później Małysz wygrał konkurs w amerykańskim Park City.

Idol kryzysowy

Ciekawy był to moment: z lektury tamtego „Obrazu tygodnia" wynika, że posłanka Nowina-Konopczyna z posłem Tomczakiem uszkodzili w warszawskiej Zachęcie rzeźbę Maurizio Cattelana przedstawiającą przygniecionego meteorytem Jana Pawła II. W Krakowie przeszła w prywatne ręce ostatnia w mieście państwowa restauracja – słynny „Wierzynek". W antykwariacie na Krupówkach wystawiono na sprzedaż księgę pamiątkową muzeum Lenina w Poroninie.

Jak widać, transformacja – zarówno ustrojowa, jak też ekonomiczna i kulturowa – trwały. Stare normy nie działały, nowe nie zdążyły się wykształcić. Dostęp do internetu był ograniczony, komórki służyły, prócz telefonowania, co najwyżej do gry „w węża". Świeżo skomputeryzowane nastolatki uruchamiały na Windowsach gry oparte na środowisku MS-DOS. Jedną z najpopularniejszych miała za chwilę zostać gra „Deluxe Ski Jump", u nas zwana po prostu „Małyszem".

Co w tym pewnie najważniejsze: bezrobocie w kraju wynosiło ok. 20 proc., a poziom postrzegania korupcji był w Polsce, wedle rankingu Transparency International, gorszy od europejskiej średniej. Powiedzenie, że większość obywateli utożsamiała się ze swoim krajem tylko wtedy, gdy skakał Małysz, byłoby pewnie publicystyczną przesadą. Ale nazwanie Małysza „idolem kryzysowym" miało pokrycie w rzeczywistości. Podobnie jak druzgocąca recenzja transformacyjnego pejzażu – ta o Małyszu jako o człowieku, który zrobił zawrotną karierę „ewidentnie bez układów".

Dwa dobre skoki

Ale owo „bez układów" nie oznaczało, że kariera Małysza była jakimś romantycznym zrywem. Na jej przykładzie widać procesy dużo szersze, niż dotyczące jednej – w dodatku dość niszowej – dyscypliny sportu.

Jej początki przypadły na czas, w którym pewien działacz polonijny usiłował w trakcie mistrzostw świata w Thunder Bay motywować polskich zawodników, wręczając im po 100 dolarów. Był rok 1995. Małysza to oburzyło: liczył raczej na to, że związek narciarski sprofesjonalizuje się na tyle, aby kadra skoczków nie potrzebowała takich „prezentów".

Jego sukcesy z pewnością pomogły w pozyskiwaniu sponsorów, ale pieniądze wydawano sensownie – na tworzenie programów szkoleniowych i infrastruktury, a także na zatrudnienie do współpracy z trenerem Apoloniuszem Tajnerem naukowców: fizjologa Jerzego Żołądzia i psychologa Jana Blecharza. Nawet jeśli nie wszystko, co mówili w rozmowach z dziennikarzami „doktorzy", było zrozumiałe, również w tym była zapowiedź „cywilizacyjnego skoku".

Zrozumiałe było za to z pewnością kultowe zdanie Małysza, przypisywane właśnie współpracy z Blecharzem, że „najważniejsze to oddać dwa dobre skoki". Czytaj: skupić się na najbliższym konkretnym zadaniu, zamiast myśleć o odległym wciąż celu.

Wśród wielu rzeczy, z którymi oswajał Polskę „rzetelny" skoczek z Wisły, były, jak widać, także podstawy coachingu czy dostępnej zwykłym ludziom psychologii.

Śnieżką w Niemca

Faktycznie trudno zliczyć, „ileż rzeczy można było mu przypisać podczas tej kariery". Opisujące każdy jego krok tabloidy oswajały Polaków np. z tajemniczym słowem „ekumenizm", podkreślając, że – jak wielu mieszkańców Wisły – Małysz jest członkiem Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

A cóż powiedzieć o rywalizacji z niemieckimi skoczkami, Martinem Schmittem i Svenem Hannawaldem? Było to, przyznajmy, kłopotliwe: patrzeć, jak stłumiony po 1989 r. antyniemiecki resentyment eksplodował na trybunach wokół skoczni, jak arogancki Hannawald wpasowywał się w schemat znany z PRL-owskich seriali. I jak kulminacją tego procesu było obrzucenie Niemca śnieżkami (rzecz w świecie skoków niespotykana) przez polskich kibiców w Zakopanem i Harrachovie.

„Jak można się tak zachowywać?" – pytał wówczas przed kamerami Małysz, spontaniczny jak zwykle, nazywając postępowanie wspierających go rodaków „głupim". Apelował o szacunek dla rywala, a po ostatnim konkursie sezonu stanął z nim na podium: Hannawald pozował z polską flagą, Małysz z niemiecką.

Rok później w Zakopanem Niemca witano już brawami. Czy retoryczną przesadą będzie stwierdzenie, że skoczek narciarski zrobił wówczas dla pojednania polsko-niemieckiego w wymiarze społecznym więcej niż niejeden polityk czy społecznik?

Pięćdziesiąt trzy kilo dumy

Marcin Napiórkowski, pisząc o małyszomanii, analizował teksty popularnego dziennika „Super Express". Układały mu się w opowieść o „epickim wojowniku", wokół którego czynów budowano aurę „niepowtarzalności" i „historycznej doniosłości". Nawet jeśli w rzeczywistości były tylko „kolejnymi, identycznymi na pozór, kilkusekundowymi przygodami człowieka, który lata z deskami przykręconymi do butów".

„53 kg dumy narodowej" – głosił wtedy na okładce tygodnik „Polityka", a Marek Raczkowski ilustrował to hasło wizerunkiem frunącego nad typowo polskim pejzażem (wierzby płaczące!) skoczka, za którym wzbijała się w powietrze rzesza rodaków.

Ewidentnie: zmęczeni transformacją, Polacy potrzebowali bohatera o zasługach podziwianych jeśli nie przez cały świat, to przynajmniej przez całą Europę, o której względy ubiegali się przecież w procesie integracji (*notabene* Romano Prodi, jedna z kluczowych postaci w procesie akcesyjnym, mówił wtedy, że „Polska jest jak Małysz. Do skoku, który trwa kilka sekund, szykowała się wiele lat").

A przy tym Polacy potrzebowali bohatera, który zaspokoiłby zbiorowe oczekiwanie sukcesu ponad podziałami. Jak pisał cytowany przez Napiórkowskiego Maciej Rybiński: „Skok Małysza był najdalszy i nikt nie próbuje twierdzić, że dopiero po wyborach i zmianie układu parlamentarnego będzie skakał naprawdę daleko".

Nawiasem mówiąc: zmiany układu parlamentarnego przyniosły w trakcie dekady sukcesów Małysza najpierw powrót do władzy Sojuszu Lewicy Demo-



MARCIN RUTKIEWICZ / REPORTER

Z Włodzimierzem Szaranowiczem i sędzią Markiem Siderkiem, Garmisch-Partenkirchen, 2003 r.

kratycznej, potem rządy PiS-u z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną, a w końcu koalicję PO-PSL i „ciepłą wodę w kranie". Skok cywilizacyjny, o którym mówił Szaranowicz, faktycznie się wtedy dokonał: poziom bezrobocia spadł o 10 proc., a produkt krajowy brutto *per capita* był w roku 2011 ponad 2,5 raza wyższy niż w roku 2001.

Pokolenie Małysza

Można o tym wszystkim mówić prościej. „Był tak naprawdę kimś w rodzaju przyjaciela z telewizji, któremu, nawet jeżeli trafia na przeciwności losu i chwilowo jest w dołku, kibicuje się i wierzy, że los musi się odwrócić" – pisał Bartłomiej Szwajger w osobistym tekście „Pokolenie Adama Małysza". Wspominając przejściowy spadek formy skoczka z lat 2003-06, Szwajger dodawał: „nauczył mnie przegrywać, znosić porażki swoje i innych".

Nauczył więc Małysz Polaków – choć pewnie lepiej będzie powiedzieć: towarzyszył im w nauce – wielu rzeczy. Był pierwszym celebrytą III RP, a zarazem celebrytą jeszcze bez medialnych szkoleń. Bez piarowców, zamieniających spontaniczność w obły produkt marketingowy (skądinąd reklamy z Małyszem to osobny temat; widać w nich także – choćby w śmiało grającym narodowymi stereotypami filmiku, mającym zachęcić do spożywania zupek instant – jak dużo swobody mieli wówczas ich twórcy).

W archiwach Polskiego Radia zachowało się nagranie rozmowy, którą ze skoczkiem usiłuje odbyć, po jednym z wygranych konkursów, prezydent Kwaśniewski, a Małysz wypala do pośredniczącego w kontakcie Tomasza Zimocha: „Panie Tomku, pan chyba jaja sobie ze mnie robi".

Małomiasteczkowy

Transformująca się Polska potrzebowała takiego właśnie bohatera.

Bohatera nie z żurnala, lecz z (późniejszej o dekadę) piosenki „Małomiasteczkowy" Dawida Podsiadły: odrzucającego sztuczność wielkiego świata, mówiącego prostym językiem i żyjącego (do czasu przynajmniej) prostym życiem. Do czasu, bo pod jego dom w Wiśle przyjeżdżały pielgrzymki, a kolejne ruszały w ślad za nim na europejskie skocznie. Zwłaszcza po tym, jak w grudniu 2007 r. granice się otwarły, bo Polska weszła do Strefy Schengen.

Bohatera czasów, w których procedury nie były jeszcze w pełni wytworzone. Zarówno te chroniące prywatność gwiazd (był taki moment, że deweloperzy w Wiśle nakłaniali do inwestycji „z widokiem na dom Małysza"), jak te zapewniające organizatorom masowych imprez należne im dochody. Kiedy na zmodernizowanej dzięki sukcesom Małysza Wielkiej Krokwi odbywały się pierwsze zawody o Puchar Świata, do Zakopanego przyjechało 100 tysięcy widzów, nie tylko korkując zakopiankę, ale też w niemałym procencie zajmując miejsca na trybunach w noc poprzedzającą konkurs. Bez biletów oczywiście.

„Budowałem mit i opowiadałem rzeczywistość jednocześnie. To wszystko było prawdziwe. Historia wielkiego sukcesu skromnego chłopaka, który zaczynał karierę, wypadając z za dużych butów" – wspominał Szaranowicz, nawiązując do historii z dzieciństwa Małysza, który w wieku sześciu lat, gdy zapięto mu narty do za dużych butów (mniejszych nie było), odbił się tak dobrze, że... wypadł z nich w trakcie lądowania.

Tego nie wymyślił Ota Pavel, pisząc bajkę o legendarnym czeskim skoczku Jiřím Rašce. To się naprawdę wydarzyło.

Tajemnica lotu

O tym, dlaczego skakał tak daleko, napisano wiele. Zaczynając od wiślańskiego źródła: pradziadek Małysza miał tam własną skocznię, wuj był trenerem. Jego krajan, Jerzy Pilch, notował w „Dzienniku", że „jednym z podstawowych składników triumfów Małysza była radość skakania i piękno skakania". Fizjolog Jerzy Żołądź opowiadał z kolei o „bardzo sprawnych energetycznie mięśniach" i „umiejętności kontrolowania swojej mocy".

Przyznam jednak, że najbardziej przemówiła do mnie opowieść Stanisława Snopka, którego o fenomen Małysza pytałem w audycji „Sport wyjaśnia świat" na antenie Polskiego Radia 24.

Snopek, wieloletni komentator, przyznawał wprost: w skokach jest coś magicznego. I nie chodzi tylko o moment, w którym po wybiciu z progu sportowiec ma poczucie, jakby wpadał do studni: przez kilka sekund unosi się w powietrzu, nie widząc miejsca, w którym wyląduje. Zdaniem Snopka, zawodnik i trener nigdy do końca nie wiedzą, dlaczego jakiś skok był dobry: „Pamiętam wiele takich przypadków, kiedy zawodnik lądował na 80. metrze na skoczni o rozmiarze 140 i mówił: »Nie rozumiem, co się stało, bo zrobiłem wszystko prawidłowo«".

Nawet jeśli w telewizyjnych studiach sporo mówiono wtedy o mechanice klasycznej, biomechanice i aerodynamice, nawet jeśli wokół austriackich kombinezonów powstawały teorie spiskowe, nawet jeśli skoczkowie po spożyciu bułki z bananem dużo ćwiczyli w aerodynamicznych tunelach – we wspomnieniach dziennikarza towarzyszącego sukcesom Małysza na pierwszy plan wybija się coś, czego nie da się wytrenować. A co trzeba poczuć, gdy po wyjściu z progu „łapie się to noszenie niczym ptak".

O sztuce latania napiszemy jednak innym razem. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

WIARA



KITRAŁEM SIĘ Z RÓŻAŃCEM

MUNIEK STASZCZYK:

Piosenki są dla mnie często publicznym pamiętnikiem. Skoro wiara jest istotną częścią mojego życia, to logiczne, że przebija się co jakiś czas w mojej twórczości.

SEBASTIAN NYCZ / WYDAWNICTWO EMOCJE PLUS MINUS

PIOTR ŻYŁKA: Muniek Staszczyk. Wychowany w cieniu Jasnej Góry.

MUNIEK STASZCZYK: Można tak powiedzieć. Jak człowiek się rodzi w Częstochowie, to trudno całkowicie ignorować klasztor paulinów. Nawet jeśli się do niego nie pała wielką miłością. Stoi na wzgórzu, na końcu alei, w centrum miasta. Siłą rzeczy jest pewnym punktem orientacyjnym.

Pamiętasz, kiedy byłeś tam pierwszy raz?

Nie pamiętam, kiedy to było dokładnie, ale w dzieciństwie bywałem tam często. Zabierała mnie tam moja kochana babcia. Kiedy mówiłem, że mam ochotę iść na spacer, ona odpowiadała: „Dobrze, Zygmusiu, zabiorę cię na Wały".

Nuda. Zwłaszcza dla młodego chłopaka.

No właśnie wręcz przeciwnie! Lubiłem tam chodzić, bo z Wałów przy klasztorze jest super widok na miasto. Obok jest też spory park, czyli też fajna przestrzeń. A na samej Jasnej Górze najbardziej podobała mi się droga krzyżowa. Ta poprowadzona wokół klasztoru.

Czemu akurat ona?

Rzeźby są ciekawie wykonane. To przykuwało moją uwagę, więc lubiłem z babcią chodzić między kolejnymi stacjami i się im przyglądać. Jednak największą atrakcją były dla mnie bażanty. Na dole, jakby na tyłach klasztoru, paulini mieli cały zwierzyniec. W latach 70. trzymali tam kury, świnie, chyba też króliki, no i te bażanty. Ich widok mnie fascynował i ekscytował, dlatego zawsze prosiłem babcię, żebyśmy koniecznie poszli je zobaczyć.

Z Twojego liceum, słynnego IV LO imienia Henryka Sienkiewicza, któremu poświęciłeś jeden ze swoich utworów, też niedaleko do klasztoru.

Dosłownie kilka minut z buta. Budynek naszej szkoły stoi przy Alei Najświętszej Maryi Panny, więc te wszystkie pielgrzymki, które ciągną do Matki Boskiej Częstochowskiej z całej Polski, przechodziły nam pod oknami. A my z nich szydziliśmy.

Dlaczego?

Taki to był etap w życiu. Jak się jest dojrzewającym nastolatkiem i co chwila pod twoją budą przechodzą rozmodlone tłumy, to raczej ich widok nie wywołuje w tobie głębszej refleksji lub sympatii. Na pewno nie w nas. Rechotaliśmy z tych wszystkich pobożnych ludzi, którzy nie wiadomo po co szli – czasem przez wiele kilometrów – żeby stanąć przed jakimś obrazem. Wtedy wydawało nam się, że to coś na maksa obciachowego.

Dziś myślisz inaczej.

Zdecydowanie. Jeśli ktoś idzie na Jasną Górę przez pół Polski, to znaczy, że jest to dla niego ważne i nawet jeśli ja podchodzę do tego tematu inaczej, to trzeba uszanować wrażliwość innych ludzi.

Już sobie nie robisz jaj z pielgrzymów?

Byłbym skończonym głąbem, gdybym to robił jako dorosły człowiek i dojrzały facet. Powiem więcej – dziś mam do tych wszystkich ludzi ogromny szacun. Szczególnie porusza mnie widok starszych osób idących w stronę klasztoru. Mimo wieku, chorób i zmęczenia pielgrzymują. Modlą się za swoich bliskich. Te wszystkie babuleńki z różańcami w dłoniach. One są solą naszej ziemi.

Co wpłynęło na taką zmianę myślenia?

Mówiąc najprościej i najkrócej – życie się wydarzyło. Człowiek kilka razy porządnie wyrżnął i topił się w błocie – to po pierwsze. A po drugie – miałem to szczęście, że na swojej drodze spotykałem ludzi, którzy pomogli mi odkryć w sobie potrzeby duchowe.

Mówisz o nich, że to emisariusze od Pana Boga.

Całkiem serio tak myślę. W kilku ważnych momentach mojego życia, takich związanych z bardzo poważnymi kryzysami, pojawiały się zupełnie niespodziewanie osoby, która ciągnęły mnie w górę. Dla przykładu – wiele lat temu, już po czymś, co można by pewnie nazwać moim pierwszym etapem nawrócenia, mocno się pogubiłem. W konsekwencji myślałem, że straciłem też wiarę. I wtedy kumpel mi polecił, żebym sobie „strzelił pompejankę".

Wyjaśnijmy, co to jest.

To taka modlitwa oparta na różańcu. W gruncie rzeczy bardzo prosty koncept. Tylko że tego różańca odmawiasz dużo, wszystkie części dziennie. Nie brzmi to może jakoś bardzo zachęcająco, ale mi wtedy pomogło.

Wydaje mi się, że Bóg czasem do nas stara się dobić, wykorzystując proste narzędzia – choćby spotkanie z drugim człowiekiem i rozmowę na jakiś głębszy temat. Albo właśnie to, że ktoś ci zaproponuje praktykę duchową, której nigdy wcześniej nie próbowałeś. To są takie liny, po których możemy się wciągać. Ale nie musimy. Bóg wykonuje ruch w naszą stronę, ale do niczego nas nie zmusza. Zostawia nam wolność wyboru i to od nas zależy, czy i jak odpowiemy na Jego propozycję.

A jak Tobie konkretnie pomogło to odmawianie pompejanki?

Na pewno odciągało mnie od używek, bo to był taki etap w moim życiu, w którym zdałem sobie sprawę, że jestem uzależniony od alkoholu i próbowałem coś z tym zrobić.

W jaki sposób odciągała?

Wiesz co, miałem jakieś minimum przyzwoitości i nie chciałem się modlić po pijaku. Przestrzeń wiary stawała się dla mnie coraz ważniejsza, więc pojawiał się moment wyboru: butelka czy różaniec? No i kiedy zacząłem odmawiać nowennę pompejańską, to nadawało fajny rytm każdemu dniowi. Bo żeby odmówić trzy części różańca dziennie, trzeba to sobie jakoś zaplanować. I to było spoko, taki element porządkujący rzeczywistość. Dla alkoholika to jest pomocne. Nawet tak technicznie i praktycznie patrząc.

Kiedy nagrywaliśmy rozmowy do naszej książki „Chłopaki (nie) ↦

ZYGMUNT MUNIEK STASZCZYK (ur. 1963) – muzyk rockowy, autor piosenek, założyciel i lider zespołów T.Love, Szwagierkolaska, Muniek i Przyjaciele, znany również z występów solowych oraz z innymi piosenkarzami i zespołami. Pod koniec 2025 r. wydał książkę „Chłopaki (nie) płaczą. Muniek Staszczyk bez ciemnych okularów w rozmowie z Piotrem Żyłką" (fotografia obok pochodzi z sesji zdjęciowej wykonanej z tej okazji dla wydawnictwa Emocje Plus Minus).

↦ **płaczą", wspomniałeś o zabawnej sytuacji z Gdańska.**

Pracowaliśmy tam nad dwiema piosenkami na reedycję albumu „Luksus" projektu Szwagierkolaska. I tam się wokół tego mojego modlenia na różańcu trochę groteskowo zrobiło.

Kitrałeś się z modlitwą przed kumplami.

Tak jakoś wyszło. Wiesz, trochę głupio mi było im mówić: „Sorry, panowie, mam kolejną część różańca do walnięcia, robimy przerwę", więc delikatnie jakiś tam kit im wciskałem, że muszę iść do pokoju sobie odpocząć czy dokądś zadzwonić, i wtedy się modliłem.

A oni cierpliwie czekali?

Nie do końca. Były takie momenty, że ja sobie siedziałem w tym pokoju z różańczykiem – lubię tak pieszczotliwie mówić o tym „narzędziu" modlitwy – w rękach, a oni się niecierpliwili, pukali do drzwi i wołali: „Muniek, roboty dużo mamy, kończ już tę przerwę! Muniek! No chodź, bo poprawiamy wokale!". A ja na to: „Zdrowaś, Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą... Zaraz przyjdę! Błogosławionaś między niewiastami... Jeszcze chwila!".

Faktycznie komedia.

Brzmi to komicznie, ale ja wtedy naprawdę potrzebowałem pilnowania tego rytmu modlitwy. On mi pomagał się nie rozsypywać i nie wracać do picia.

A coś na głębszym poziomie też się w Tobie zmieniało?

Tak jak wspomniałem, to był też czas, w którym przeżywałem kryzys wiary. Dlatego te różańce to nie było mechaniczne klepanie paciorków, ale modliłem się całkiem serio i świadomie: „Boże, znowu mam wątpliwości. Pomóż mi je przezwyciężyć. Sam nie dam rady".

Warto też może podkreślić – o czym często się zapomina – że w różańcu jest ukryta mądrość modlitwy kontemplacyjnej. Niby powtarzamy w kółko to samo, ale to pozwala oczyścić myśli i skierować uwagę na Boga.

Zaczynasz brzmieć jak poważny rekolekcjonista!

Zdaję sobie sprawę, że tak może być. Dlatego staram się za często o swojej wierze publicznie nie opowiadać. To jest delikatny i bardzo intymny temat. Nie chcę się ze swoją wiarą za bardzo obnosić, a już na pewno nie chcę nikomu nic narzucać.

W naszym kraju są ludzie wierzący i niewierzący, poszukujący i wątpiący. W samym Kościele są ludzie bardziej konserwatywni, bardziej centrowi i bardziej lewicowi. Staram się szanować drogę każdego z nich. I nie bombardować ich własnymi doświadczeniami i przemyśleniami z zakresu wiary i duchowości.

Nagle przyszedł mi do głowy ten wers: **„Tak bardzo chciałbym zostać kumplem twym".** Zacząłem go sobie powtarzać, ale nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi, że to może być moje wołanie do Boga.

Ale jednak co jakiś czas piszesz utwory, które dotykają tej rzeczywistości. „Bóg", „Lucy Phere", „Pielgrzym", „Siedem", „Niewierny patrzy na krzyż". To są utwory z duchowym przesłaniem.

Moje piosenki są dla mnie często takim publicznym pamiętnikiem, w którym zapisuję rzeczy i doświadczenia dla mnie ważne. Skoro wiara jest istotną częścią mojego życia, to logiczne jest, że co jakiś czas w mojej twórczości też się przebija.

Z drugiej strony bronisz się przed łatką muzyka chrześcijańskiego.

Bo to nie mój styl. Nie będę wychodzić na scenę i ewangelizować na maksa. Nie mówię, że to jest coś złego, ale to nie jestem ja. Nie czuję tego. Ja wolę dzielić się swoimi poszukiwaniami i odkryciami bardziej subtelnie i niezbyt często.

Tak jak w „Bogu", który powstał w ciekawych okolicznościach.

To był początek lat 90. Byłem już po ślubie z Martą i mieliśmy dwójkę dzieci – Jasia i Marysię. Mieszkaliśmy na Żoliborzu. Tego dnia obudziłem się w naszym mieszkaniu po grubej imprezie. Pamiętam, że był piękny, słoneczny czerwcowy dzień. Córka miała wtedy półtora roku, a syn cztery lata. Marta chciała wyjść z dzieciakami na podwórko i prosiła, żebym też z nimi poszedł. A mi się nie chciało.

Czemu?

No bo byłem potężnie skacowany.

Oni poszli, a Ty zostałeś sam w domu?

Tak. Ale coś mnie tknęło i przykryty kocem obserwowałem ich przez okno. Marta stała tam z innymi rodzicami, a dzieciaki się bawiły. Fajny obrazek. Miła atmosfera.

A Ty sam w pokoju...

I to jeszcze cały rozedrgany, bo poza grubym piciem poprzedniej nocy jeszcze jakąś amfetaminę wciągnąłem, więc naprawdę w kiepskim stanie byłem.

Patrzyłem na nich przez to okno i nagle złapał mnie taki przejmujący smutek, i pomyślałem: „Dlaczego mnie tam nie ma? Przecież ja jestem mężem, ojcem. Powinienem tam być. Dlaczego mnie tam, k...a, nie ma? Co ja robię?". I w tym przygnębiającym momencie włączyłem kasetę z linią melodyczną, którą mieliśmy z zespołem nagraną, bo pracowaliśmy nad nową płytą. Od dłuższego czasu próbowałem, ale nie mogłem do niej napisać tekstu. Nie planowałem tego, to był odruch.

I kolejna myśl się pojawiła w mojej głowie: „Panie Boże, dlaczego taki jestem? Dlaczego nie mogę tam być, na tym podwórku, z moją rodziną? Czemu siedzę tu sam, sponiewierany?". Nagle przyszedł mi do głowy ten wers: „Tak bardzo chciałbym zostać kumplem twym". Zacząłem go sobie powtarzać, ale nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi: że niby czyim kumplem? Chwilę później wskoczyły mi kolejne słowa: „daleko tak, daleko, daleko tak".

Rezonowało to jakoś z moim stanem emocjonalnym, kiedy siedziałem zdołowany w tym pokoju i patrzyłem przez szybę na rodzinę, z którą nie potrafiłem być tak, jak powinienem. Powtarzałem sobie te słowa i nagle mnie olśniło. Zrozumiałem, że to może być moje wołanie do Boga.

Czyli „Bóg" powstał na kacu i z poczucia bezsilności?

Tak. Tamtego dnia bardzo potrzebowałem, żeby ktoś mnie przytulił jak dobry kumpel. Na tamtym etapie, to był dokładnie 1994 rok, nie miałem za wiele wspól-



SZYMON LASZEWSKI / FORUM

Muniek Staszczyk, koncert zespołu T.Love, lata 90.

nego z wiarą i Kościołem, ale pomyślałem sobie, że jeśli ktoś jeszcze może mieć do mnie cierpliwość, to chyba tylko On. Poczułem, że mogę się Bogu wyżalić, opowiedzieć Mu, co się we mnie dzieje, czego nie ogarniam i za czym tęsknię.

Powiedziałeś, że sfera duchowa pomagała Ci, kiedy zacząłeś się mierzyć ze swoimi demonami. Co jeszcze było pomocne?

Bardzo kojąco działała na mnie muzyka. Ale teraz nie mówię o jej tworzeniu, tylko słuchaniu. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że była ona w wielu trudnych sytuacjach lekarstwem dla mojej duszy. W najgorszym okresie życia – kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem w rozsypce, że krzywdziłem swoją rodzinę, że niewiele brakowało do tego, żebym znalazł się sam na dnie – kupiłem sobie gramofon, zamawiałem winylowe płyty w sieci i zamiast znowu uderzać na imprezę w miasto i znieczulać się alkoholem, godzinami siedziałem w domu i słuchałem kolejnych nagrań. Zrobiłem sobie prywatną muzykoterapię.

W pewnym momencie było z Tobą bardzo kiepsko, zmagałeś się z ciężką depresją, pojawiła się nawet w Twojej głowie myśl o skończeniu ze sobą.

Tak. Któregoś poranka stanąłem przy lustrze i przyłożyłem sobie do gardła nóż. Pamiętam zimno jego ostrza. Patrzyłem na siebie i w myślach mówiłem: „Przecież to, k...a, jeden ruch. Jeden ruch i ch...j, po wszystkim". Niewiele brakowało i byłoby po mnie. Na szczęście w decydującym momencie przyszło opamiętanie.

Biorąc pod uwagę ciężar problemów, z którymi musiałeś sobie poradzić, modlitwa i słuchanie muzyki to chyba jednak trochę za mało.

Zdecydowanie za mało. Dzięki Bogu w odpowiednim momencie trafiłem na fantastycznych specjalistów. Mój psychiatra, dwie terapeutki i terapeuta uzależnień odwalili ze mną ogromną robotę. Ich profesjonalne wparcie było niezbędne w stopniowym procesie dochodzenia do siebie.

Chciałbym to mocno podkreślić – jeśli ktoś mierzy się z poważnymi życiowymi i emocjonalnymi kryzysami – nie ma się co wahać, tylko trzeba uderzać po pomoc do tych, którzy się na niej najlepiej znają.

Ważną osobą i równocześnie impulsem do wielu zmian w Twoim życiu była Marta.

I nadal jest. Wolę nawet nie myśleć, co by było, gdyby nie moja kochana żona. Prawdopodobnie byśmy w ogóle tej rozmowy nie prowadzili, bo najzwyczajniej w świecie mnie by już nie było.

Mówisz o niej często, że jest Twoim aniołem stróżem.

No bo tak jest. Wiesz, ja jej wyrządziłem dużo krzywd, zdradzałem ją, obiecywałem, że nie będę pić i dalej piłem, miała pełne prawo kopnąć mnie w dupę i mnie zostawić. Nie tylko tego nie zrobiła, ale też pomogła mi wyjść z najtrudniejszych sytuacji. Marta jest po prostu dobrym człowiekiem, dużo lepszym ode mnie i dzięki temu, że mogę z nią dzielić życie, a jesteśmy parą prawie 40 lat i małżeństwem z ponad 35-letnim stażem, ja też – co prawda z dużymi oporami – idę w dobrą stronę.

Kiedy ją zapytałem o to określenie – anioł stróż – to szybko odpowiedziała, że na pewno nim nie jest.

Bo to bardzo skromna kobieta jest. Cieszę się, że udało ci się z nią przeprowadzić rozmowę do naszej książki. Bez jej głosu brakowałoby w niej czegoś bardzo ważnego. Ona stroni od mediów, więc tym bardziej to jej odsłonięcie się jest wartościowe.

Oczywiście ona może mówić, że nie jest aniołem, ale ja swoje wiem. Powiem to jeszcze raz – gdyby nie ona, już by mnie na tym świecie nie było. Wiesz, ja kilka lat temu cudem przeżyłem udar. Takie doświadczenia pomagają w nazwaniu sobie na nowo tego, co w życiu jest najważniejsze i najcenniejsze. No więc ja dziś bez najmniejszego wahania mogę powiedzieć, że nie ma dla mnie nic ważniejszego niż moja rodzina, a Marta jest dla mnie najważniejszym człowiekiem na świecie.

I lubicie sobie razem odmawiać w domu różaniec.

Spokojne śniadanie we dwoje, a po nim wspólny różańczyk. To nasz przepis na najlepszy poranek.

Skoro przy różańcu znowu jesteśmy, to wróćmy jeszcze na Jasną Górę. Bywasz tam?

Jasna sprawa. Jak tylko jestem w Częstochowie, wpadam w odwiedziny do klasztoru. To już taka moja mała, prywatna tradycja. Wizyta Kinga u Czarnej Madonny.

I co tam robisz?

Jak to co? Modlę się. Proszę o różne rzeczy, ale przede wszystkim dziękuję.

Za co?

Za rodzinę, żonę, dzieci, wnuczkę, za moją 86-letnią mamę, która, dzięki Bogu, jest w bardzo dobrej formie. Bardzo ich wszystkich kocham. I za to, że mimo udaru dalej żyję i mam siły grać na scenie. Dawniej głównie prosiłem, ale od jakiegoś czasu częściej wyrażam wdzięczność.

Człowiek się starzeje i coraz lepiej rozumie, co ma naprawdę znaczenie. Również w życiu duchowym.

© Rozmawiał PIOTR ŻYŁKA

Karma instant

BEATA CHOMĄTOWSKA

EZOTERYKA | Duchowość to wciąż jedno z najchętniej importowanych dóbr ze Wschodu. Czy jednak na pewno jest to oryginalny towar i wiemy, kto go nam sprzedaje?

Daje pani informację do świata o swoim Poczuciu Wartości. Ta informacja ma swoją jakość – emituje falę dźwiękową, którą odczuwa ciało subtelne człowieka" – radzi na Instagramie internetowa ekspertka. „Czasem myślimy, że karma to coś ciężkiego, coś, co trzeba »spłacić« – przekonuje inna. – A to nie tak. Twój ogon karmiczny to coś, co Twoja dusza dobrze zna i potrafi wykorzystać".

Dwie próbki ezoterycznej paplaniny, od jakiej kipią media społecznościowe, oferującej remedium na wszystkie ziemskie troski. Nirwana, karma, joga, reinkarnacja czy samsara to tylko niektóre, ochoczo odmieniane przez przypadki hasła, rozumiane jednak na sposób odległy od swych pierwotnych znaczeń.

Niespokojne czasy – wojen, konfliktów, autorytaryzmów politycznych – sprzyjają ucieczce w ezoterykę, która chętnie wykorzystuje wątki wschodnich tradycji religijnych. Na Zachodzie zainteresowanie nimi trwa mniej więcej od drugiego wieku naszej ery, kiedy Klemens z Aleksandrii wspomniał wyznawców buddyzmu, wychwalając ich wpływ na myśl grecką. Nasiliło się wraz z eksploracją wschodnich krajów przez Europejczyków, by wybuchnąć na dobre z końcem XVIII wieku.

Mick Brown w książce „Nirvana Express" (Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2025) pyta jednak, czy aby na pewno przywozimy stamtąd oryginalny towar i dobrze wiemy, kto go nam sprzedaje? Brown skończył swą opowieść na etapie drugiej fali orientalnej fascynacji, podczas gdy dziś mamy już do czynienia z trzecią, a może nawet i czwartą.

KULTUROWY METABOLIZM | Orient – ten „który jest wszystkim, czego nie mamy", jak pisał Fernando Pessoa – utożsamiany jest w tym ujęciu przede wszystkim z Indiami. Magicznymi, bajecznymi, działającymi na wyobraźnię (ileż razy obiły się nam o uszy podobne frazesy). Tak jest od starożytności – czasów pierwszych kontaktów Europejczyków z tym krajem. O tym, jak łatwo było wówczas o nieporozumienie, świadczy włączenie do chrześcijańskich apokryfów historii indyjskiego księcia Jozafata, którego pierwowzorem był nikt inny, jak sam historyczny Budda Śakjamuni. Odkrywcy z Europy, jak Marco Polo, na bazie skojarzeń z przypowieściami z własnej tradycji religijnej uznali, że historia o Buddzie jest w istocie chrześcijańska, a ludy Wschodu przejęły ją do własnych „pogańskich" celów.

Późniejsze spotkania odbywały się w duchu orientalizmu, czyli – jak pisze Edward Said, który spopularyzował to określenie – sposobie myślenia, „opartym na ontologicznym i epistemologicznym rozróżnieniu pomiędzy »Wschodem« i (w większości przypadków) »Zachodem«". Wieki wzajemnych kontaktów to „kulturowy metabolizm", jak amerykański antropolog Milton Singer określił wchłanianie różnych aspektów cudzej kultury, przetrawienie ich i upowszechnianie końcowego efektu tej „przemiany materii" szerokim gronom odbiorców na Zachodzie. Czego przykładem jest choćby koncepcja odwiecznej mądrości, której matecznikiem i ostoją są Indie, stanowiącej remedium na kłopoty mieszkańców dekadenckiego Zachodu. Mądrości dostępnej dla każdego, o ile skorzysta się z pośrednictwa depozytariuszy – wschodnich guru: mistrzów lub joginów – bądź ludzi Zachodu, którzy zdążyli poznać wiedzę bezpośrednio u źródła.

PASJONACI I MISJONARZE | Mick Brown przyjrzał się bliżej osobom, którym zawdzięczamy to zjawisko. Oprócz naukowców – pierwszych orientalistów, głównie brytyjskich, czy indologów, jak Max Müller, których badania nad religiami Wschodu zapoczątkowały religioznawstwo porównawcze, znajdziemy tam intelektualistów i erudytów bez kompetencji naukowych, ale za to lingwistów. To sędzia William Jones, współzałożyciel Towarzystwa Azjatyckiego, albo sir Edwin Arnold, poeta i dziennikarz, którego osobiste zainteresowanie buddyzmem zaowocowało poematem „Światło Azji", opowiadającym historię życia Buddy. Przetłumaczone na liczne języki dzieło zyskało olbrzymią popularność, choć z punktu widzenia orientalistów Arnold nie do końca trafnie zrozumiał sens buddyjskiej doktryny. Mało kto się jednak tym przejmował

Tę grupę, do której zalicza się też Allan Bennett, pierwszy Anglik wyświęcony na buddyjskiego mnicha, można określić jako pasjonatów, starających się – każdy na miarę własnych możliwości – najpierw zrozumieć egzotyczne dla Europejczyka doktryny i przełożyć na rodzimy język pojęć, a później upowszechniać. Jeśli więc nawet narobili w umysłach odbiorców nieco zamętu, to na mniejszą skalę niż pozostali samozwańczy misjonarze, zwłaszcza członkowie i sympatycy Towarzystwa Teozoficznego, wyjątkowo skuteczni jako pośrednicy w transferze na Zachód idei Wschodu. W tym przypadku jednak mocno przemielonych z wątkami okultystycznymi.

EKLEKTYZM I PSEUDONAUKA | Frapującą postacią jest zwłaszcza współzałożycielka

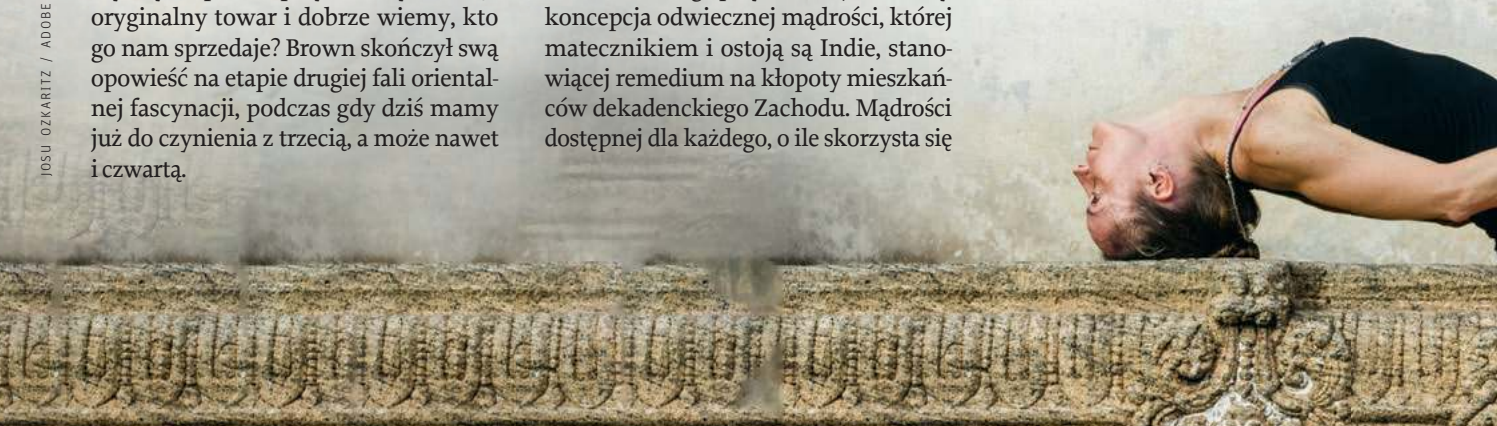

JOSU OZKARITZ / ADOBE STOCK

Towarzystwa, Helena Pietrowna Bławatska, córka rosyjskiego arystokraty, która podczas podróży po Azji i Europie rzekomo nawiązała kontakt z Mistrzami, istotami, które wskutek wyższego rozwoju duchowego posiadły nadprzyrodzone moce i przekazały jej ową mądrość, nakazując jednocześnie spełnić misję niesienia dobra ludzkości. Wśród tych Mistrzów, twierdziła Bławatska, byli Konfucjusz, Salomon, Mojżesz i Platon, a najważniejszym, dopiero oczekiwanym, miał być Pan Majtreja, który pojawiał się już w dziejach ludzkości – raz jako Kriszna, potem jako Jezus. Teozoficzna wizja ewolucji w „królestwie ludzi" obejmowała między innymi rasy Lemurian i Atlantydów, zaś medytacyjne stany hinduskich joginów Bławatska utożsamiała z mesmeryzmem, pseudonaukową teorią upowszechnioną w Europie przez Antona Mesmera, który głosił, że cały wszechświat wypełnia siła oddziałująca w formie fluidów na rozmaite formy życia.

Eklektyzm oszałamiający. Hatha joga miesza się tam z kronikami Akaszy, rzekomą kosmiczną encyklopedią, i tylko czekać, aż pojawią się kosmici. Wszak najwyżej w mistrzowskiej hierarchii miał stać Pan Świata, przybyły z Wenus i osiadły w Szambali, bliżej nieokreślonym królestwie utożsamianym niekiedy z Tybetem. Można by się dziwić, że przekazom Bławatskiej dali się uwieść tacy ludzie jak Wassily Kandinsky i W. B. Yeats czy – tym bardziej – przyrodnik Alfred Russel Wallace, ale wystarczy przypomnieć powielane dziś w internecie przez rozmaite autorytety i celebrytów teorie spiskowe, by łagodniej osądzać ich poprzedników. Choć – jak pokazuje Brown – wśród krzewicieli boskich prawd znalazło się zaskakująco dużo szalbierzy, pospolitych konfabulantów, furiatów czy nadprzeciętnych egocentryków, nie mówiąc już o tych, którym dziś można byłoby postawić poważniejsze zarzuty, choćby molestowania dzieci.

DUCHOWOŚĆ Z IMPORTU | Osobną grupą są wschodni guru, którzy mieli krzewić oryginalne idee na Zachodzie. Ich historie dowodzą, jak odmienne były to osobowości o różnych poglądach i stylach zachowania, podczas gdy entuzjaści próbowali wrzucić ich do jednego worka przekaźników ponadczasowej, uniwersalnej wiedzy.

Początkowo tylko ich odwiedzano. Dziennikarz Paul Brunton, któremu nie udało się osiągnąć sukcesu w biznesie księgarskim, pod wpływem teozofów wyruszył w podróż po Indiach w poszukiwaniu nadprzyrodzonych doświadczeń. Na podstawie spotkań z tamtejszymi „świętymi mężami", jak Śri Ramana, napisał książkę „Ścieżkami jogi". Wydana w 1934 r., rozeszła się równie szybko jak wcześniej „Światło Azji" Arnolda. Tego typu relacje z wypraw i spotkań z mieszkańcami Wschodu zaspokajały brak bezpośredniego przekazu, jako że hinduiści długo nie odwzajemniali zainteresowania ze strony Zachodu. Nie zamierzali nikogo nawracać, nie byli zainteresowani odkrywaniem innych kultur. Dopiero w XIX wieku pojawili się pierwsi guru-aktywiści jak Swami Vivekandanda, którzy uwierzyli w swą misję niesienia duchowego przesłania na Zachód. Dopiero wtedy drogi europejskich popularyzatorów wschodnich doktryn i tamtejszych nauczycieli mogły się spotkać.

Jak zauważa prof. Agata Świerzowska w publikacji „Guru – między tradycją a nowoczesnością", po którą warto sięgnąć jako uzupełnienie książki Browna, droga, którą przebywali guru-pionierzy, początkowo wiodła niemal zawsze przez Stany Zjednoczone, wówczas przeżywające okres fascynacji ezoteryką. Nie bez powodu Bławatska i jej współpracownicy stworzyli właśnie tam silny przyczółek, wciągając w krąg sympatyków również gwiazdy Hollywoodu. I to właśnie tam odkrywani przez Europejczyków wschodni guru zaczynają tournée po Zachodzie, eksportując swoje idee na stary kontynent.

EGZOTYCZNE FASCYNACJE | Kolejni przybysze ze Wschodu, jak Meher Baba, Jiddu Krishnamurti czy Ramana Maharishi, zaczynają służyć za przekaźniki dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na podróż do źródeł oświecenia (w oryginalnych naukach mowa raczej o przebudzeniu). Jak zauważa Brown, szczególnie liczną grupę odbiorców tych zagranicznych występów stanowią zamożne panie w dojrzałym wieku, zalewające się łzami na sam widok delikatnych młodzieńców o egzotycznej urodzie.

Łatwo też o rozczarowania. Guru milczą, mówią niewiele, albo powtarzają to samo, zrażając do siebie dotychczasowych wielbicieli, zirytowanych, że muszą słuchać w kółko tych samych enigmatycznych mądrości. Wyobrażali sobie, że oświecenie będzie spektakularne, błyskawiczne i pozbawione wysiłku.

Bo właśnie do tego sprowadza się rola Wschodu, który ma być dla Europejczyka przede wszystkim użyteczny. Pozyskiwanie wiedzy ma zaś na celu najpierw podziwianie lub zdobycie magicznych mocy. Nawet jeśli wszystkie instrukcje dotyczące medytacji zalecają traktować rozwijające się niekiedy w jej trakcie paranormalne zdolności jako efekt uboczny i nie poświęcać im uwagi.

OSTATNI GURU | Nie wszystkim gościom odpowiadało takie podejście, idealnie wpisujące się w nurt zachodniego „orientalizmu". Jiddu Krishnamurti, nastolatek ogłoszony przez teozofów „Nauczycielem Świata" i obwożony po Europie i Stanach Zjednoczonych niczym orientalna maskotka, miał na tyle wewnętrznej niezależności oraz – być może – zdrowego rozsądku, by w pewnym momencie zerwać związki z Towarzystwem i działać na własną rękę, podróżując po świecie i wygłaszając dziesiątki mów rocznie.

Na drodze ku duchowym prawdom, opisywanej przez Browna, roi się od ziemskich słabości zarówno wśród nauczycieli, jak i adeptów. Co było może zabawne, dopóki nie stało się groźne. Zwłaszcza gdy mowa o guru, którzy cynicznie wykorzystywali swoich wyznawców, jak Bhagwan Shree Rajneesh, którego poradniki, sygnowane imieniem Osho, królowały – i wciąż jeszcze gdzieniegdzie królują – na księgarskich półkach Europy. Oskarżany o założenie sekty, której członkowie wykorzystywali seksualnie nieletnich, uzależniony od środków psychoaktywnych, miłośnik ↦



↦ drogich zegarków i rolls-royce'ów, nazywany jest w książce Browna „ostatnim wielkim guru". Autorytarnie zarządzana wspólnota, wstrząsana konfliktami wewnętrznymi, rozpadła się, a jej przywódca wrócił do Indii po tym, jak amerykański sąd skazał go na dziesięć lat więzienia w zawieszeniu. „Klęska jego marzeń o stworzeniu raju na ziemi przebudziła Zachód ze snu o Indiach jako repozytorium ezoterycznej mądrości i obietnicy oświecenia" – pisze Brown, twierdząc, że choć pojawiają się wciąż kolejni guru, z pewnością nie będzie już ich tak wielu. Czy aby na pewno?

ĆWICZENIA CZY IDEOLOGIA | Książka Browna pojawia się w Polsce w czasie, gdy coraz częściej pisze się i mówi o ciemnych stronach szeroko pojmowanej ideologii wellness, do której można zaliczyć również pseudoorientalne duchowe praktyki. Nie znaczy to jednak, że wszystko, co pochodzi ze Wschodu, jest bezwartościową bzdurą. Gdyby nie propagatorzy tamtejszej filozofii, nawet nieudolni, nie mielibyśmy pewnie dziś „Orkiestry Klubu Samotnych Serc Sierżanta Peppera" i „Białego Albumu" Beatlesów, „Nowego Wspaniałego Świata" Huxleya i wielu innych dzieł kontrkultury lat 60. XX wieku.

Wiem, że hatha joga w nurcie Iyengara, którą praktykuję od lat, jest fuzją wiedzy z „Jogasutr" i pozycji gimnastyki szwedzkiej, włączonych do nowoczesnego projektu jogi z początkiem XX wieku przez wspomnianego już Vivekanandę pod wpływem międzynarodowego ruchu kultury fizycznej. Ale czy ma to jakieś znaczenie, skoro same praktyki pomagają utrzymać formę? Wręcz przeciwnie, byłoby świetnie, gdyby książka Micka Browna obudziła chęć sięgania do wiarygodnych źródeł dotyczących duchowych tradycji Indii. I gdyby zaowocowała lekturą także książek naukowych, przybliżających pojęcia, które tylko na pozór wydają się proste i przekładalne na język europejskiej filozofii, nie mówiąc o popkulturze.

© BEATA CHOMĄTOWSKA



Mick Brown
NIRVANA EXPRESS. MISTYCY, OSZUŚCI I POSZUKIWACZE OŚWIECENIA
Przekład: Barbara Gutowska-Nowak, Wydawnictwo UJ, 2025

Na kòlãdze jak to bãdze

DAWID GOSPODAREK

ZWYCZAJE | Na Kaszubach odradzają się grupy kolędnicze, które w tradycyjnych przebraniach, z akordeonem i diabelskimi skrzypcami, odwiedzają domy sąsiadów.

Grupy są różne, w zależności od regionu i okresu, w którym kolędnicy odwiedzają domy – mówi Adóm Hébel, kaszubski działacz kultury, pisarz i twórca kanału „Kaszëbë i swiat". – Na północy są Panëszczi, gdzie indziej Gwiôzdczi i Gwiżdże. W Gniewowie w gminie Wejherowo są Kòzelbòczi (Kozły), gdzie indziej Baranë, choć wiele osób zarzeka się, że postać barana w kaszubskich Gwiôzdkach nie występuje. Co wieś, to inna pieśń. Do tradycyjnych grup zwykle należeć mogli tylko kawalerowie, choć bywało i tak, że wolno było się przebierać jedynie żonatym. Dziś coraz częściej rogi pùrtka (diabła), dziób bociana czy inny kostium przywdziewają dziewczyny.

Magia i teologia

Wizyty rozśpiewanych przebierańców sięgają czasów przedchrześcijańskich. Postaci zwierząt od tysiącleci symbolizowały siłę, której ludziom brakuje, zwłaszcza zimą. Bocian, który kojarzy się z narodzeniem dziecka, też nie jest chrześcijańskim symbolem. – Śmierć z kosą zdaje się mówić „*memento mori*", bo nawet w radości Bożego Narodzenia nie powinniśmy zapominać o przemijaniu. Święta zresztą często przypominają nam o zmarłych bliskich. Oni przychodzą do nas pod postacią baby i dziada, ubranych byle jak starszych ludzi, którym pod koniec kolędy daje się do kosza poczęstunek – wyjaśnia Hébel.

Jest też Gwiôzdór – postać pokryta słomą, symbolem bogactwa i dobrobytu. Ubrany w maskę, która w pierwotnych kulturach była przecież atrybutem magicznym. – Brzmi to mało po chrześcijańsku, ale dawne wierzenia zaadaptowały się w nowych realiach. Dlatego pochód zwierząt jako żywo nasuwa nam skojarzenia z grotą betlejemską i pasterzami. Przypomina, że na „Jego Imię zegnie się każde kolano" – dodaje pisarz.

Z kolei Rom prowadzący niedźwiedzia to przedstawiciel innej, obcej Kaszubom kultury. W dawnych czasach „obcy" kojarzony był z nadnaturalnymi zdolnościami. Dziś może przypominać nam o gościnności czy też uniwersalizmie Bożego odkupienia.

Teatr i bałagan

Wizyta kolędników to nie tylko śpiewanie kolęd. Towarzyszy jej teatralna narracja, życzenia błogosławieństwa, a także sporo spontaniczności, hałasu, bałaganu i psot. Kominiarz rozrzuca popiół czy brudzi twarze gospodarzy, pùrtk dokazuje. Panuje harmider, który stara się opanować szandara (policjant).

– Jeśli miałbym doszukać się w tym niezwykłym widowisku jakiegoś przesłania, to byłoby to stwierdzenie, że Jezus trafił do takiego właśnie świata: ludzi dobrych i złych, nieokiełznanych, głośnych, brudnych, zajętych dokuczaniem i wyjadaniem z garnka. Różnorodnych. On nie wyklucza nikogo, a każdy odnajduje radość, którą przeżywa na swój osobliwy sposób – wyjaśnia Adóm Hébel.

Ludwik Szreder z Masłowic w gminie Tuchomie, kierownik tamtejszego ośrodka kultury, kolędował od dzieciństwa. – Wszystkiego nauczyła nas mama. Jasełkowych tekstów, kolęd, np. „Jezu, òstaw szopã, słomã, sano w żłobie, przińdz do naszi chëczë, zaspiéwómë Tobie". Wędrowaliśmy z rodzeństwem i znajomymi w głębokim śniegu, poprzebierani. Do dziś pamiętam swoje kwestie, te emocje. Przyjmowano nas serdecznie, częstowano, dawano trochę grosza. To była zawsze niesamowita przygoda. Ale kolędowanie miało też dla nas ważny wymiar edukacyjny – wspomina z nostalgią.



DANIEL FRYMARK / FORUM

Kolędnicy z miejscowości Żuromino k. Kościerzyny, 24 grudnia 2017 r.

Sztafeta pokoleń

W 2024 r. Muzeum – Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydzach odnalazło film „Gwiazdka" z 1973 r. o grupie kolędniczej prowadzonej pół wieku temu przez Bronisława Gruchałę z Dannachowa w powiecie kartuskim. Jego prawnuk, Marcin Gruchała, poinformował muzeum, że rodzinna tradycja nadal jest kontynuowana, zachowała się też część oryginalnych strojów. To stało się impulsem do produkcji nowego filmu o pokoleniowej sztafecie kolędniczej rodu Gruchałów, który od niemal stu lat kultywuje tę unikalną formę świętowania.

Dokument „Idziemy dla pradziadka!", który obejrzeć można na YouTube, pokazuje rodzinne kolędowanie nie tylko jako zabawę, ale formę głębokiego zobowiązania wobec tradycji, hołdu dla przodków i żywej wciąż z nimi relacji, które są ważnym elementem rodzinnej tożsamości. W jednym z nagrań mężczyzna wspomina, jak płakał podczas świąt, spędzanych w koszarach wojskowych, w czasach PRL, że nie może „pójść z Gwiżdżami".

Ewelina Karczewska-Luhm, scenarzystka i reżyserka nowego filmu, podkreśla, że poprzez takie projekty Muzeum we Wdzydzach wychodzi poza rolę konserwatora przeszłości, stając się kustoszem żywej tradycji i rejestrując zachodzące w niej zmiany. Opowieść o Gruchałach i ich zaangażowaniu już inspiruje młodsze pokolenia do zainteresowania się i praktykowania kolędniczych zwyczajów.

Granica światów

W latach 90. tradycja pochodów kolędników zaczęła zanikać. Jedną z przyczyn, według Adóma Hébela, był coraz większy dobrobyt. – Coraz mniej ludzi chciało przyjąć hałasujących i bałaganiących przebierańców, zwłaszcza że domy były wysprzątane i wyposażone w sprzęt, na który można sobie było pozwolić po transformacji gospodarczej i otwarciu na Zachód. Zachłysnęliśmy się świętami w skomercjalizowanym wydaniu, zapominając o własnych korzeniach – mówi.

Ale tęsknota za dawnymi zwyczajami okazała się silniejsza. W wielu miejscach grupy kolędników wróciły, mniej lub bardziej zorganizowane. Tyle że Gwiôzdków przyjmuje się na podwórkach, gdzie mogą do woli bałaganić, a poczęstunek dla nich szykuje się w garażu. Wysprzątane domy, wyczyszczone dywany i wykrochmalone obrusy nie są już zagrożone.

– Kluczowe dla zrozumienia obrzędowości ludowej jest postrzeganie świata w sposób dualny – my i oni, porządek i chaos, znane i obce – mówi Hébel. – Najważniejsze rzeczy dzieją się na granicy tych światów: na progu domu, podczas przesilenia, albo gdy przechodzimy ze stanu kawalerskiego do małżeństwa. Garaż czy podwórko jest właśnie taką granicą światów – trochę oswojonym domem, trochę obcym światem zewnętrznym. Tam domownicy spotykają się z kolędnikami, pulsujące życie młodych ludzi z pamięcią o tych, których ziemski żywot dobiegł końca. Nie obawiam się zmian w tradycji, one zawsze zachodziły. Ważne, żeby drzwi do domu, albo przynajmniej garażu, były otwarte, a ten gest wyrażał także naszą otwartość w szerszym tego słowa znaczeniu – tłumaczy. Opowiada, jak z zaprzyjaźnioną grupą z Luzina odwiedzał domy, grając zupełnie nietradycyjną postać reportera radiowego, który opisuje niepokój na świecie, dla którego przeciwwagą są kolędnicy niosący Dobrą Nowinę.

– W kolędowaniu najbardziej lubię spontaniczną radość, która umyka nam w nostalgicznym i melancholijnym charakterze świąt. W polskich kolędach bardzo podkreśla się nędzne warunki, w których Jezus przyszedł na świat, i jest to piękne, ale moim zdaniem powinniśmy też pamiętać o radości, która nas spotkała i powinna się nam udzielać – dodaje Hébel.

Kolędnicze improwizacje

Ludwik Szreder zachęcił do kolędowania dzieci z Masłowic, niewielkiej miejscowości koło Tuchomia, oraz członków tamtejszego zespołu muzycznego. Wozem kolędników była wielka, rolnicza maszyna, przystrojona kolorowymi lampkami. Szreder sam zrobił gwiazdę, pozostali kolędnicy przygotowali sobie stroje. Scenki odgrywane w domach są improwizowane, każda jest inna, wszystkie w języku kaszubskim.

– Ja niczego nie narzucam, sami uczestnicy wszystko wymyślają. Jesteśmy bardzo dobrze przyjmowani, wieść o naszej wędrówce szybko się rozchodzi, ludzie sami dzwonią i nas zapraszają. Wszyscy mają z tego dużo frajdy – opowiada Ludwik Szreder, zapewniając, że tradycja będzie kontynuowana.

O kultywowanie zwyczaju na Kaszubach dba też Stowarzyszenie Miłośników Muzeum Ziemi Puckiej im. Floriana Ceynowy, które już trzeci raz zorganizowało akcję „Powrót Panëszków".

– To szereg wizyt kolędników w instytucjach publicznych, szkołach, na puckim rynku. Dzieci, młodzież i dorośli mogą wypożyczyć bezpłatnie kostiumy z zasobów muzeum, jednocześnie są zachęcani, by wzbogacać kolekcję, np. dodając od siebie jakąś maskę, rekwizyt czy doszywając jakiś element do stroju – mówi Adóm Hébel. – Pokazujemy też, że kostiumy mogą powstać z powszechnie dziś używanych materiałów, mogą być lżejsze niż te tradycyjne, a więc bardziej przystępne i poręczne, także dla dzieci. To nie jest zerwanie z tradycją, ale przybliżenie jej szerszemu gronu odbiorców.

Zwłaszcza że dzięki mediom społecznościowym każdy może skontaktować się z kaszubskimi kolędnikami i zaprosić ich do siebie. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ciało stało się Słowem



Piotr w domu Korneliusza mówił do zgromadzonych tam żydów i chrześcijan: „Wiecie, co działo się w całej Judei, począwszy od Galilei, po chrzcie głoszonym przez Jana: Bóg namaścił Jezusa z Nazaretu Duchem Świętym i mocą. Szedł On, dobrze czyniąc i uzdrawiając wszystkich, którzy byli w mocy diabła, bo Bóg był z Nim. My jesteśmy świadkami wszystkiego, czego dokonał na ziemi żydowskiej i w Jeruzalem". Te Jezusowe dobre czyny przekonały ich, że rzeczywiście „Słowo Ciałem się stało i zamieszkało między nami". Przekonały ich również, że śmierć Jezusa, a więc i nasza, to nie klęska, ale ujawnienie, kim jest Jego Ojciec i nie co, ale Kto wciąż stwarza świat i prowadzi do pełni rozwoju. Jezusa „zabili – mówi Piotr – wieszając na drzewie. Ale trzeciego dnia Bóg Go wskrzesił i sprawił, że ukazał się w widzialnej postaci".

A jak jest dzisiaj? Co jest tą widzialną postacią Jezusa i jak jednak sprawdzić, czy przypadkiem nie mylimy Go z kimś innym, a nasza więź z Nim nie jest pobożnym urojeniem? Nie bez powodu Jezus przestrzega uczniów przed zwodzicielami zapewniającymi, że jedynie oni wiedzą, gdzie Jezus jest lub nie jest, że tylko „tam (...) albo tu!". Słowem, przed chorobą wyniszczającą wszystkie religie, czyli klerykalizmem i przed ateistycznym fanatyzmem. Mówi: „Nie odchodźcie i nie biegajcie tam", gdyż „królestwo Boże jest pośród was". Jeśli tak, to bez trudności można sprawdzić, czym jest to, co nazywamy naszą wiarą lub niewiarą. Czy idziemy, „dobrze czyniąc i uzdrawiając wszystkich"? Jeśli tak, to znaczy, że „Bóg jest z nami".

Ukrainka, lekarz Olena, która po napaści Rosji wróciła z Włoch do kraju i do dziś służy w oddziale ewakuacyjnym, mówi: „Trudno patrzeć na człowieka, który traci rękę albo nogę. Ale dla mnie najcięższe do zniesienia jest to, gdy żołnierze tracą wzrok. Gdy przywożą rannego, który mówi: Nic nie widzę. Może później zobaczę? A ty widzisz obrażenia i wiesz, że już nigdy nie odzyska wzroku... to bardzo bolesne, bo nie możesz go pocieszyć (...) Czasem mówię: Dlaczego ten chłopak nie przeżył? Był taki młody (...) To trudne do zrozumienia, ale Bóg ma swoje zamysły". Dla dr Oleny: „To powód do wielkiej wdzięczności Bogu za tę możliwość". „Za możliwość...". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Imię Jezus



Weszliśmy w Nowy Rok. Pierwszy dzień roku Liturgia opisuje następującym zdaniem Ewangelii: „Gdy nadszedł dzień ósmy [od narodzenia Pana] i należało obrzezać Dziecię, nadano Mu imię Jezus, którym Je nazwał anioł, zanim się poczęło w łonie Matki" (Łk 2, 21). Wchodząc w Nowy Czas, wspominamy te właśnie dwa wydarzenia: obrzezanie Chrystusa i nadanie Mu imienia. Obydwa są ze sobą głęboko powiązane. Imię „Jezus" znaczy bowiem tyle, co „Bóg zbawia"; obrzezanie natomiast pokazuje nam z mocą, jaka jest cena naszego zbawienia. Ceną jest przelanie Jezusowej krwi! W taki też sposób interpretowała ten dzień przez wieki chrześcijańska tradycja, obchodząc 1 stycznia święto obrzezania Pańskiego: obrzezanie – podkreślała – to pierwszy moment przelania krwi przez Jezusa. To jest nowina, z którą wierzący wchodzi w nowy rok – równie dobra, co zobowiązująca. Dobra: Bóg Cię zbawia. Zobowiązująca: za cenę własnej krwi. Niełatwo jest zlekceważyć TAKIE zbawienie.

Jest też jeszcze inne przesłanie objawienia Boga z 1 stycznia: tak jak Boże Narodzenie pyta nas, czy chcemy się z Jezusem urodzić [On się rodzi z Maryi, by każdy z nas mógł się urodzić z Boga], tak dzień zamknięcia oktawy Bożego Narodzenia pyta nas, czy chcemy być razem z Jezusem obrzezani? Tak. Jest obrzezanie, do którego jesteśmy zaproszeni przez Boga w Chrystusie: „Nie to – pisze św. Paweł w Liście do Rzymian – które jest widoczne na ciele", ale „obrzezanie serca, duchowe, a nie według litery" (Rz 2, 28-29). Paweł mówi o „duchowym" obrzezaniu, aby najpierw podkreślić jego wewnętrzny charakter. Na zewnątrz bowiem nie brakuje nam znaków deklarowanej przynależności do Boga: strój duchowny, krzyż pektoralny, pierścień biskupi... Ale wewnątrz? Jaka jest nasza prawda wewnętrzna? Jaka jakość i determinacja, by należeć do Pana?

Tu potrzebne jest obrzezanie duchowe – to znaczy ostatecznie takie, jakiego dokonuje jedynie Duch Święty (przytoczony tekst mówi dosłownie: „obrzezanie w Duchu"). Duch dokonuje obrzezania serca, posługując się ostrzem miecza, jakim jest Słowo Boga – Słowo doświadczane przez nas nie tylko jako mądre, ale również jako pełne mocy – Słowo, które poddaje nas Bogu – w posłuszeństwie i miłości, nie co do litery, ale co do najgłębszego sensu. Jako zbawieni i obrzezani wejdźmy w Nowy Rok! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami,
nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



PREZENT!

– dostęp do wydania cyfrowego na czas trwania prenumeraty*

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**ABY GO AKTYWOWAĆ:*
- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na **bok@TygodnikPowszechny.pl** z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

ŁABĘDZI ŚPIEW RYBOJASZCZURÓW



Ichtiozaury zniknęły w ciszy.
Królowie mórz ery mezozoicznej pozostawili po sobie
tylko skamieniałe wspomnienia:
zęby, kręgi, czasem fragmenty czaszek.
Ale opowieść, którą niosą, nadal pulsuje życiem.

DANIEL TYBOROWSKI

Gdyby spojrzeć na nie z daleka, można by pomyśleć: delfin. Hydrodynamiczne ciało o opływowym kształcie, płetwy zamiast łap, ogon zwieńczony płetwą, ogromne oczy. Ale ichtiozaury – zwane też „rybojaszczurami" – nie były ssakami. Były gadami. Takimi, które miliony lat przed pierwszym delfinem i wielorybem nauczyły się żyć wyłącznie w wodzie.

Ich przodkowie wywodzili się z linii lądowych czworonogów. Ewolucja popchnęła je z powrotem do morza – i nagrodziła adaptacjami, które do dziś zdumiewają paleontologów. Wyewoluowały w formy poruszające się szybciej niż rekiny, zdolne były do nurkowania na głębokości nieosiągalne dla większości współczesnych zwierząt. W szczycie swojej ewolucyjnej kariery – w okresie triasowym i na początku okresu jurajskiego – były prawdziwymi władcami mórz i oceanów, zarówno pod względem liczby gatunków, jak też zajmowanych nisz ekologicznych.

Jak do tego doszło? Jaki los je spotkał? I co ich szczątki robią na terenie Polski?

Krajobraz po katastrofie

Konwergencja to zjawisko, w którym różne gatunki, a nawet całe grupy organizmów – często bardzo odległe ewolucyjnie – wykształcają podobne cechy, ponieważ żyją w podobnych warunkach i oddziałują na nie zbliżone czynniki środowiskowe. Delfin i ichtiozaur to podręcznikowy przykład takiego procesu. Oba mają wrzecionowaty kształt ciała, trójkątną płetwę grzbietową oraz ogon również zwieńczony płetwą. Jednak delfin to ssak, a ichtiozaury były gadami. Ich podobieństwo wynika nie z pokrewieństwa, lecz z funkcji.

Takie ciało pozwala na szybkie poruszanie się w toni wodnej, minimalizuje opór, stabilizuje ruch. Ale konwergencja w przypadku ichtiozaurów sięga głębiej i wpływa także na równoległy rozwój struktur anatomicznych u różnych grup ichtiozaurów: zmniejszenie kończyn tylnych, powiększenie oczu, specjalizacje w uzębieniu, a także rozwój mechanizmów sensorycznych – jak kanały nerwowe w przodomózgowiu i pysku. Niektóre z tych przystosowań pojawiały się niezależnie – nawet po kilka razy w toku ewolucji tej grupy. Tak samo niektóre z tych cech pojawiały się miliony lat później w ewolucji waleni, np. delfinów.

Historia ichtiozaurów zaczyna się ok. 250 mln lat temu, tuż po największym masowym wymieraniu w historii Ziemi – tym z końca permu, o którym paleontolodzy mówią „matka wszystkich wymierań". Pierwsze formy (tzw. ichtiopterygi) były jeszcze niezgrabne, o wyraźnie jaszczurkowatym wyglądzie. Z czasem jednak ich ciała stawały się coraz bardziej opływowe. Zredukowały szyję, zwiększyły wielkość oczu, a kończyny zamieniły w płetwy.

Pierwsze całkowicie przystosowane do życia w morzu ichtiozaury w zapisie kopalnym pojawiają się niedługo później,

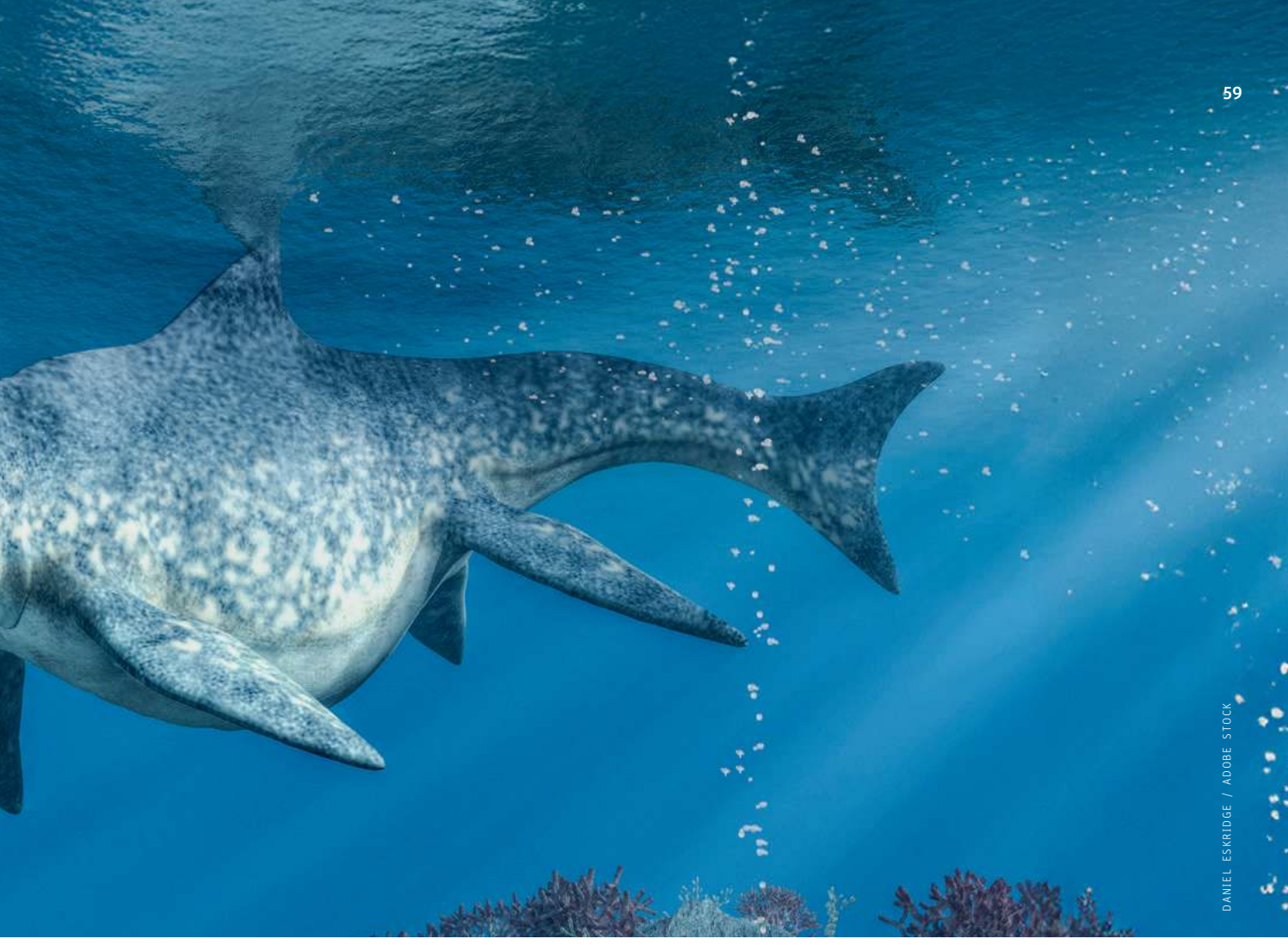

DANIEL ESKRIDGE / ADOBE STOCK

Artystyczna wizja szastazaura – rodzaju rybojaszczura występującego przeszło 200 mln lat temu. Jego skamieniałości znajdowano na terenie Chin, Kanady i USA.

znamy je z arktycznego archipelagu Svalbard. To, co fascynuje, to stopień ich przystosowania do życia w morzu. Były żyworodne – rodziły młode w wodzie. Nie musiały wychodzić na ląd. Oddychały powietrzem, ale wiele form potrafiło nurkować i pozostawać w zanurzeniu przez długi czas. Część – jak pokazują dane izotopowe – była ciepłokrwista lub posiadała prymitywną wersję stałocieplności. Ich zęby i szczęki zdradzają, jak różnorodna była dieta poszczególnych gatunków. Jedne miały zęby igłowate – typowe dla łowców kałamarnic. Inne uzbrojone były w krótkie, grube zęby o spłaszczonych koronach – idealne do miażdżenia skorupiaków czy mięczaków. Jeszcze inne były niemal bezzębne i mogły żywić się planktonem, jak współczesne walenie fiszbinowe.

Od jaszczurki do morskiego potwora

Początki ichtiozaurów były skromne. Niewielka *Grippia* z dzisiejszej Skandynawii przypominała skrzyżowanie jaszczurki z węgorzem, mierzyła niespełna metr długości i była raczej ostrożnym, przydennym zjadaczem małych ryb i mięczaków. Ale już ok. 230-240 mln lat temu, w środkowym triasie, scena się zmieniła. *Cymbospondylus* – gigant osiągający nawet kilkanaście metrów długości – wiódł prym jako jeden z pierwszych wielkich morskich drapieżników, pokazując, jak szybko ichtiozaury opanowały otwarte wody, oblewające niespiesznie rozpadający się superkontynent Pangeę.

Równolegle ewoluowały formy o innych nawykach żywieniowych, jak *Omphalosaurus* – dziwaczny gad o spłaszczonych zębach, przystosowany do miażdżenia muszli, przypominający bardziej krzyżówkę delfina z morsem.

To niezwykłe zróżnicowanie morfologiczne pokazuje, że ichtiozaury nie tylko błyskawicznie objęły miejsca dużych zwierząt morskich w ekosystemach po kataklizmie permskim, ale także szybko wyspecjalizowały się w różnych strategiach zdobywania pożywienia – od klasycznego drapieżnictwa, przez zgniatanie opancerzonych bezkręgowców, po polowanie na duże ryby, głowonogi i inne gady morskie. Trias (trwający do ok. 201 mln lat temu) był dla nich czasem biologicznego eksperymentu i ekspansji, której tempo i skuteczność zadziwiają paleontologów do dziś.

Śmierć w ciszy

W kredzie (trwającej od ok. 145 do 66 mln lat temu) ichtiozaury straciły dawną różnorodność. Przetrwała głównie jedna grupa: *Platypterygiinae*, do której należały duże i masywne formy o mocno zbudowanych i kołkowatych zębach. Te stworzenia pojawiały się od Australii po Europę, od Ameryki Północnej po Rosję.

Byli to ostatni przedstawiciele ze swojej dynastii, ale okazuje się, że ich rola w ekosystemach morskich przełomu wczesnej i późnej kredy (około 100 milionów lat ↦

↦ temu) była bardzo ważna. Z danych kopalnych wynika, że jeszcze na kilka milionów lat przed wyginięciem ichtiozaury radziły sobie bardzo dobrze. Ich zasięg był globalny, miały różne strategie polowania, a młode i dorosłe osobniki znajdowane są w tych samych warstwach – co sugeruje rozmnażanie i ciągłość populacji. Jednak na początku późnej kredy wydarzyło się coś, co doprowadziło do zniknięcia ichtiozaurów.

Nie była to żadna zagłada kosmicznego pochodzenia. Nie było globalnego pożaru ani szybkiego kataklizmu. Ichtiozaury wymarły ok. 93 mln lat temu, na początku późnej kredy, w trakcie tzw. epizodu anoksycznego – czasu, kiedy w oceanach zaczęło brakować tlenu.

Być może zabiły je zmiany klimatyczne: ocieplenie, zakwaszenie mórz, fluktuacje poziomu wody? Niektórzy badacze doszukują się przyczyny wymarcia ichtiozaurów w zwiększeniu się stężenia rtęci w oceanie, a rtęć to bardzo groźny pierwiastek chemiczny dla organizmów żywych. Zanieczyszczenie ekosystemów morskich toksycznymi metalami, takimi jak rtęć, często towarzyszy procesom zakwaszenia wód oceanicznych. Dzisiejsze środowiska morskie również borykają się z zakwaszeniem i zmianami chemizmu, które wpływają niekorzystnie na żyjące w nich formy życia, takie chociażby jak wieloryby, delfiny i morświny, czyli ssaki będące ekologicznymi następcami ichtiozaurów.

Być może przyczyną była nowa konkurencja – plezjozaury, ogromne ryby, rekiny – albo kombinacja czynników, które sprawiły, że ich wyrafinowana ekologia przestała być atutem. W przeciwieństwie do dinozaurów i innych grup morskich gadów, takich jak mozazaury – pradawne potwory morskie o wężowatym kształcie – ichtiozaury nie miały spektakularnego końca. Zniknęły tak, jakby po prostu ktoś przestał pisać ich geologiczną historię.

Cmentarzysko morskich gadów

Jeszcze do niedawna sądzono, że ostatnie ichtiozaury żyły wyłącznie na terenach dzisiejszych USA, Australii, Rosji i zachodniej Europy. Wtedy pojawił się Annopol.

Historia polskich ichtiozaurów sięga niemal stulecia wstecz, kiedy to w latach 20. XX w. geolog i późniejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego oraz jeden z ojców założycieli polskiej szkoły paleontologicznej, Jan Samsonowicz, prowadził badania w nadwiślańskim miasteczku Annopol na Lubelszczyźnie.

Być może zabiły je zmiany klimatyczne: ocieplenie, zakwaszenie mórz, fluktuacje poziomu wody. Niektórzy badacze sądzą, że przyczyną było zanieczyszczenie wód rtęcią.

W miejscowej kopalni fosforytu odkrył on niezwykłe złoże skamieniałości – warstwę bogatą w szczątki morskich gadów, ryb i amonitów. Wtedy jeszcze nie zdawano sobie sprawy z rangi tego stanowiska. Zbierane skamieniałości – czasem traktowane jako ciekawostki geologiczne – w rzeczywistości należały do przedstawicieli wymarłych mieszkańców kredowego morza. Złoże w Annopolu, powstałe około 95 mln lat temu na dnie płytkiego zbiornika morskiego, miało się z czasem okazać jednym z najważniejszych polskich stanowisk kredowych kręgowców morskich, a szczątki odnalezione przez Samsonowicza – bezcennym materiałem do późniejszych badań nad ichtiozaurami.

Złoże skamieniałości w Annopolu powstało w wyjątkowych warunkach geologicznych, które sprzyjały tzw. kondensacji stratygraficznej – procesowi, w którym względnie cienka warstwa osadów kryje niezwykle długą historię geologiczną. W kredzie środkowej teren dzisiejszego Annopola stanowił fragment podmorskiego bloku tektonicznego, który uległ niewielkiemu wyniesieniu. Dzięki temu jego powierzchnia przez długi czas pozostawała bardzo blisko tafli płytkiego morza.

W takich miejscach tempo powstawania osadów jest znikome – odkładają się powoli lub wręcz są wymywane, co sprawia, że powstałe warstwy są niezwykle cienkie, ale mogą zawierać nagromadzenia skamieniałości z wielu tysięcy, a nawet milionów lat. Skamieniałości nie pochodzą z jednej katastrofy czy szybkiego pogrzebania, ale są wynikiem długotrwałego gromadzenia się szczątków na morskim progu, gdzie osady były spłukiwane lub przesiewane przez prądy. Taka geologiczna kondensacja sprawia, że złoże w Annopolu to nie tylko lokalna ciekawostka, ale unikatowe archiwum zmian w kredowym ekosystemie morskim.

Nadwiślański drapieżnik

W 2009 r. w kopalni w Annopolu nad Wisłą znaleziono fragment czaszki – przecięty poprzecznie, ale doskonale zachowany. Odkrywcą tego znaleziska był Artur Komorowski ze Speleoklubu Beskidzkiego. Analiza pokazała, że czaszka należała do przedstawiciela *Platypterygiinae*. Żuchwa była masywna, zęby osadzone głęboko i bardzo wytrzymałe, z grubą warstwą ortodentyny i cementu.

Ich układ i struktura wskazują na drapieżnika wyspecjalizowanego w polowaniu na duże ofiary – zapewne żółwie morskie, rekiny, a może nawet inne ichtiozaury. Szacowana długość ciała: od 6 do 9 metrów – czyli wielkość dzisiejszej orki. Najciekawszy jest jednak wiek skał, w których zachował się okaz. Są to skały datowane na mniej niż 2 miliony lat przed całkowitym wymarciem tej grupy. To czyni odkryty okaz jednym z najmłodszych ichtiozaurów, jakie znamy, i pierwszym tak dobrze zachowanym z tego przedziału czasowego z Polski.

Znalezisko z Annopola pokazuje, że ostatnie ichtiozaury były dużymi i sprawnymi zwierzętami, doskonale przystosowanymi do makrodrapieżnictwa, czyli odżywiania się sporymi ofiarami. To przypomnienie, że ewolucja nie zna sprawiedliwości. Czasem nawet najbardziej efektywne organizmy znikają – nie dlatego, że zawiodły, ale dlatego, że świat zmienił reguły gry.

© DANIEL TYBOROWSKI

Autor jest doktorem paleontologii, pracuje w Katedrze Geologii Historycznej, Regionalnej i Paleontologii na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Popularyzator nauki, zaprezentował m.in. na YouTubie serię wykładów na temat historii życia oraz opublikował książkę „W głębiny. Ewolucyjna podróż morskich gadów i ssaków" (Wydawnictwo RN, 2025).

TYGODNIK POWSZECHNY



Lepsze strony życia

Zamów nowe
Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



ANITA WALCZEWSKA / MATERIAŁY PRASOWE CN KOPERNIK

Laureatem ogólnopolskiej kategorii poprzedniej edycji Nagrody Przewroty był kurs dokształcający dla położnych „Poradnictwo w okresie transformacji menopauzalnej", realizowany przez Kulczyk Foundation w partnerstwie z Naczelną Radą Pielęgniarek i Położnych oraz Warszawską Okręgową Izbą Pielęgniarek i Położnych.

Edukacja jest przewrotna. Centrum Nauki Kopernik przyzna Nagrodę Przewroty 2026

W jednej ze szkół w Siemianowicach Śląskich na matematyce uczniowie i uczennice piszą kredą po ścianach.

Tradycyjne stopnie zastąpiono w siemianowickiej placówce informacją zwrotną, a praca zespołowa przenosi uwagę uczniów z wyniku na proces, zmniejsza stres, a także wspiera kreatywność i współpracę. W Krośnie młodzi ludzie tworzą własne centrum aktywności. W ramach edukacji pozaformalnej łączą działania artystyczne z aktywizmem społecznym. W Chorzowie zielone kompetencje rozwija się w hucie. W całej Polsce natomiast uczniowie i nauczyciele – z użyciem narzędzi cyfrowych i metody design thinking – diagnozują lokalne problemy środowiskowe, a potem tworzą oraz testują własne rozwiązania dla klimatu (np. aplikacje, czujniki, projekty solarne). O tych niezwykłych inicjatywach mogliśmy dowiedzieć się, ponieważ zostały zgłoszone do Nagrody Przewroty – wyróżnienia przyznawanego przez Centrum Nauki Kopernik.

Właśnie ruszył nabór do **III EDYCJI NAGRODY**, który potrwa do **8 marca.**

Laureaci otrzymają nagrodę pieniężną (20 000 zł) oraz statuetkę – symbol zmian, które początkowo wydają się niemożliwe, a jednak działają. Zwycięskie inicjatywy poznamy podczas uroczystej gali **22 maja 2026 r.** Wskaże je kapituła honorowa, składająca się z przedstawicieli świata nauki, edukacji, biznesu, sztuki i życia publicznego.

Formularz zgłoszeniowy: **www.kopernik.org.pl/nagroda-przewroty**

Pozwólcie o sobie usłyszeć

Nagroda Przewroty powstała z potrzeby zauważenia i wzmocnienia działań, które pokazują, że edukację można tworzyć inaczej. To wyróżnienie dla inicjatyw często skromnych, lokalnych, ale przełomowych i inspirujących. Szczególną wartość mają projekty, które można łatwo wdrożyć w innych środowiskach, co pozwala na szersze oddziaływanie. „W środowisku edukacyjnym pojawia się bardzo wiele niezwykle cennych, wartościowych i nowatorskich inicjatyw, które trochę giną niezauważone. Często rodzą się w niewielkich miasteczkach, w małych instytucjach lub w głowach pojedynczych osób, a zasługują na umieszczenie w świetle reflektorów – po to, żeby docenić te osoby i te instytucje, a także aby pokazać je innym i ich zainspirować" – mówi Robert Firmhofer, dyrektor naczelny Centrum Nauki Kopernik, przewodniczący kapituły honorowej Nagrody Przewroty.

W Przewrotach nie chodzi o „bycie najlepszym". Chodzi o dzielenie się tym, co działa lokalnie czy ogólnopolsko – po to, by inspirować innych. Dzięki takim małym iskrom system może się zmieniać od środka.

Można zgłaszać inicjatywy edukacyjne, które są:

- **śmiałe**
- **nowatorskie i przewrotowe**
- **angażujące**
- **inspirujące i skuteczne**
- **nawiązujące do ważnych społecznie i aktualnych zagadnień**
- **rozwijające samodzielność myślenia i umiejętność wspólnego działania**
- **włączające różne grupy osób.**

Do drugiej edycji Nagrody zgłoszono aż **230 inicjatyw** – od edukacji przedszkolnej po działania dla seniorów, od szkół publicznych, przez biblioteki i podwórka, po huty i szpitale.

Przyznano DWIE GŁÓWNE NAGRODY – w kategorii ogólnopolskiej i lokalnej.

Kurs dla położnych **„PORADNICTWO W OKRESIE TRANSFORMACJI MENOPAUZALNEJ"** – laureat kategorii ogólnopolskiej – to odpowiedź na lukę systemową i temat, który przez lata pozostawał tabu.

Twórcy programu szkoleniowego wykorzystali potencjał położnych, by wspierać kobiety w transformacji menopauzalnej: fizycznej, emocjonalnej i społecznej. „Mamy w Polsce około 4,5 miliona kobiet w okresie transformacji menopauzalnej. Jeżeli nie dostaną opieki w odpowiednim momencie, to wiele chorób związanych z obniżeniem się poziomu hormonów, czyli właśnie z tą transformacją menopauzalną, może się zaostrzać, rozwijać i tym samym pogarszać stan zdrowia kobiet" – wskazuje Anna Samsel,

MATERIAŁ PARTNERA

menadżerka projektów Kulczyk Foundation, pomysłodawcy kursu dla położnych. „Okazało się, że są specjalistki, które mogą stanowić rozwiązanie tego problemu. To właśnie położne, które w trakcie swojej edukacji są przygotowywane do tego, aby szerzyć wiedzę na temat zdrowia kobiet na wszystkich etapach ich życia. Również w okresie transformacji menopauzalnej. I na tym oparliśmy nasz projekt" – tłumaczy Samsel.

CENTRUM AKTYWNOŚCI MŁODZIEŻY W KROŚNIE – laureat kategorii lokalnej – to miejsce tworzone dla młodzieży i wspólnie z młodzieżą.

Powstało w odpowiedzi na brak bezpiecznej przestrzeni miejskiej dla młodych. Łączy sztukę, relacje i wsparcie społeczne. „Myślę, że najbardziej dumni i dumne, a może najbardziej szczęśliwi jesteśmy z tego, że na co dzień udaje nam się budować relacje z młodymi ludźmi" – podkreśla Sylwia Barnett, edukatorka i koordynatorka Centrum Aktywności Młodzieży w Krośnie. „Wydaje się, że jest to jedna z najważniejszych potrzeb, na jakie odpowiadamy: młode osoby potrzebują miejsca, gdzie czują się bezpieczne, i osób dorosłych, z którymi mogłyby budować partnerskie relacje. I to jest dla nas najważniejsza rzecz każdego dnia" – dodaje.

Inicjatywy – drogowskazy zmian w edukacji

Nagroda Przewroty ma ambicję wykraczającą poza samo wyróżnianie dobrych praktyk. Zgłaszane inicjatywy pełnią rolę drogowskazów – wskazują obszary, w których edukacja wymaga zmiany, oraz pokazują rozwiązania sprawdzające się w dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości, kształtowanej przez przemiany społeczne, rozwój technologii (w tym AI), kryzys klimatyczny czy migracyjny. Często nie tylko odpowiadają na konkretne wyzwania, lecz także inicjują rozmowę o tym, jakiej edukacji dziś potrzebujemy i co należy w niej zmieniać, by była bardziej sprawcza i włączająca. Jednym z celów Nagrody jest wzmacnianie tej debaty poprzez pokazywanie przykładów skutecznych działań, ich upowszechnianie oraz inspirowanie osób, które chcą działać odważnie, a jednocześnie odpowiedzialnie.

Kopernik – laboratorium i hub edukacyjnych zmian

Centrum Nauki Kopernik od lat działa na styku różnych światów: nauki, kultury, technologii i edukacji. Jak podkreśla Robert Firmhofer, to właśnie bycie na pograniczu czyni tę instytucję wyjątkową: „Zmieniliśmy paradygmat myślenia o edukacji – proponujemy rozwiązania, które angażują, wspierają samodzielność nie tylko poznawczą, ale także samodzielność w tworzeniu czegoś i w kreowaniu własnej ścieżki uczenia i rozwoju".

Kopernik jest zarówno laboratorium nowych idei, jak i hubem, który wspiera środowisko edukacyjne w całej Polsce i poza jej granicami. Tworzone tu innowacje – scenariusze zajęć, zestawy dydaktyczne, eksponaty – powstają nie tylko w pracowniach Kopernika, ale również we współpracy z szeroką siecią partnerów: nauczycieli, edukatorów, instytucji kultury i nauki. Poprzez programy takie jak Kluby Młodego Odkrywcy czy Strefy Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności (SOWA), Kopernik dzieli się doświadczeniem, wzmacnia kompetencje lokalnych instytucji i wspiera edukację opartą na ciekawości, działaniu i współpracy. Nie narzuca rozwiązań – raczej inspiruje, zaprasza do tworzenia i rozwoju w relacjach partnerskich.



Patroni medialni

Organizatorzy Centrum Nauki Kopernik

III EDYCJĘ NAGRODY PRZEWROTY wspierają patroni medialni: Polsat News, Interia, Tygodnik Powszechny, Polskie Radio Jedynka, Polskie Radio Trójka, Strefa Edukacji, Nasze Miasto, Głos Nauczycielski.

Patronat honorowy nad Nagrodą Przewroty objęła **MINISTRA EDUKACJI.**



KULTURA

TAJEMNICA SIEDMIU ZEGARÓW, *której ekranizacja 15 stycznia pojawi się na Netfliksie, odbiega od standardowego schematu powieści Christie. Choć do morderstwa dochodzi w rezydencji Chimneys (ang. chimney – komin), zamiast zbrodni przy kominku dostajemy międzynarodowe śledztwo policyjne, tajne stowarzyszenie i groźnych przestępców. Zdaniem niektórych recenzentów powieść jest nietypowa i niezbyt udana, według innych to znakomita parodia literatury szpiegowskiej. I satyra na gnuśnych arystokratów, bo wszystko zaczyna się do tego, że niejaki Gerry Wade notorycznie zasypia na śniadanie (serwowane do jedenastej). Przyjaciele postanawiają zrobić mu kawał i wstawić do pokoju osiem budzików. Ich dzwonienie obudziłoby umarłego. Tyle że rano okazuje się, że Gerry faktycznie nie żyje. Książka była już ekranizowana – w 1981 r. BBC nadało film z gwiazdorską obsadą (John Gielgud, Harry Andrews, Cheryl Campbell). W trzyodcinkowej adaptacji Netfliksa zobaczymy między innymi Helenę Bonham Carter i Martina Freemana.*

Na zdjęciu Mia McKenna-Bruce na planie serialu „Tajemnica siedmiu zegarów", Netflix.

ALIBI IDEALNE

Kochała tłustą śmietankę, szybkie samochody i dalekie podróże. Próbowała windsurfingu na Hawajach, odwiedzała pustynne wykopaliska. Przez większość życia zarabiała też więcej niż jej mężowie.

DOROTA MALINA



MATERIAŁY PRASOWE

Królowa Kryminału, która zostawiła po sobie przepastne *oeuvre* i niejednego trupa, w pewnym sensie zmieniła moje życie. Choć zmarła jedenaście lat przed moim urodzeniem, to dzięki jej kryminałom stałam się kompulsywną czytelniczką, anglofilką, a potem tłumaczką. Do Herkulesa Poirot i panny Jane Marple mam więc stosunek sentymentalny i choć z perspektywy czasu widzę, że wcale nie zawsze jest tak przytulnie i tak wspaniale, jak mi się wydawało, nadal chętnie wracam do Styles czy St Mary Mead.

Karty na stół

Dziś, dokładnie 50 lat po śmierci Agathy Christie (zmarła 12 stycznia 1976 r.), jej dzieło pozostaje żywe – książki są wznawiane i tłumaczone na nowo, powstają spin-offy, kontynuacje, adaptacje filmowe (najnowsza, „Tajemnica siedmiu zegarów" na Netfliksie już 15 stycznia) i teatralne. Są komiksy i książki kucharskie, gry komputerowe i muzea, „spacery śladami" i mnóstwo gadżetów. Napisano biografie Poirota i panny Marple, szkice na temat innych detektywów i ich pierwowzorów w prawdziwym życiu. Autorce poświęcane są też seminaria naukowe i sążniste artykuły akademickie (niedawno czytałam o ekofeminizmie w twórczości Christie). Są zachwyty (jaka żywotność!) i nagany, głównie za Murzynków, antysemityzm i inne przywary przedstawicielki *upper-middle class* z początku XX wieku.

Bibliografia podstawowa – niewiele mniej niż setka powieści – oraz omówienia, analizy, studia krytyczne, a także stawianie Christie obok Biblii i Szekspira (pod względem liczby przekładów i sprzedanych egzemplarzy) sprawiają, że nie wiadomo, jak ugryźć jej spuściznę. Wszystko już było – wielokrotnie opisywano jej dzieciństwo, tajemnicze zniknięcie w 1926 r. i małżeństwo z młodszym archeologiem, analizowano książki z klucza biograficznego i postkolonialnego.

Są studia porównawcze i wykazy uchybień wobec „Dziesięciu przykazań literatury detektywistycznej" sporządzonych przez księdza Ronalda Knoksa (oprócz kryminałów popełnił kilka tekstów teologicznych i tłumaczenie Biblii na angielski), który zadekretował między innymi, że morderca zawsze musi być jeden i nie może być nim narrator. Kto czytał „Morderstwo w Orient Expressie" czy „Zabójstwo Rogera Ackroyda", ten wie, jaką grzesznicą była Christie.

Dlaczego zatem, mimo schematyczności, powtarzalności i przewidywalności, choć znam fabuły i doskonale wiem, kto zabił i co odpowie panna Marple, nadal regularnie sięgam po swoje wyświechtane „Morderstwo na plebanii"?

Rendez-vous ze śmiercią

Będzie to tzw. kryminał kocykowy, zagadka mojego zamkniętego nastoletniego pokoju – jako młoda dorosła popołudnia spędzałam na kanapie, kompulsywnie pochłaniając kolejne kryminały. Kupowałam je w składzie tanich książek, kolekcję uzupełniałam w księgarniach i antykwariatach. Przez kilka lat dostawałam Christie na urodziny, imieniny i święta, nieświadomie kontynuując brytyjską tradycję „Christie for Christmas" z czasów, kiedy autorka jeszcze żyła i co roku wypuszczała kilka nowych pozycji. Udało mi się skompletować wszystkie kryminały (romanse pisane pod pseudonimem Mary Westmacott jakoś w ogóle mnie nie interesowały), większość w niezbyt urodziwych wydaniach Wydawnictwa Dolnośląskiego.

Miałam swoje rytuały – do pociągu brałam „4.50 z Paddington" albo „Morderstwo w Orient Expressie", przed świętami czytałam „Boże Narodzenie Herkulesa Poirot", a na wakacjach „Niedzielę na wsi". Kryminały Christie miały dla mnie status przedmiotu przywiązania – czytałam je w kółko, nie ruszałam się z domu bez przynajmniej jednego morderstwa czy zagadki.

Rodzice zaczynali się niepokoić, więc wymyśliłam sobie alibi idealne – nauka języków. I myślę, że to dzięki Christie trafiłam na anglistykę. Jaką dumę czuje gimnazjalistka z małego miasteczka, która jest w stanie przeczytać całą książkę w oryginale (akcja dzieje się ponad dwie dekady temu, obecnie to żadne osiągnięcie). Nie wiedziałam tego, co wiem teraz – że znajomość fabuły bardzo ułatwia zrozumienie, że język Christie jest ponoć na poziomie dziesięciolatka, a słownictwo i wyrażenia są powtarzalne.

Nie zwracałam uwagi, że książki są krótkie i złożone głównie z prostych dialogów. Nic to, czytałam *po angielsku.* Wszystko, co udało mi się zdobyć. Potem już świadomie zastosowałam metodę Christie do nauki francuskiego i hiszpańskiego. Możliwości jest bez liku, bo autorka jest tłumaczona na ponad sto języków. Jak chyba każdy fan Królowej Kryminału mam w szufladzie własne próby przekładowe – bo oczywiście wydawało mi się, że potrafię lepiej – a w skrzynce mailowej mnóstwo uprzejmych odmów wydawniczych.

Zatem wracam do Christie z sentymentu, tak jak wraca się do formacyjnych lektur i ulubionych deserów z dzieciństwa. I z wdzięczności, że wytyczyła mi ścieżkę kariery. ↦

Morderstwo to nic trudnego

↦ Miałam w młodości przelotny romans z kryminałami Stiega Larssona i Henninga Mankella. Mikael Blomkvist i Kurt Wallander pokazywali mi świat mroczny i okrutny, ekscytujący, ale dojmująco smutny. Świat mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet, rzeczywistość sadystycznych seryjnych morderców. Szybko porzuciłam mróz, marazm i gorzką kawę na rzecz popijanej przy kominku bawarki.

Christie daje przewidywalność i przytulność. Są wyjątki: w Orient Expressie jest zimno i krwawo, para mniej znanych detektywów, Tommy i Tuppence Beresford, prowadzą szeroko zakrojone śledztwa polityczne, a w „A.B.C." morduje się seryjnie.

Gros książek Christie można jednak sprowadzić do lekkostrawnego przepisu: weź kilku bogatych, dobrze ubranych i uprzejmych Anglików, zamknij ich w wygodnej rezydencji, dodaj szczyptę zazdrości albo spór o spadek, lekko potrząśnij i zlikwiduj jedną z postaci, najlepiej dyskretnie, między podwieczorkiem a kolacją. A następnego dnia sprowadź małego Belga albo wścibską staruszkę, którzy rozwiążą zagadkę, nie zaburzając rytmu posiłków.

Oczywiście fabuła jest zwykle nieco bardziej skomplikowana, są fałszywe tropy i lekkie komplikacje, mimo to kryminały Christie są zaskakująco stacjonarne i statyczne. Poirot starannie ogląda miejsce zbrodni, rozmawia z podejrzanymi, a potem po prostu siedzi w fotelu i uruchamia „małe szare komórki". Panna Marple węszy, podpytuje i stosuje małomiasteczkowy *gestalt*, szukając analogicznych spraw w swojskim St Mary Mead. Zagadka zostaje rozwiązana dzięki inteligencji, intuicji i znajomości ludzkiej natury. Nie ma pościgów, wybuchów emocji, nieprzystojnych pogróżek. Od czasu do czasu ktoś napisze anonimowy list z (rozczulająco grzecznymi na nasz gust) pogróżkami.

Podróż w nieznane

Z kryminałów Christie na pewno nie da się nauczyć języka ulicy ani przekleństw – o czym przekonałam się podczas pierwszego pobytu w Londynie, gdzie wzbudzałam powszechne rozbawienie, bo mówiłam jak arystokratka z początku poprzedniego wieku (*I beg your pardon, madam*?). W świecie Christie jest miło i grzecznie. Choć pisała częściowo o czasach, kiedy po ulicach Londynu grasowały gangi, a miasto było rozwarstwione, zamglone i niebezpieczne, Królowa serwuje nam morderstwo w białych rękawiczkach i wypolerowanych bucikach.

I mnie taki świat przyciągał – nie zastanawiałam się, czemu Anglia w jej kryminałach jest biała, syta i bogata. Czemu prawie nikt nie musi pracować, a zimuje się w egzotycznych krajach, gdzie spotyka się głównie innych białych Anglików (świetnie pisze o tym Lucy Wosley w biografii autorki: podczas młodzieńczej podróży do Egiptu Agatha nie rozmawiała z nikim, z kim nie mogłaby gawędzić w Surrey).

Czemu najbiedniejszą klientką Poirota jest pani Todd, która mieszka w Clapham i ma tylko dwoje służących (w tym tytułową kucharkę, która znika). Czemu kwestia honorarium dla Poirota właściwie nigdy nie pada – tylko raz, kiedy pani Todd płaci mu gwineę za fatygę, ale on czeku i tak nie inkasuje, tylko oprawia go sobie na pamiątkę.

Czytanie Christie było dla mnie jak podróż z przaśnej małomiasteczkowej Polski do eleganckiego świata w sepii, gdzie ludzie przebierają się do posiłków podawanych na porcelanie. Dopiero później dowiedziałam się, że już dla autorki była to sentymentalna wycieczka w przeszłość. Większość książek napisała bowiem w czasach powojennego racjonowania żywności i spadku dochodów z nieruchomości, kiedy arystokratyczny raj rentierów i obiboków powoli odchodził do lamusa.

Zatrute pióro

Impulsem do sięgnięcia po kryminały Christie był dla mnie bunt młodzieńczy (w wersji *soft*). Ponieważ moja mama jest romanistką, z przekory zaczęłam interesować się wszystkim, co angielskie. I w książkach Christie miałam używanie – choć akcja czasem rozgrywa się na Nilu, w Mezopotamii czy w Bagdadzie, bohaterami zawsze są brytyjscy dżentelmeni i urocze *ladies*.

W Londynie i wiejskich posiadłościach spotykamy też urzędników, służących i przedstawicieli niższych warstw społecznych, zwykle jednak występują w rolach drugoplanowych. Jedynym „obcym" jest lekko karykaturalny, dandysowaty Belg, którego strój, maniery i przyzwyczajenia (od herbaty woli czekoladę!) podkreślają tylko wszechobecną *Englishness*.

Znacznie upraszcza to sprawę, bo wspólny system wartości, który skrótowo można by nazwać kodeksem angielskiego dżentelmena, sprawia, że bardzo łatwo grubą kreską oddzielić dobro od zła. Co ciekawe, morderstwo nie zawsze jest złe: Poirot chroni pasażerów Orient Expressu przed jugosłowiańską policją, bo ich ofiara, Mister Ratchett, był wyjątkową kanalią. W dodatku Amerykaninem. Proste jest też dzielenie ludzi na dobrych i złych – dobrzy są powściągliwi, skłonni do poświęceń, wierni królowi i ojczyźnie, źli są chciwi, leniwi i prowadzą ekstrawagancki tryb życia, rozpuszczając rodzinne fortuny.

Dopiero stosunkowo niedawno zdałam sobie sprawę, że świat bohaterów Christie jest tak atrakcyjny, bo ludzie w większości nie muszą pracować. Czas wypełniają im przyjęcia, polowania i partyjki golfa, ogrodnictwo i ploteczki, podróże do kolonii i herbatki w letnich rezydencjach. Chwilami trochę się nudzą. Aż dziw, że nie mordują częściej – w końcu, jak stwierdził Poirot: „Jeść można tylko trzy razy dziennie. A co zrobić z czasem pomiędzy posiłkami?".

No właśnie – Agatha drwiła głównie ze swojego małego belgijskiego wąsacza. Świat angielskich klas wyższych był jej naturalnym habitatem. Nie kwestionuje przywilejów, którymi sama się cieszy, nie kpi z pobratymców. A jeśli już, to delikatnie, i to głównie z nuworyszy (patrz „Tajemnica siedmiu zegarów"). Zdaniem jej biografki, Lucy Wosley, Agatha była globtroterką i kobietą światową, która umiała krytycznie patrzeć na Anglików. Możliwe, ale i tak uważam, że pomysł wydania jej kryminałów ze zjadliwymi okładkami Martina Parra mógł powstać tylko we Francji (wydawnictwo Le Masque, 2013).

Kot wśród gołębi

Dziś wszystkiego jest za dużo. Paraliż decyzyjny, nadmiar bodźców i tempo rzeczywistości czasem tak mnie przytłaczają, że świat Christie jest jak haust świeżego powietrza. Paradoksalnie, bo wydarzenia często rozgrywają się w zamkniętych, dusznawych jak mniemam salonach.

U Christie akcja płynie powoli (jesteśmy w końcu wśród ludzi, którzy nie muszą się spieszyć), grono bohaterów jest ograniczone i znane od początku, a mor-



JOHN HEDGECOE / POPPERFOTO / GETTY IMAGES

Agatha Christie w swoim mieszkaniu w Londynie, 15 października 1969 r.

derca zawsze jest jednym z nich. W przeciwieństwie do kryminałów *noir*, gdzie zło może czyhać wszędzie i co rusz pojawiają się nowi podejrzani, kolejne wątki i dowody, gdzie pole działania detektywa jest prawie nieograniczone (czasem uruchamia Interpol), a zamiast dobra i zła panuje wszechogarniająca szarość, u Królowej Kryminału wszystkie karty od razu trafiają na stół.

A dramat nie wychodzi poza granice posiadłości, pociągu czy statku. To kryminał całkowicie endogenny – wszystko zostaje w rodzinie. Co może być straszne, bo krzywdzą najbliżsi, ale znacznie ułatwia rozwikłanie zagadki, wycięcie chorego organu i dalsze zdrowe życie. Nie trzeba się martwić, że niezidentyfikowane zło nadal gdzieś czeka, a morderca znów uderzy.

Szare komórki wąsatego Belga i przenikliwość panny Marple zawsze stają na wysokości zadania. Zbrodniarz zostaje pojmany, motyw i metody starannie wyjaśnione. Wszystko, jak lakierki Poirota, wypolerowane i domknięte na ostatni guzik. Na końcu, niczym w robótce panny Marple, nie ma już żadnych luźnych nitek. Sprawiedliwość zostaje wymierzona, bo w świecie Christie „Zło, które czai się wszędzie", zostaje wyplenione i zneutralizowane. Zbrodniarz trafia do więzienia albo dostaje szansę na eleganckie samobójstwo. Wszystko wraca do normy.

Kiedy zewsząd spadają na człowieka smutne wieści i tragiczne doniesienia, kto nie chciałby schronić się w magicznej krainie, gdzie prawda i dobro nieodmiennie triumfują, a na wielki stres wystarcza kieliszek sherry? Niektórzy zarzucają autorom tego typu książek, że traktują zbrodnię jak salonową zabawę, że owszem, można pisać kryminały, ale tylko takie, które pokazują trudny kontekst społeczno-polityczny, w którym doszło do mordu. A detektyw, który na co dzień styka się z biedą i bestialstwem, musi ponosić tego skutki. Innymi słowy, smutny alkoholik Harry Hole tak, ale wiecznie zadowolony z siebie smakosz i elegant Herkules Poirot – nie.

Intelektualnie w pełni przyjmuję te argumenty. Cóż jednak poradzę, że bardziej pociąga mnie literacki eskapizm? Że zamiast o zbrodniach neonazistów czy mężach, którzy torturują żony, wolę opowieści o starych dziedziczkach dyskretnie podtruwanych strychniną w miłych okolicznościach przyrody?

Noc w bibliotece

Powodów mojej miłości jest jeszcze mnóstwo – uwielbiam pożerającą jabłka ekscentryczną Ariadnę Oliver, lubię wyszukiwać fragmenty, w których autorka kpi z obcokrajowców, jako fanka podróży koleją mam z lektury Christie mnóstwo frajdy. Bezkrytycznie pochłaniam wszystkie, nawet kiepskie adaptacje (najbardziej cenię filmy BBC z psotną Geraldine McEwan w roli panny Marple i sztuki radiowe, w których głosu Poirotowi udziela John Moffatt) i kolejne kontynuacje książkowe pióra Sophie Hannah i innych współczesnych autorek kryminałów (np. „Panna Marple. Dwanaście nowych historii"). Studnia Christie nie wyschnie chyba nigdy.

Podziwiam też samą Agathę: owszem, nie urodziła się w biedzie, ale trzeba przyznać, że jako kobieta zupełnie bez wykształcenia (odebrała edukację domową, co w praktyce polegało na tym, że od czwartego roku życia pochłaniała książki z domowej biblioteki) poradziła sobie całkiem nieźle. Przez większość życia zarabiała więcej niż jej mężowie, a dziś Agatha Christie Estate to grube miliony funtów. Fortunę spadkobierców Królowej zasilają między innymi dochody ze sprzedaży książek i ich tłumaczeń, tantiemy z adaptacji oraz zyski z biletów na „Pułapkę na myszy", czyli sztuki, którą po prawie pół wieku nie schodzi z afisza na londyńskim West Endzie (zdjął ją – tymczasowo – dopiero covid).

Agatha imponuje charakterem i temperamentem. Z autobiografii, licznych listów i tekstów biograficznych wiemy, że kochała tłustą dewońską śmietankę, szybkie samochody i dalekie podróże, objechała świat dookoła (zostawiwszy w domu niespełna roczną córeczkę) i nie dała się zdusić gorsetem konwenansów. Z listów wyłania się obraz kobiety o dużym apetycie i zdrowym libido (również po menopauzie). Mimo wieku i tuszy – jeść uwielbiała bardziej niż Poirot – próbowała windsurfingu na Hawajach i jeździła na pustynne wykopaliska.

Choć przy lekturze jej książek wyobrażamy sobie raczej stateczną matronę w starych koronkach, Christie była energiczna, zaradna i pewna swego. Nie każdy ma odwagę poślubić mężczyznę młodszego o czternaście lat (choć deklaracja, że „Wyszła za archeologa, bo im jest starsza, tym bardziej on ją docenia", podobno przypisywana jest jej błędnie) i ruszyć z nim do Mezopotamii.

Książki Agathy też mają to coś, że mimo upływu czasu cieszą się niesłabnącą popularnością. Pewnie w przyszłych wydaniach trzeba będzie robić przypis, czym był telegram i butonierka, ale i tak wróżę im długą przyszłość.

© DOROTA MALINA



NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE

Spektakl „Prawdziwa historia", reż. Michał Zadara. Teatr Polski we Wrocławiu

Teatr z lektury

DARIUSZ KOSIŃSKI

WROCŁAW | Michał Zadara nie obiecuje wielkich idei, artystycznych wstrząsów, społecznego zaangażowania. W zamian oferuje jednak widzom politykę transparentności, nie tylko w dziedzinie finansów.

Dawno, dawno temu był we Wrocławiu jeden z najlepszych teatrów dramatycznych w kraju. Imię jego było znaczące, bo nazywał się Polski i rzeczywiście, jeśli chciało się wiedzieć, czym teatr polski właśnie się staje, to wystarczało być na bieżąco z jego premierami.

Wyniósł go na tę legendarną wyżynę Jacek Weksler (dyrektor w latach 1990–2000), który swoją zręczną polityką ściągał do gmachu przy ulicy Gabrieli Zapolskiej wielkie reżyserskie gwiazdy z Jerzym Jarockim, Jerzym Grzegorzewskim i Krystianem Lupą na czele (dzieje tej dyrekcji opowiedziała niedawno w znakomitej książce „Tamta dekada" Jolanta Kowalska).

Potem było trochę zamieszania, a nawet drobny kryzys, aż nadeszła dekada kolejna – dyrekcji Krzysztofa Mieszkowskiego (jej dziejów jeszcze nikt nie opowiedział, a szkoda). Strategia Wekslera była wtedy w zasadzie kontynuowana, tylko zamiast dawnych mistrzów mających już wyrobioną markę (wyjątek oczywiście czyniono dla Krystiana Lupy), ściągano do Teatru Polskiego gwiazdy wschodzące: Jana Klatę, Monikę Strzępkę, Michała Borczucha, Krzysztofa Garbaczewskiego, Michała Zadarę, Ewelinę Marciniak i innych. Ważne premiery, które wtedy we Wrocławiu powstały, można by wymieniać długo, ale mimo wszystkich swoich sukcesów Mieszkowski nie budził sympatii lokalnych władz.

Był mało oszczędny i zbyt międzynarodowy, by władze województwa, któremu Polski podlegał, nie miały do niego pretensji i nie czekały na okazję, by wymienić go na kogoś bardziej swojskiego i spolegliwego. Ta nadarzyła się, gdy Mieszkowski postanowił pójść w politykę i sprowokował konflikt z ministrem Glińskim przy okazji premiery „Śmierci i dziewczyny" Elfriede Jelinek w reż. Eweliny Marciniak. Skończyło się odejściem Mieszkowskiego i wyborem osławionego Cezarego Morawskiego.

Były protesty, awantury i afery. Wybrany na siłę Morawski poniósł sromotną klęskę, a jego wyczyny sprawiły, że nawet jego promotorzy musieli przyznać się do błędu i doprowadzić do usunięcia go ze stanowiska.

Bez skrótów

Nie mieli jednak zupełnie pomysłu, co dalej. Z tego braku oddali kierownictwo Polskiego Janowi Szurmiejowi. Po miesiącach wielkiego hałasu, nerwowych reakcji i chodzenia w zaparte zapadła cisza. Teatr działał, ale jakby go nie było. Więcej uwagi przyciągał Teatr Polski w Podziemiu, założony przez członków dawnego zespołu i prowadzony przy wsparciu władz Wrocławia. Ten nadziemny stał się cieniem, upiorem własnej przeszłości.

W czerwcu 2024 r. Jan Szurmiej zmarł. Teatr Polski został bez dyrektora, z rozbitym i artystycznie wygaszonym zespołem, dużą sceną oddaną do remontu i kameralną na remont czekającą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby w tej sytuacji wziąć na barki trudu prowadzenia sceny, nad którą na dodatek wciąż wisi legenda „tamtych dekad", generująca szczególne oczekiwania publiczności i krytyki.

A jednak Michał Zadara zdecydował się na ten ryzykowny krok. Zarząd województwa czym prędzej, bez ogłaszania konkursu, powołał go w maju zeszłego roku na stanowisko dyrektora naczelnego i artystycznego niegdysiejszej reprezentacyjnej sceny Wrocławia. Trudno nie pochwalić tego wyboru. Zadara to dojrzały artysta z osiągnięciami reżyser-

skimi, znający dobrze Teatr Polski, w którym wystawił m.in. słynne „Dziady" Mickiewicza bez skrótów, kilkunastogodzinne przedstawienie stanowiące równie wielkie wyzwanie artystyczne, co logistyczne.

Widziałem je dwukrotnie i zaliczam do jednych z najważniejszych doświadczeń teatralnych – wspaniały dowód na to, jaką siłę ma żywioł teatralności, gdy mu świadomie popuścić cugli. Zżymano się wprawdzie, że te „Dziady" nie mają wyrazistego znamienia autorskiego, że są montażem atrakcji, że brak im głębi itp.

A mnie i większość publiczności najprościej w świecie strasznie kręciło dwunastogodzinne współuczestnictwo w tym niezwykłym wykonie, w którym poezji i teatrowi Mickiewicza pozwolono płynąć, nie stawiając im żadnych przeszkód nadętymi pomysłami. Nie wiem, co lepiej niż przeprowadzenie tego niezwykle skomplikowanego przedsięwzięcia może przekonywać o kierowniczych zdolnościach Zadary.

Bez żalu

Obejmując dyrekcję Teatru Polskiego, reżyser złożył kilka istotnych deklaracji. Po pierwsze: odciął się grubą kreską od przeszłości i odmówił wchodzenia w dawne spory, oceniania poprzedników itd.

Po drugie, oświadczył, że będzie zarządzał teatrem w sposób podobny do tego, jaki stosuje się w zarządzaniu współczesnymi przedsiębiorstwami, korzystając z ich doświadczeń i metod, oczywiście przystosowanych do specyfiki instytucji kultury.

Po trzecie jako kierunek, który go interesuje, wskazał Teatr Kulturalnego Miasta, który to termin, kiedyś przeze mnie zaproponowany, zdecydowanie oczyścił z wszelkich złośliwości i przyjął jako pozytywny przedmiot kontraktu z publicznością. Nie obiecuje jej wielkich idei, artystycznych wstrząsów ani politycznego zaangażowania, lecz stojący na przyzwoitym poziomie teatr jasno deklarujący, co zamierza robić, prowadzący politykę transparentności nie tylko w dziedzinie finansów i kadr, ale także w obszarze decyzji artystycznych.

Wszystkie te deklaracje Michał Zadara składa z niezmąconą pewnością siebie i optymizmem. Nawet na pytania dotyczące kłopotów z miejscem do grania (Teatr Polski ma wkrótce utracić nawet Scenę na Świebodzkim, bo PKP chcą odzyskać cały budynek dawnego dworca) odpowiada, że to wyzwanie, ale i szansa, bo nic tak nie ożywia relacji między teatrem a jego publicznością jak dawanie przedstawień w nieoczywistych, zmiennych lokalizacjach. Jeśli nawet mamy tu do czynienia z przypadkiem robienia dobrej miny do złej gry, to trzeba przyznać, że Zadara jest w budowaniu tego optymistycznego przesłania skuteczny i przekonujący.

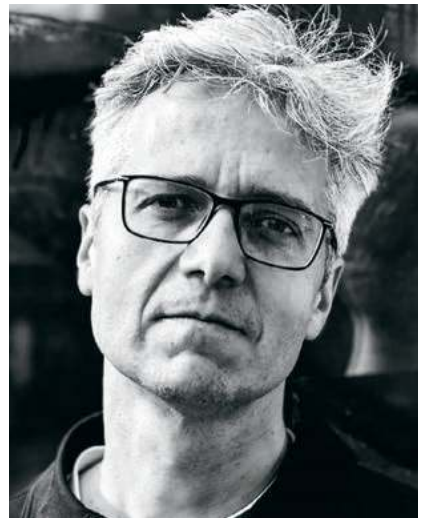

MATERIAŁY PRASOWE TEATRU POLSKIEGO WE WROCŁAWIU

Michał Zadara

Wprawdzie zdarzają się malkontenci kręcący nosami, że nowy dyrektor używa języka korporacji, a nie sztuki, ale te akurat argumenty są anachroniczną kulą w płot. Środowisko ma świadomość, że dotychczasowe sposoby zarządzania pracą teatralną w oparciu o charyzmę i jednostkowy autorytet nie tylko się zużyły, ale zostały zdemaskowane jako potencjalnie i realnie przemocowe, wobec czego istnieje paląca konieczność sprawdzenia innych możliwości. Czemu nie sięgnąć po metody skutecznie rozwijane w zarządzaniu biznesowym i nie sprawdzić, czy nie mogłyby być przystosowane do potrzeb teatru? Samo podjęcie takich eksperymentów (co zresztą Michał Zadara robił już wcześniej) warte jest poparcia, bo nawet jeśli efekty okażą się mało zachęcające, to przynajmniej będzie wiadomo, czego nie robić.

Bez patosu

Deklaracje deklaracjami, ale w końcu nadszedł moment realnego sprawdzianu – pierwsza premiera wyreżyserowana przez nowego dyrektora. Zgodnie z zapowiedziami jest nią inscenizacja dwóch niedługich tekstów Olgi Tokarczuk z tomu „Opowiadania bizarne": „Prawdziwej historii" i „Pasażera" (tytuł przedstawieniu nadaje to pierwsze). Przed premierą Zadara powtarzał, że będzie to dosłownie inscenizacja całości opowiadań bez żadnych skreśleń, i że publiczność, która przyjdzie na Scenę na Świebodzkim, dostanie dokładnie to: wszystkie słowa napisane przez Tokarczuk zrealizowane środkami scenicznymi. W tym sensie nie miała to być adaptacja sceniczna prozy polskiej noblistki, ale jej uscenizowanie.

I rzeczywiście: „Prawdziwa historia" to teatr z lektury, w którym grupa osób aktorskich wypowiada oba krótkie opowiadania, zręcznie rozpisane na głosy i tworzące w ten sposób wcale nieoczywiste partytury. Nie jest to jednak ani spopularyzowane szeroko i zamienione już w manierę „czytanie performatywne" (choć da się dostrzec jego elementy), ani teatr opowiadacza. Pięć osób (Monika Bolly, Marian Czerski, Jakub Giel, Mariusz Kiljan i Edwin Petrykat) dzieli między siebie nie role czy sytuacje, ale brzmienia, rytmy i ciągi, niekiedy przekazując je sobie w pół zdania. W pewnym sensie jest to teatr żywego słowa, pozbawiony jednak podniosłości czy patosu, jaki się z tym pojęciem wiąże.

Niemniej słowo jest tu żywe, bo pulsuje w nim energia aktorska, nad którą wszyscy znakomicie panują, tłumiąc ją tam, gdzie to potrzebne, by tym bardziej pozwolić jej eksplodować tam, gdzie aż się o to prosi (finał pierwszej części). Jest też żywe, bo wcielone, zwłaszcza w znakomicie operującego swą fizycznością Mariana Czerskiego. Między słowem a ciałem płynie w „Prawdziwej historii" ożywczy prąd czystej teatralności, a zanurzenie w nim sprawia wielką i cudownie bezinteresowną frajdę. Dostarcza jej sprawność warsztatowa piątki wykonującej partyturę słowno-cielesną, a także precyzyjna aranżacja muzyczna i energetyczna całości.

To przedstawienie rzeczywiście jest inscenizacją opowiadań: pomaga wybrzmieć wielości ich znaczeń. Ale zarazem i przede wszystkim jest kompozycją teatralną zbudowaną na słowach Tokarczuk i niosącą autonomiczne znaczenia i wartości. ↦



▪ *Mathias Énard,* **OPOWIEDZ IM O BITWACH, O KRÓLACH I SŁONIACH**, *tłum. Filip Łobodziński, ArtRage*

Michał Anioł wyrusza do Konstantynopola w 1506 r. Ma zaprojektować most, który połączy dwa brzegi starożytnego miasta. Kontrakt z papieżem Juliuszem II zawisł na włosku. Neurotyczny i skory do urazy artysta dramatycznie potrzebuje pieniędzy, a sułtan Bajazyd II gotów jest mu zapłacić. Prace nad projektem idą jednak powoli. Za to atmosfera miasta oczarowuje artystę, który godzinami szkicuje sztylety, słonie... i przystojnych mężczyzn. Jego pasją jest ludzkie ciało, jego kształt, geometria. Słabością: brak higieny – przywara wielu ówczesnych Europejczyków. Mathias Énard opowiada nam w tej powieści o początku końca klasycznej kultury Zachodu. Artyści włoscy osiągają w okresie Cinquecenta pełnię doskonałości. Od tej pory wszelkie dalsze wysiłki będą jedynie próbą dorównania dawnym ideałom. Przeciwieństwem jest Konstantynopol – stolica nowego imperium, dominującego nad wschodnim basenem Morza Śródziemnego. Europa Zachodnia właśnie dokonała rekonkwisty, wyrzucając z Andaluzji swoich muzułmanów i Żydów. Wielu z nich znajduje schronienie w stolicy wschodzącego imperium. Zza morza płyną już pogłoski o bogactwach Indii i Nowego Świata. W tej krótkiej książeczce Énard, francuski orientalista, wypełnia poetycko białe plamy w biografii historycznych postaci: weneckich kupców, osmańskiego poety Masihiego z Prisztiny i Michała Anioła. Ich losy splatają się wokół spisku, który ma tłumaczyć lukę w rzeczywistej biografii renesansowego maestra.

© MACIEJ AUGUSTYN

Bez skreśleń

↦ Te wiążą się przede wszystkim z teatrem – jako sztuką widzianą z perspektywy jej miejsca i funkcji w dzisiejszym świecie, ale też konkretnie – z Teatrem Polskim we Wrocławiu u początków nowej dyrekcji. Nie jest przypadkiem, że w pierwszej dyrektorskiej inscenizacji Zadara odwołuje się do ostatniej własnej realizacji na tej samej scenie – czyli do „Dziadów". Tak jak one, „Prawdziwa historia" grana jest „bez skrótów", a wykonawcami są osoby, które brały udział w maratonie mickiewiczowskim.

Więcej: formuła generalna przyjęta dla inscenizacji Tokarczuk wyraźnie nawiązuje do koncertu teatralnego, w jaki zamienił Zadara „Ustęp" z mickiewiczowskiego arcydramatu, w którym wspaniałą popisową partię wykonywała Monika Bolly. To z tamtej części „Dziadów" zdają się pochodzić stojaki na nuty, ustawiane na scenie przed aktorami. Jakby reżyser próbował zbudować pomost ponad latami zamieszania i kryzysu, zawiązywać na nowo zerwane sojusze.

Jednocześnie wyraźnie i jednoznacznie inscenizuje swój początek jako start od zera. Wchodząca publiczność widzi ogołoconą ze wszystkiego, pustą scenę bez żadnych dekoracji czy rekwizytów. Dopiero gdy zacznie się przedstawienie, pracownicy techniczni zaczynają montować proste wyposażenie: przynoszą zrolowane plastikowe maty podłogowe, układają je i łączą taśmą klejącą, stawiają na nich krzesła i pulpity. Na naszych oczach budują tę prostą scenę, powracając jeszcze kilkakrotnie w trakcie przedstawienia, bo dodać lub wynieść kolejne sprzęty.

Nikt tu nie udaje, że nie jesteśmy w teatrze. Jawność informacji dotyczy nawet czasu trwania: na początku głos z offu zapowiada, że przerwa nastąpi za pięćdziesiąt minut i tak dokładnie się dzieje. Paradoksalnie ta transparentność pomaga w wydobyciu tego, co stanowi niespodziankę, co zaskakuje i zarazem wymyka się słownej eksplikacji. A jest niczym innym jak mocno odczuwaną siłą teatralności, specjalną wartością nienależącą do literatury.

Opowiadania Tokarczuk inscenizuje się bowiem nie tylko bez skreśleń, ale też z dodatkiem czegoś specjalnego, czego w nich nie ma: energii brzmień, ucieleśnień, muzyczności, dramaturgii ruchu, a przede wszystkim żywej i otwarcie apoteozowanej aktywności teatralnie obecnych ludzi. W tym kontekście dopiero jak motto brzmi zdanie z „Pasażera", stanowiące coś w rodzaju morału tej opowieści. Myśl, że ten, na kogo patrzysz, istnieje nie dlatego, że na niego patrzysz, ale dlatego, że on ciebie widzi, odwraca sytuację i czyni z nas, widzów, gwarantów istnienia przedstawienia, a jednocześnie składa także na nas odpowiedzialność za jego zaistnienie.

Gdy tylko te słowa wybrzmią, pracownicy techniczni wracają na scenę, zabierają krzesła, odklejają taśmy, zwijają podłogę. Osoby aktorskie patrzą na to jakby z żalem, ale spokojnie. Jutro kolejny wieczór i kolejne przedstawienie. Co dzień powtarza się gra. I tak jest dobrze. I tak niech będzie.

Nie wiem, czy opowiadania Olgi Tokarczuk są naprawdę tak „bizarne", jak by chciały. Ale wiem na pewno, że Michał Zadara zbudował przy nich teatr, który z użyciem analogicznie dziwacznego barbaryzmu nazwać można „strejtforłardowym" – prostym i bezpośrednim. Na ratunek i na początek zupełnie to wystarczy. A czy i co uda się na tym jeszcze zbudować – zobaczymy.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

„PRAWDZIWĄ HISTORIĘ" będzie można zobaczyć w Teatrze Polskim w drugiej połowie stycznia.

POŻEGNANIE

Jakubowi Puchalskiemu

naszemu autorowi i współpracownikowi
wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Mamy

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"
i z Fundacji TP

Stop slop

MARCIN WILKOWSKI

ILUSTRACJE | Złe obrazy AI wpływają na naszą wyobraźnię i rozumienie tego, do czego zdolna jest technologia. Wizerunki androidów nie tylko generują lęk, ale też sugerują, że rozwój sztucznej inteligencji może być zagrożeniem dla ludzkości.

W literaturze dotyczącej tematu sztucznej inteligencji rośnie liczba prac poświęconych tzw. slopom – niskiej jakości maszynowym wytworom, które atakują platformy społecznościowe i zaśmiecają wyniki wyszukiwania. W jednej z najnowszych prac na ten temat („The 7Vs of AI Slop: A Typology of Generative Waste", październik 2025), będącej próbą charakterystyki slopu, czytamy, że to produkcje pozbawione wartości odżywczych (*nutritionally empty*).

Chociaż slopy nie mają wyłącznie postaci wizualnej – możemy mówić o slopowych tekstach czy nawet kodzie źródłowym – to właśnie wizerunki tego typu kształtują imaginarium sztucznej inteligencji, a więc to, w jaki sposób jest ona, jako pewna idea, wyobrażana i ilustrowana.

Metafory

Czy nie jest to niepokojące sprzężenie, że źródłem dominujących wyobrażeń sztucznej inteligencji jest sama sztuczna inteligencja? Jak gdyby nie istniał żaden inny, gotowy do użycia język wizualny, bazujący na tysiącleciach ludzkiej kultury, nie tylko pracach mistrzów, ale też estetyce tanich pocztówek albo dziecięcych rysunków.

W efekcie wyszukiwanie w Google informacji o bieżących przygodach ludzkości z AI jest wystawianiem się na atak koślawych, generycznych i przemysłowo wzmacnianych metafor. A przecież metafory (co wiemy przynajmniej od czasów publikacji prac Marka Johnsona i George'a Lakoffa) formatują nasze postrzeganie świata, idei i wartości. Błędne imaginarium może przeszkadzać nie tylko w rozważaniu rzeczy największych, ale też myśleniu o tych przyziemnych.

Dominujące wizerunki sztucznej inteligencji wciąż nas zwodzą, przeinaczając zasady jej działania i możliwości, ale też nadając jej określone wartości. W efekcie wzmacniają, a może niekiedy nawet inspirują kolejne bezsensowne pytania, takie jak o to, czy sztuczna inteligencja ma świadomość, oszukuje, buntuje się, jest już podobna do człowieka, albo czy zniszczy ludzkość.

Bóg jako mściwy Ojciec albo jako bezbronne Niemowlę, Polska jako szarżująca husaria albo biało-czerwona kulka Poland Ball – obrazy kształtują sposób myślenia. Nauczyliśmy się je badać i interpretować, a nawet budować na nich pewną wartość i opowieść. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy tego robić wobec imaginarium sztucznej inteligencji.

Błędy

Próbą takiego podejścia jest brytyjska inicjatywa „Better Images of AI", wspierana przez dział badań i rozwoju BBC oraz Leverhulme Centre for the Future of Intelligence Uniwersytetu Cambridge. W opracowanym tam przewodniku „Better Images of AI. A Guide for Users and Creators" (2023) Kanta Dihal i Tania Duarte przedstawiają główne składniki dominującego imaginarium sztucznej inteligencji oraz wskazują na jego negatywny wpływ społeczny.

Oto na co dzień, nawet w materiałach naukowych czy edukacyjnych, stykamy się z obrazami AI z nadmiarem koloru niebieskiego, przedstawiającymi roboty, które wyglądają jak ludzie, albo pokazującymi świecące mózgi, czasem też nawiązującymi do znanych tekstów kultury takich jak Terminator czy „Stworzenie Adama" Michała Anioła, gdzie rękę Boga zamienia się w rękę robota.

W efekcie, jak czytamy w opracowaniu, „osoby niebędące ekspertami mają tendencję do błędnego rozumienia, czym jest sztuczna inteligencja, utożsamiając ją z robotyką lub odwołując się do przedstawień androidów w *science fiction*, zamiast traktować ją po prostu jako zestaw fizycznych i cyfrowych technologii, które przetwarzają, syntetyzują i wyciągają wnioski z dużych ilości informacji".

To groźna sytuacja, piszą autorki, ponieważ „technologie AI stały się powszechnym i wysoce wpływowym, a jednocześnie w dużej mierze niewidocznym elementem naszego życia. Osoby, które ↦



JANET TURRA / BETTERIMAGESOFAI.ORG / CC BY 4.0

↦ nie rozumieją, czym jest AI, nie są w stanie zabiegać o to, w jaki sposób technologia powinna lub nie powinna wpływać na społeczeństwo".

Złe obrazy mają swoje złe efekty: fałszywe imaginarium AI może wpływać na przykład na decyzje polityczne dotyczące regulacji AI czy wykorzystywania tych narzędzi w instytucjach państwa.

Skutki

Cała druga część wydanego rok temu w Szwecji tomu „Handbook of Critical Studies of Artificial Intelligence" poświęcona jest metaforom i imaginarium sztucznej inteligencji oraz temu, jak wpływają one na jej zrozumienie i postawy wobec niej, także polityczne. Metafory wizualne i tekstowe przenikają się tutaj, tworząc sugestywne wyobrażenia technologii.

Dość powiedzieć, że już pojęcia takie jak „sztuczna inteligencja" czy „uczenie maszynowe" mają w sobie pewną metaforyczność, która niekiedy jest przydatna (np. w inżynierii do opisywania określonych procesów), ale bywa nadużywana – np. w marketingu, gdzie „sztuczną inteligencję" przedstawia się jako siłę sprawczą, rewolucjonizującą obsługę klienta (hasła o konsultantach AI, pomagających klientom układać program diety pudełkowej). I dalej, jeśli AI przedstawiana jest jako tsunami czy porównywana z elektrycznością albo ropą naftową, buduje się przekonanie o nieuchronności jej używania lub – co pewnie ważniejsze dla autorów takich opisów – inwestowania w nią.

Gdzieś w tym wszystkim ginie też pośrednictwo człowieka – kiedy mówimy, że „AI lepiej niż człowiek diagnozuje cukrzycę", to ukrywamy fakt, że to narzędzie zostało wypracowane dzięki ludzkiemu intelektowi, badaniom przeprowadzanym przez ludzi i że, co oczywiste, jest przez ludzi wykorzystywane w określonym celu i w określonych warunkach. To trochę tak, jakby ktoś mówił, że to „Word napisał mi ten tekst", bo przecież nie pisałem go ręcznie na kartce.

Najbardziej negatywnym efektem takiego przedstawiania AI jest jednak solucjonizm, czyli rozumienie problemów społecznych jako technicznych, możliwych do rozwiązania za pomocą technologii. Jeszcze nie raz usłyszymy pewnie, że problemy nierówności, dyskryminacji, przestępczości czy alokacji zasobów w społeczeństwie można rozwiązać skutecznie, uczciwie i sprawiedliwie, korzystając z obiektywnego osądu wszystkowiedzącej AI.



PAŃSTWOWA BIBLIOTEKA SZÉCHÉNYIEGO, DOMENA PUBLICZNA

Chłopska chata. Źródło: „Ilustrowana kronika I wojny światowej" („A világháború képes krónikája", z. 73, 27.02.1916, s. 226).

Androidy

Poza kontekstem publicznym, złe obrazy AI wpływać mogą na naszą wyobraźnię i rozumienie tego, do czego zdolna jest technologia. Wizerunki androidów nie tylko mogą wywoływać niepokój albo lęk, ale też sugerować, że rozwój sztucznej inteligencji może być zagrożeniem dla ludzkości.

Cyfrowe rozświetlone mózgi na ilustracjach mogą sugerować, że potencjał AI jest już tak duży, że dorównuje ludzkiej inteligencji, albo że sposób jej działania jest zbieżny ze sposobem działania ludzkiego mózgu. A skoro tak, to możliwości AI mogą wydawać się nieograniczone. AI-robot być może myśli, ma świadomość, czuje albo po prostu jest złośliwa. I dalej, warto zapytać, czy w takim imaginarium jest miejsce na wizerunki kobiet, a jeśli tak, to jaka jest tam ich rola? Takie wizerunki mają też charakter generyczny, globalistyczny, jeśli już odwołują się do lokalnej specyfiki kulturowej, robią to wykorzystując stereotypy i uproszczenia oraz mieszając konteksty.

Inicjatywa „Better Images of AI" nie jest na szczęście wyłącznie krytyką dominującego imaginarium, ale też próbą wspierania powstawania alternatywnych wizerunków. W witrynie projektu znajdziemy gotową do użycia bibliotekę

POŻEGNANIE

Fundacja im. Kościelskich w Genewie
żegna w głębokim smutku swego przyjaciela,
wieloletniego sekretarza oraz wiceprezesa Fundacji

Prof. Zygmunta Marzysa

zmarłego we Fryburgu szwajcarskim 21 grudnia 2025

Rada i Jury Fundacji



MARCIN WILKOWSKI

Edycja z wykorzystaniem Google Gemini (model Nano Banana), koloryzacja na platformie Canva.

ilustracji i kolaży, dostępnych na wolnej licencji (a więc do swobodnego użycia, także komercyjnego).

Szukając lepszych wizerunków AI, możemy też po prostu brać pod uwagę zalecenia, takie jak unikanie *digital blue*, ścian kodu źródłowego, wariacji ludzkiego mózgu, odniesień do *science fiction*, białych robotów, białych mężczyzn w garniturach, antropomorfizmu (androidów) czy wariacji na temat „Stworzenia Adama".

Jakie wizerunki lepiej wybierać? Uczciwe, pokazujące dokładnie, co AI potrafi. Nieprzedstawiające AI jako istoty ludzkiej – raczej pokazujące ludzi pracujących z technologią. Specyficzne – ilustrujące konkretne rozwiązania czy zagadnienia w ramach szerokiego zjawiska, jakim jest sztuczna inteligencja. Co więcej, jeśli ilustrowany przez nas tekst nie podejmuje się definicji AI albo jej bezpośrednio nie dotyczy, nie musimy jej wizualizować.

Remiksy

Pisałem niedawno na bloga notkę o badaniu stronniczości kulturowej dużych modeli językowych – tego, jak bardzo podobnie konstruują one opowieści charakterystyczne dla konkretnych narodowości (wątek cyfrowego prababkizmu pojawił się w moim wcześniejszym tekście w „TP"). Nie jestem grafikiem i postanowiłem ilustrację do tego tekstu wygenerować w jednym z dostępnych za darmo modeli. Nie zrobiłem tego jednak wyłącznie promptem, ale udostępniłem obrazek referencyjny – fotografię chłopskiej chaty.

Pracując nad ilustracją, inspirowałem się projektem Archival Images of AI, który pojawił się w sieci w zeszłym roku. Jego inicjatorką jest Ploipailin Flynn, badaczka i wykładowczyni zainteresowana demokratyzacją tworzenia i wykorzystywania sztucznej inteligencji. Jako współzałożycielka organizacji AIxDESIGN stara się rozwijać humanistyczną i kulturową krytykę AI i kształtować krytyczne kompetencje cyfrowe. Archival Images of AI to próba zwrócenia uwagi na potencjał zdigitalizowanych zbiorów bibliotek, muzeów i archiwów jako zasobów wizualnych, na bazie których można tworzyć alternatywne, bardziej społecznie odpowiedzialne imaginarium AI.

„Cyfrowe kolekcje dziedzictwa proponują język wizualny, który pomaga nam na nowo wyobrazić sobie przedstawienia sztucznej inteligencji, wykraczające poza dystopijne lub wyalienowane obrazy, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Korzystając ze znanych historycznych i kulturowych wizualności, możemy przedstawiać AI jako bardziej przystępną i skoncentrowaną na człowieku, a także opowiadać bardziej świadome historie o jej społecznym znaczeniu" – czytamy w opracowaniu, przygotowanym w ramach inicjatywy.

Zbiory instytucji dziedzictwa oddają lokalny kontekst, reprezentują lokalną estetykę i kulturę, która jest nam bliższa i bardziej dla nas zrozumiała niż generyczne przedstawienia, patologicznie uniwersalne i nieznośnie korporacyjne. Za ich pomocą możemy kształtować nasze wyobrażenia o AI, ilustrować jej potencjał i ograniczenia, albo po prostu wyśmiewać *hype*, napędzający w ostatnich latach szaleństwo inwestycyjne.

Rozmaite, także darmowe narzędzia do przetwarzania obrazów, edytowania ich, generowania w nich błędów czy remiksów z ich udziałem, pozwalają twórczo wykorzystać zbiory dziedzictwa, dostępne zazwyczaj w domenie publicznej, a więc bez ograniczeń prawnoautorskich. Kolaż, przenikanie, niespójność, nadmiar czy błąd – to cechy wizualne lepiej odpowiadające charakterowi sztucznej inteligencji jako technologii niż korporacyjne prezentacje albo kiczowate scenki *science fiction*.

Obiekty

Jeden z modeli przetworzył zgodnie z moim poleceniem wiejską fotografię tak, że zmienił jej styl na bardziej rysunkowy, oraz – co miało być najważniejszą zmianą – umieścił postaci ludzkie w losowych miejscach ilustracji. W efekcie z fotografii przedstawiającej rodzinę chłopską siedzącą pod chatą krytą strzechą powstała ilustracja, którą zapełniają zduplikowane postaci ludzkie, umieszczone w losowych miejscach sceny.

Dla mnie miała to być ilustracja niezdolności modeli AI do zrozumienia kontekstu kulturowego, ich halucynowania i bardzo powierzchownego traktowania obrazów – jako źródła treści (obiektów), a nie źródła sensu. „Odwołując się do cyfrowych kolekcji dziedzictwa i remiksując je, możemy zbudować pomost między przeszłością a współczesnym, szybko zmieniającym się światem i stworzyć nowe możliwości przedstawiania ludzkich doświadczeń i wizji przyszłości" – piszą autorzy zeszytu ćwiczeń opublikowanego w ramach Archival Images of AI.

Każdy może przeczytać tę kolorową broszurę i zobaczyć, w jaki sposób wizerunki z przeszłości mogą stać się podstawą wypowiedzi o sztucznej inteligencji. Wypowiedzi, którą możemy zbudować na własnych warunkach i w zrozumiały dla nas sposób.

© MARCIN WILKOWSKI

Czerwień i róż



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Nowy film Jarmuscha opowiada o trudnych odwiedzinach dorosłych dzieci w rodzinnych domach. A także o tym, jak niewiele synowie i córki wiedzą o swoich matkach i ojcach.

Kiedy w czołówce nowego tytułu Jima Jarmuscha pojawia się nazwisko kreatora mody Yves'a Saint Laurenta, który zostawił po sobie imperium produkujące dzisiaj także filmy, uświadamiamy sobie, jak daleką drogę przeszedł reżyser „Inaczej niż w raju". Widać to również w stylówkach jego bohaterów, zmieniających się na przestrzeni ostatnich czterdziestu pięciu lat, tyle bowiem minęło od wspomnianego wyżej debiutu.

Pierwsze, bardzo jeszcze offowe tytuły naznaczył mocno znoszony szyk Toma Waitsa, „brudny" nowojorski styl *vintage* charakterystyczny dla Johna Luriego albo rockandrollowe kreacje japońskich fanów Elvisa z antologii „Mystery Train". Nowe milenium, zainicjowane u Jarmuscha nowelowym filmem „Kawa i papierosy", przyniosło wysyp znanych nazwisk (wcześniej kręcił raczej w gronie przyjaciół), ale i coraz bardziej ekscentryczne flirty z filmowymi gatunkami, często podkręcane wyrafinowaną garderobą. Na przykład tą noszoną przez Tildę Swinton w „Tylko kochankowie przeżyją" i „Limits of Control".

Najnowszy film, „Father Mother Sister Brother", też trudno byłoby zignorować pod tym względem, chociaż znamienne jest to, że gwiazdy amerykańskiego czy europejskiego kina, wcielające się tu na ogół w tak zwanych zwykłych ludzi, noszą mniej lub bardziej dyskretne stroje zaprojektowane przez wielki dom mody.

W tej udawanej zwyczajności, a jednocześnie w wyrazistej tonacji kolorystycznej, jaką jest czerwień i róż, kryje się klucz do całego filmu Jarmuscha. Który z jednej strony stanowi doskonały przykład kina butikowego (czyli snobistycznego produktu z gwiazdorską obsadą), z drugiej zaś te trzy różne nowelki o współczesnych rodzinach w kryzysie dotykają czegoś żywego i dobrze znanego, niezależnie od tego, jak zdefiniujemy zwykłość czy niezwykłość.

To już kolejna filmowa składanka u twórcy „Nocy na Ziemi" (1991) i dość szybko zorientować się można, że historie, osadzone kolejno na amerykańskiej prowincji, w Dublinie i Paryżu, mają się ułożyć w całość, jaką jest refleksja na temat podstawowej komórki społecznej. Głównie w wymiarze emocjonalno-deficytowym. Wszystkie trzy części opowiadają bowiem o trudnych odwiedzinach dorosłych dzieci w rodzinnych domach – temat jakże *à propos* niedawno minionych Świąt.

I wszystkie trzy są o tym, jak niewiele tytułowi synowie i córki wiedzą o swoich matkach czy ojcach, zwykle też *vice versa*. W pierwszej nowelce rodzeństwo, zagrane przez Adama Drivera i wyjątkowo poważną komiczkę Mayim Bialik, odwiedza po latach żyjącego na odludziu ojca, dziwaka i abnegata (znowu Tom Waits) i nawet zimowy pejzaż za oknem wnosi więcej treści aniżeli kłopotliwa cisza czy zdawkowa konwersacja. Miało być o rodzinnych powinnościach i sprawach socjalnych, ale Jarmusch i jego aktorzy z kamienną twarzą bawią się tragikomizmem tej niezgrabnej scenki, jej licznymi niedopowiedzeniami i zaskakującą puentą.

Mniej powściągliwie wypada opowieść druga, gdzie siostry, sztywniara zagrana przez Cate Blanchett i jej przeciwieństwo w wykonaniu Vicky Krieps, składają coroczną wizytę matce pisarce (Charlotte Rampling). Niczym u Mike'a Leigh, wspólna herbatka w porcelanie zamienia się rychło w męczącą dla wszystkich grę pozorów.

Taka satyra to nic nowego, dlatego mówiąc o „Father Mother Sister Brother" trudno opędzić się od zgranych cytatów: o rodzinach jako źródle cierpień, wychodzących dobrze tylko na zdjęciach, niepodobnych do siebie w swoim nieszczęściu... I wtedy wjeżdża Jarmusch z trzecią historią, która zmienia wszystko – mimo że koresponduje z pozostałymi za pomocą kolorystycznej dominanty, motywu odwiedzin, podrobionego Rolexa czy bezalkoholowego toastu.

Oto młody mężczyzna i jego bliźniacza siostra (w tych rolach para modeli Indya Moore i Luka Sabbat) spotykają się w paryskim mieszkaniu opustoszałym po tragicznej śmierci ich rodziców. Wreszcie słychać z ekranu szczerą, niewymuszoną rozmowę, po raz pierwszy wyczuwa się jakąś bliskość i luz, a rodzinne więzi przestają być więzami. Właśnie ten dom, już nieistniejący, spakowany do kartonów, okaże się żywszy od zagraconej złymi wspomnieniami rudery i toksycznego dekoru z poprzednich nowelek. A w go-



MATERIAŁY PRASOWE

FATHER MOTHER SISTER BROTHER
reż. Jim Jarmusch. Prod. USA/ /Irlandia/ /Francja/Włochy/ /Japonia 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 16 stycznia.

Jim Jarmusch to najbardziej rozpoznawalna twarz amerykańskiego kina niezależnego. Zaczynał w latach 80. od tanich, czarno-białych i czarnych w klimacie komedii, jak „Nieustające wakacje" czy „Poza prawem". Wkrótce stał się artystyczną marką, a w jego filmach (patrz: „Broken Flowers", „Limits of Control", „Truposze nie umierają") występują największe gwiazdy.

Na zdjęciu: Vicky Krieps, Cate Blanchett i Charlotte Rampling w filmie „Father Mother Sister Brother"

spodynię wciela się sama Françoise Lebrun, legenda francuskiego kina, jeszcze bardziej ocieplająca finał.

Czyżby Jarmusch stał się sentymentalny i wszedł niniejszym, wzorem Almodóvara czy Wendersa, w swój okres schyłkowy, w którym zaspokaja się własną próżność? Tego rodzaju głosy pojawiły się po ostatnim festiwalu w Wenecji, skąd „Father..." wyjechał ze Złotym Lwem. Zdaniem wielu, niezasłużonym i wyraźnie asekuranckim, jako że głównym faworytem długo pozostawał „Głos Hind Rajab", rozdzierający dokument Kaouther Ben Hani o uwięzionej w samochodzie palestyńskiej pięciolatce, uhonorowany ostatecznie drugą nagrodą.

Oliwy do ognia dolał fakt, iż dystrybutorem amerykańskiego filmu jest Mubi, powiązane finansowo z Sequoia Capital, firmą inwestującą w izraelskie start-upy, również te współpracujące z przemysłem zbrojeniowym. Werdykt jury na czele z Alexandrem Payne'em okazał się więc (chcąc nie chcąc?) polityczny, co w przypadku tak ostentacyjnej apolityczności filmu Jarmuscha wydaje się znakiem naszych czasów.

Prostota, z jaką opowiada twórca „Broken Flowers", też wielu zdaje się podejrzana. Jakby mistrz kina autorskiego, ongiś wręcz alternatywnego, pozwolił sobie na ledwie ćwiczenie warsztatowe czy zafundował nam bombonierkę pełną smaczków i zarazem pustych kalorii.

Jednak w tych uproszczonych konstelacjach rodzinnych i gwiazdorskich można odnaleźć coś więcej. „Father Mother Sister Brother" jest, mimo kokieteryjnych ozdobników i wycinkowej narracji, kinem zapraszającym do wychylenia się poza kadr, poza sytuacyjną doraźność i psychologiczne oczywistości. Za każdym razem rodzinne spotkanie uruchamia wyobraźnię, każąc dobudować sobie w głowie, co było wcześniej. Co poszło kiedyś nie tak, skoro najbliżsi sobie ludzie tak bardzo się ze sobą męczą i tak wiele ukrywają.

No i dobry film nowelowy to niekoniecznie ten, w którym każda z części ma potencjał na pełnometrażową i pełnokrwistą fabułę. To również taki, który posiada swą wewnętrzną logikę, jeśli nawet prowadzi ona do mało odkrywczych wniosków, a „wysokie krawiectwo", niczym ów fałszywy Rolex, maskuje tu chwilami fabularną konfekcję. ©

Lektor: *Archipelag*



▪ *Ursula K. Le Guin,*
RZEŹBIĘ W SŁOWACH. PISMA O ŻYCIU I KSIĄŻKACH,
przeł. Tomasz Wilusz, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, ss. 432.

Półka z nowymi wydaniami przekładów Ursuli K. Le Guin wygląda imponująco: jednolita szata graficzna, twarde oprawy. Dwa niemal tysiącstronicowe tomy zawierają dwa główne jej cykle powieściowe: „Ziemiomorze" oraz cykl Ekumeny, czyli „Sześć światów Hain". A dalej: „Cała Orsinia", zbiory „Wracać wciąż do domu", „Rybak znad Morza Wewnętrznego" i „Jesteśmy snem", „Lawinia" – ostatnia powieść pisarki zainspirowana „Eneidą". I jeszcze „Księga Drogi i Dobra" – dzieło Lao Tzu „napisane na nowo" przez Le Guin, a spolszczone przez Justynę Bargielską i Jerzego Jarniewicza – oraz „Nie ma czasu. Myśli o tym, co ważne". W zapowiedziach „Język nocy. Eseje o pisaniu, science fiction i fantasy". Ufff...

Postać i dzieło Ursuli Kroeber Le Guin (1929-2018) przedstawiali obszernie w „Tygodniku" Piotr Kofta i Wit Szostak, do ich tekstów więc odsyłam. Nowa książka pokazuje autorkę „Ziemiomorza" przede wszystkim jako czytelniczkę i recenzentkę. Obdarzoną poczuciem humoru, zarazem wybredną i wszystkożerną, zgodnie z własną hipotezą, wedle której „wszystkie powieści są literaturą piękną", i „jest dużo złych książek, nie ma złych gatunków literackich". Dlatego warto pisać zarówno o „Doktorze Żywago" Borisa Pasternaka („piękne, szlachetne świadectwo koszmarnego stulecia"), o portugalskim nobliście Josém Saramago i Salmanie Rushdiem, jak i o książkach fantasy i sf, czy też o weneckich kryminałach Donny Leon.

W przypadku Saramago Le Guin przyznaje, że jego proza pozbawiona niemal akapitów, „jeden wielki gąszcz od góry do dołu", z dziwaczną, nadzwyczaj oszczędną interpunkcją, najpierw ją odstręczyła. „Uważam interpunkcję – pisze – za jeden z niewielu ludzkich wynalazków bez złych skutków ubocznych". Barierę jednak udało się pokonać, pewnie dlatego, że Le Guin należy do krytyków z zasady życzliwych autorowi.

Jest tu i *polonicum* – zamówiony przez Heine Verlag wstęp do kolejnej niemieckiej edycji „Solaris" Stanisława Lema, którą autorka nazywa książką genialną. Przypomnę więc, że frapującą historię znajomości, a właściwie przyjaźni Lema i Le Guin, korespondencyjnej, bo nigdy się nie spotkali, można poznać z edycji ich listów („I mów, że moja chwała z przyjaciół się bierze", Wydawnictwo Literackie 2024) w przekładzie Tomasza Lema i opracowaniu Agnieszki Gajewskiej.
Też bardzo polecam. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Kura od Belzebuba



Dwa filety kurze rocznie na głowę obywatela Europy (także wegetarianina – jest ich tak mało, że zostali bezczelnie wciągnięci przez statystykę do rachuby) mogą wjechać z krajów Ameryki Łacińskiej po obniżonej stawce celnej dzięki umowie o wolnym handlu z tamtymi rejonami globu. Myślę o nich z sympatią, bo panuje tam obecnie lato. Wielka to szkoda, że tego akurat nie da się importować. Nazwa owej strefy tak nam obrzydła przez wrzask propagandy wokół niej rozkręconej, docierającej nawet przez uszczelnione namydloną gazetą na zimę okna, że na potrzeby pierwszego spotkania w tym roku nazwijmy ją roboczo „Belzebubem". Brzmi dość podobnie i dobrze oddaje diabelską aurę, jaką zdołano roztoczyć wokół tej w gruncie rzeczy amoralnej, kupieckiej historii.

Prezydent Ameryki – tej Północnej, ale uważa się za pana również drugiej połówki – jest zajęty ozłacaniem wszystkiego, co się da w Białym Domu (poszukajcie sobie w sieci hasła Lincoln's Bathroom), rychtowaniem sal balowych rodem ze snu pijanego Kopciuszka oraz posyłaniem na ulice wielkiej szturmbrygady, by wyłapała w rok milion „nielegalnych obcych". Poza tym w przerwach między tymi zajęciami coraz wyżej podwiesza poprzeczkę, jeśli chodzi o deptanie wszelkich reguł, a przede wszystkim poniewieranie rozumu. Cóż, ostatnio to jednak my, w praworządnej Europie, daliśmy pokaz kapitulacji racji politycznej opartej na realiach. Zwłaszcza nasz premier dał się złapać w pułapkę histerii, jaką wyzwala hasło obrony polskiej wsi.

Działa ono jak wrzucony do pokoju granat hukowy, odbiera zdolność słuchania argumentów i danych. Tych piersi kurzych kraje Belzebuba i tak już eksportują do nas dziś po półtorej sztuki na głowę, kwoty niskich taryf obejmują ilości rzędu procenta czy dwóch naszego spożycia. Z wołowiną jest podobnie, przy czym jej ceny w ostatnich latach nieustannie rosną. Zresztą Europa naprawdę jej potrzebuje – jeśli np. lubicie włoską szynkę wołową bresaola, wiedzcie, że prawie zawsze jest robiona z brazylijskiej polędwicy, inaczej byłaby o wiele za droga.

Ale w oporze naszego premiera przeciw umowie chodziło głównie o kurczaki, bo to ten dział agrobiznesu – wielki polski sukces ostatnich dekad – stanowi trzon owego „ludu", który ma w nazwie sojusznicze stronnictwo, z poparciem wyborczym jak pestka czereśni. Nigdy dość powtarzania: nad partią historycznie agrarną o długich tradycjach wisi wzruszający cień wąsatego Witosa, przez co nie zauważamy, że „wieś", o jaką dziś tam chodzi, to fermy na parędziesiąt tysięcy



zmutowanych ptaków. Jeśli macie nieszczęście przebywać w ich pobliżu, to wiecie, że nie ma tu żadnej wiejskiej specyfiki, że trzeba to traktować bez sentymentów, jak normalny sektor gospodarki, dymiącą fabrykę czy chciwe banki.

To, że premier uległ w ramach kombinacji koalicyjnych, da się po ludzku zrozumieć, tym bardziej że litanię o tym, jakie nieszczęścia spotkają wieś, dobrze podbijała opozycja. Takie jej wilcze prawo – rozdymać, naciągać, mydlić. Czemu np. cicho było w mediach o mleczarniach, które mogą sporo zyskać na dostępie do rynków Belzebuba? No więc da się zrozumieć, ale wybaczyć już trudniej, zwłaszcza że opór był poprowadzony tępo. Równie zaszachowany przez lobby rolnicze Paryż zdołał jednak, głosując podobnie jak my na „nie", wytargować np. zwolnienie z opłaty „węglowej" importowanych spoza Unii nawozów sztucznych. Co nie jest wcale dobrą wiadomością w Tarnowie...

Jak to się wszystko ma do świętych jeszcze niedawno, zielonych jak zorza polarna i jak zorza pryskających celów środowiskowych, dekarbonizacji albo np. strategii „od pola do stołu", podczas gdy pole leży za oceanem na areałach po wyciętej puszczy – to jest osobny wątek. Tak wymiotny z racji hipokryzji, z którą trzeba by się po dorosłemu zmierzyć, że odłóżmy to na dni rychłego postu, kiedy pusty żołądek się nie zbuntuje.

Proponuję za to coś na wzmocnienie. Mało kto pamięta dr. Justusa Liebiga, ale przez dobre sto lat jego imię nosił eliksir zdrowotności znany w licznych domach – także w Polsce. Chemik ten, zasłużony odkryciem, w jaki sposób rośliny



ZUMA PRESS / ALAMY / BE&W

Amerykańscy żołnierze w Normandii podczas posiłku, 1944 r.

pobierają pierwiastki z ziemi (co było wstępem do prac nad sztucznymi nawozami i dalszej rewolucji rolnej), wymyślił sposób opracowania wyciągu z mięsa (czysty sok, bez tłuszczu i kolagenu). Pewien bystry człowiek wziął od niego wynalazek i rozwinął masowy biznes w Urugwaju – tam wołowina była praktycznie za darmo, bo rozległa hodowla krów służyła tylko do produkcji skór. Jak pisze pewien lwowski aptekarz w broszurce „O wyciągu mięsnym dra Liebiga" z roku 1866, naukowiec z poczuciem misji społecznej dał się przekonać argumentem, że sprowadzony ekstrakt będzie co najmniej trzykrotnie tańszy niż zrobiony przezeń w Niemczech. W mieście Fray Bentos powstała ogromna fabryka, która później, gdy pojawiły się odpowiednie technologie, jeszcze urosła i przestawiła się na produkcję konserw. Był taki okres, kiedy nikt się w Europie nie bał urugwajskiego mięsa, przeciwnie, nazwa dobrze się kojarzyła. Puszki Fray Bentos stanowiły podstawę racji żywnościowych żołnierzy brytyjskich i jankeskich, którzy najedzeni tanim a dobrym *corned beef*, przynosili wolność.

To już tylko historia (w dodatku nie naszej części Europy), a fabryka w Urugwaju jest teraz tylko muzeum wpisanym na listę UNESCO. Ale warto pamiętać, kiedy was będą straszyć jakimś kolejnym Belzebubem – przeważnie jest tak, że myśmy już tu byli, już to widzieli albo zjedli. I się oblizali.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Ossobuco nie całkiem milanese

Rzadko opowiadam wam tu o wołowinie, bo robię ją tylko od wielkiego święta, starając się kupować kawałki z dobrych hodowli i ze szlachetnych ras, co oznacza pomnożenie i tak wysokiej ceny. Ale czasem przecież jest co świętować – np. umowę z Belzebubem. A u dobrego rzeźnika można znaleźć rzadko spotykane specjały, które tak jak ogon (najlepszy na gęstą zupę) lub pręga cięta w poprzek z kością, bywają nie aż tak drogie, z racji tego, że składają się w dużej części z gnata. Ale co to za gnat! W przypadku pręgi – z dużą porcją szpiku, decydujący o szczególnej, jedwabistej konsystencji sosu, jaki nam wyjdzie pod koniec, i nawet nie trzeba tego szpiku zjeść, jeśli się kto brzydzi.

SKŁADNIKI:

1 duża cebula 1 l bulionu 100 ml białego wina 1 gałązka rozmarynu 1 łyżka koncentratu pomidorowego ▪ pręga wołowa cięta w poprzek, grubość ok. 1 cm – dwa kawałki ▪ masło ▪ oliwa ▪ sól ▪ mąka do obtoczenia ▪ parę listków szałwii

Nacinamy ostrymi nożyczkami błony dookoła mięsa w paru miejscach. Myjemy i dokładnie suszymy mięso (można je wcześniej skropić sokiem z cytryny). Obtaczamy lekko w mące. Smażymy po dwie minuty z każdej strony na mocno rozgrzanej patelni, na maśle. Przekładamy do dużego garnka lub brytfanki (mięso musi się zmieścić luźno w jednej warstwie), w której wcześniej poddusiliśmy na oliwie i paru łyżkach wina drobniutko posiekaną cebulę. Na patelnię, na której smażyliśmy mięso, wlewamy wino, dajemy mu chwilę odparować, przelewamy do garnka, dolewamy gorącego bulionu (powinien być na kościach, ale warzywny też ujdzie), tak żeby prawie przykrył mięso, wkładamy rozmaryn i szałwię, przykrywamy, dusimy pod przykryciem na minimalnym ogniu pół godziny, ostrożnie przekładamy na drugą stronę, dodajemy koncentrat i dalej dusimy co najmniej pół godziny albo i drugie tyle, aż mięso zacznie się całkiem rozpadać. Jeśli uznamy sos za zbyt rzadki, pod koniec dusimy bez pokrywki. Kanoniczny przepis alla milanese przewiduje podanie mięsa na łóżeczku z risotto ugotowanego na wyjętym z pręgi szpiku z szafranem – ale ja nigdy nie mam cierpliwości, wszystko tak obłędnie pachnie i kusi, że zjadam od razu, najwyżej z odrobiną pęczaku albo kaszy mazurskiej. ©℗



PAWEŁ BRAVO

MORZE, KTÓRE NIE UCIEKŁO DO NIEBA

Gdyby nie sól, nie mogłyby zaistnieć cywilizacje i nie byłoby wielkich odkryć geograficznych. Była walutą i symbolem zaufania. Oto, co widać znad salin.

BARTEK KIEŻUN



GRGO JELAVIC / PIXSELL / ALAMY / BE&W

Kiedy usłyszałem, że sól nie pachnie, zwątpiłem sam w siebie i we własny nos, bo zawsze wydawało mi się, że jest inaczej. Chwyciłem więc stojący obok mnie słoik pełen wilgotnych, grubych kryształków morskiej soli. Wsadziłem nos do środka, zamknąłem oczy i głęboko wciągnąłem powietrze.

To wprost niewiarygodne, że nie mamy pojęcia, jak bogata w aromaty może być sól. Ale doskonale wiem, dlaczego tak jest: nie poświęcamy soli w kuchni żadnej w zasadzie uwagi, bo jest oczywistością. Dodajemy ją do niemalże wszystkiego, kompletnie się nie zastanawiając, co robimy. Solenie stało się odruchowe, niemal jak oddychanie.

Jedynymi, którzy mają do soli nieco inne podejście, są szefowe i szefowie kuchni, nierozstający się z biało-zielonym kartonikiem płatków soli produkowanych przez firmę z Wielkiej Brytanii. Wiedzą, że niewielka ich ilość potrafi ożywić każdy talerz, bo pod wpływem soli ślinianki zaczynają pracować jak szalone, a uszczęśliwione kubki smakowe wysyłają dopaminowy sygnał do mózgu.

Większość z nas traktuje jednak sól jak zło konieczne. Jedzenie bez soli jest paskudne, ale ona sama ma kiepską opinię. Podnosi ciśnienie, a to w czasach czyhających wszędzie złych wiadomości – wiadomo, bardziej angażujących – bynajmniej nikomu nie służy. Tymczasem sól jest dla nas tak ważna, że beczka soli stała się przysłowiowym synonimem poznania i zaufania. Może więc nie powinniśmy aż tak na nią narzekać i częściej wsadzać nos do słoika z solą?

Solna Droga

Nie da się ukryć, że mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko z chlorkiem sodu. Gdyby nie sól, nie bylibyśmy w tym miejscu, w którym jesteśmy, bo to ona – bez dwóch zdań – jest czynnikiem, który przyczynił się do rozwoju społeczeństw i pozwolił osiągnąć najwyższy poziom ich organizacji. Krótko mówiąc, bez soli nie mogłyby zaistnieć cywilizacje.

Chlorek sodu pomógł wyeliminować zależność zbiorowości od sezonowej dostępności pożywienia, umożliwił jego transport na duże odległości i ułatwiał przetrwanie długich zim. A to sprawiło, że zaczęto traktować sól jak walutę. W niektórych językach przetrwała nawet pamięć o tym, że sól traktowano jak wynagrodzenie. Jak twierdzi część językoznawców, angielskie słowo *salary* ma pochodzić od soli. ↦



Saliny w Stonie na półwyspie Pelješac w Chorwacji są jednymi z najstarszych nieprzerwanie działających salin w Europie.

↦ Jeśli mam być jednak szczery, to muszę zaznaczyć, że rzecz nie jest do końca jasna. Są językoznawcy, którzy się upierają, że łacińskie *salārium* było wynagrodzeniem, inni upierają się, że dodatkiem do wynagrodzenia, który miał być wydany na zakup soli przez żołnierzy. Jeszcze inni są zdania, że między solą a *salary* związek nie jest wcale tak ewidentny, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Pewne jest za to, że Via Salaria w Italii to jedna z najstarszych dróg rzymskich. Powstała jeszcze w czasach Sabinów, a jej zadaniem było ułatwienie kontaktu sabińskim osadom oraz – co nawet ważniejsze – zapewnienie regularnych dostaw soli powstającej na tyrreńskim wybrzeżu u ujścia Tybru i transportowanej z miejsca zwanego *campus salinarum*.

Tych, którzy mają ochotę dotknąć solnej historii, namawiam na wyprawę do Rieti. Kamień milowy z Via Salaria jest widoczny w krypcie tamtejszej katedry, gdzie został ponownie wykorzystany jako kolumna. Z czasem Via Salaria połączyła Morze Tyrreńskie z Rzymem i dalej z Adriatykiem, bo okazało się, że ten, jako płytszy i bardziej zasolony, wymagał nieco mniej wysiłku przy pozyskiwaniu cennej przyprawy.

Konserwująca moc

Najstarszy znany traktat o farmakologii, opublikowany w Chinach niemalże 5 tys. lat temu, zawiera potężny fragment omawiający różne rodzaje soli. Jeszcze ciekawsze jest to, że osobny rozdział poświęcono opisom dwóch metod jej pozyskiwania oraz to, że niewiele różnią się one od stosowanych obecnie. Chińczycy jako jedni z pierwszych zdali sobie sprawę, że opodatkowanie soli może być głównym źródłem dochodów.

Doniesienia o chińskich salinach są jednak zdecydowanie starsze niż traktat dotyczący farmakologii. Mniej więcej 6 tys. lat temu w prowincji Yuncheng w Chinach rozpoczęto zbieranie soli na brzegach słonego jeziora znanego jako Chińskie Morze Martwe. Parująca w czasie gorących letnich miesięcy woda pozostawiała na wybrzeżu sól, która z czasem stała się podstawą dochodu całej okolicy.

Mniej więcej w tym samym czasie sól odkryli Egipcjanie i zaczęli jej używać na szeroką skalę – nie tylko do przedłużenia terminu przydatności pożywienia do spożycia. Chlorek sodu odgrywał ważną rolę w religii. Nad Nilem wierzono bowiem, że ciało zmarłego jest niezbędne do życia pozagrobowego i jako takie musiało być dobrze zachowane.

Gorące i suche afrykańskie powietrze ułatwiało mumifikację, ale badania dowodzą, że sporą rolę odgrywała w tym procesie również sól. Co więcej, zmarłych należało dobrze wyposażyć. Egipskie grobowce składały się więc z dwóch części: jednej przeznaczonej dla zmarłego i drugiej, którą wykorzystywano jako miejsce na ofiary. Ich ilość zależała oczywiście od zasobności kieszeni zmarłego: im więcej pieniędzy i władzy, tym więcej miejsca dla pośmiertnego wyposażenia, wśród którego pojawiały się gliniane naczynia wypełnione solą oraz solone ryby i mięso.

Idea pozyskiwania morskiej soli jest bardzo prosta: w gorących, bezdeszczowych miesiącach wodę morską zamyka się w płytkim basenie. Za resztę odpowiada słońce i wiatr.

Podróż do zaświatów była długa, a więc zarówno ciało, jak i pożywienie musiały przetrwać, a sól i jej konserwująca moc to umożliwiała. Egipcjanie doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Podróże napędzane solą

Wiedza o tym, że sól usuwa wilgoć, która może powodować rozwój bakterii, była niezwykle przydatna. Egipcjanie nie eksportowali soli, ale słoną żywność już tak. Być może to dzięki nim Fenicjanie poznali smak słonej, niepsującej się żywności, która pozwoliła na dalsze morskie podróże. Łodzie starożytnych, napędzane siłą ludzkich rąk, rozwijały prędkość około pięciu węzłów na godzinę. Węzeł to prawie dwa kilometry, czyli – liczyłem w głowie – pokonanie odległości między Kartaginą a Sycylią zajmowało Fenicjanom 50 godzin nieustannego wiosłowania. Zakładałem, że płynęli tylko w ciągu dnia, więc solone jedzenie mogło być w takiej podróży przydatne.

Morskie podróże napędzane były solą, a Fenicjanie nie byli w tej kwestii wyjątkiem. Wikingowie wpadli na pomysł solenia dorszy. Ich pozbawione wody mięso było produktem, który zmienił historię całej południowej Europy. Przyswoiła sobie ona mięso tej ryby tak bardzo, że w Portugalii niezbyt miło pachnący *bacalhau* stał się stałym elementem kulinarnego DNA kraju i produktem, w który wyposażano zaprojektowane przez księcia Henryka Żeglarza karawele.

Władcy Hiszpanii dochody ze sprzedaży soli przeznaczyli na pierwszą podróż Krzysztofa Kolumba do Indii, która nieoczekiwanie dla wszystkich zakończyła się zupełnie gdzie indziej. I która byłaby niemożliwa, gdyby nie wynalazek portugalskiego księcia polegający na wyposażeniu statków w ruchome maszty oraz możliwość załadowania magazynów niepsującą się żywnością.

Fenicjanom zawdzięczamy alfabet oraz pierwsze saliny na Sycylii w okolicach Trapani, założone mniej więcej 3 tys. lat temu. Jednak najstarsze miejsce związane z produkcją soli na terenie kontynentalnej Europy ma historię liczącą około 5 tys. lat i nie znajduje się na terenie Półwyspu Apenińskiego, tylko w Bułgarii. Sołnicata była niewielkim ufortyfikowanym ośrodkiem produkującym sól, którą później sprzedawano na terenie całych Bałkanów. Sól stała się podstawowym źródłem bogactwa tego protomiasta zniszczonego przez trzęsienie ziemi.

Włoskie saliny wygrywają jednak tym, że na zachodnim wybrzeżu Sycylii produkcja soli trwa nieprzerwanie od czasów fenickich i metody jej pozyskiwania są zbliżone do tych znanych ze starożytności. Bo idea pozyskiwania morskiej soli jest bardzo prosta. W gorących i bezdeszczowych miesiącach wodę morską zamyka się w płytkim basenie. Za resztę odpowiada słońce i wiatr. Woda odparowuje, ilość soli wzrasta, aż w końcu dochodzi do jej krystalizacji.

Słona przygoda

Po wizycie wiele lat temu w pierwszych salinach na Sycylii, zacząłem je odwiedzać częściej i z rozmysłem. Zrozumiałem, że ich historia jest powiązana z historią Europy. A wpychając nos do kolejnego pudełka z solą, odkryłem, że sól chrupie z różnym

FOTOKON / ADOBE STOCK



Solone dorsze na wystawie sklepu w Porto w Portugalii

natężeniem, ma intensywny, lekko drażniący aromat i powoduje intensywną pracę ślinianek. Nauczyłem się, że owszem, smak jest za każdym razem podobny, ale znaczenie dla gotujących i jeszcze większe dla jedzących ma rozmiar kryształków, ich twardość i struktura.

Przy okazji dowiedziałem się też, że zadaniem wiatraków malowniczo zdobiących saliny jest przepompowywanie wody morskiej. Całość procesu zaczyna się w kwietniu, w basenach położonych najbliżej morza. To – jak mówią Włosi – baseny pierwszego wejścia. Potem wodę po częściowym odparowaniu należy przepompować głębiej w kierunku lądu, a potem jeszcze raz – do basenów, w których sól będzie krystalizować.

Gotowy produkt pracownicy salin zbiorą w sierpniu lub wrześniu. Kolejne tygodnie to czas dojrzewania soli w arionach – przestrzeniach oddalonych od morza. Przy wyjściu w niewielkim sklepie kupiłem dwa kartony wypełnione kryształkami, kładąc podstawy pod kolekcję, która nieustannie rośnie.

Kolejne pudełka z solą kupiłem w słoweńskim Piranie, gdzie ludzie tak romantyzują sól, że od razu ich polubiłem. Mieszkańcy tego pięknego, malutkiego miasta na adriatyckim wybrzeżu zwykli mawiać, że sól to morze, które nie uciekło do nieba. Ich sól jest dzieckiem polityki, bo w X wieku Najjaśniejsza Republika Wenecka zauważyła, że nadmiar soli w basenie Morza Śródziemnego obniża jej cenę.

Wielka Rada uradziła więc wysłanie armii, której zadaniem było niszczenie salin. Piran otrzymał jednak zgodę na produkcję, więc tutejsze saliny pracowały dalej. To, co najbardziej wyjątkowe dla tego miejsca, nadeszło jednak nieco później. W XIV wieku pracownicy salin zauważyli, że jeśli pozwolą na powstanie petoli na podłożu basenu, czyli naturalnej bazy z alg i minerałów, to uzyskana sól jest wyjątkowo czysta. Kupiłem i tam kilka kilogramów soli, przeczuwając, że nie będzie to koniec mojej słonej przygody.

W chorwackim Stonie pojawiłem się z powodu rozmowy przeprowadzonej przy śniadaniu w Dubrowniku. Opowieść zaczęła się od wielkiego muru, który zbudowano ze względu na strategiczne znaczenie półwyspu Pelješac. Kiedyś na hasło „znaczenie strategiczne" wybiegałem z pokoju z wrzaskiem, ale teraz, mimo że historia wojskowości i obronności nadal zazwyczaj mnie nudzi, mam świadomość, że czasem kryje ona wspaniałe opowieści. I tak było w Stonie.

Salina zwana Światem

Już po przyjeździe do miasteczka przyjrzałem się umocnieniom, które wzniósł Michele di Bartolomeo Michelozzo, ulubiony architekt Medyceuszy i autor projektu wspaniałego florenckiego pałacu Medici Riccardi. Muszę się przyznać, że za żadne skarby nie byłem w stanie zrozumieć, o co chodzi. Z mojego punktu widzenia mur nie miał zbyt wiele sensu, bo odcinał miasto od lądu i od morza.

Rozumiałem oczywiście, że od strony morza mogli pojawiać się Wenecjanie, a od lądu armia Imperium Osmańskiego, ale przecież Ston nie był jedynym miastem zagrożonym przez obce wojska. Spacerując, dumałem nad tym, dlaczego akurat w tym miejscu zdecydowano się postawić umocnienia będące jednym z największych tego typu projektów budowlanych tamtych czasów.

Pierwotna długość muru wynosiła 7 tys. metrów. Zbudowano 10 okrągłych i 31 kwadratowych baszt, a także sześć półokrągłych bastionów. Wydano na to 12 tys. dukatów, co mogłoby zrobić wrażenie, gdyby nie fakt, że mur powstał, by ochronić saliny, które zapewniały Dubrownikowi roczny dochód na poziomie 16 tys. dukatów. Stanowiło to 30 proc. budżetu miasta.

Saliny w Stonie są jednymi z najstarszych nieprzerwanie działających w Europie. Na miejscu jest 58 basenów podzielonych na pięć grup, ponieważ cały proces produkcji soli przechodzi przez pięć etapów trwających od jednego do dwóch miesięcy w zależności od warunków pogodowych. Dziewięć basenów do ostatniego etapu, czyli procesu krystalizacji, ma swoje nazwy. Osiem z nich nosi imiona świętych. Ostatni nazwano Mundo, czyli świat. Z tego miejsca sól mogli czerpać najbiedniejsi mieszkańcy Republiki Dubrownickiej. Kupiłem sól również w Stonie, zastanawiając się, czy walizka przejdzie przez odprawę na lotnisku.

Od tego czasu w mojej kuchni pojawiło się kilka nowych soli o różnej strukturze, kolorze i zapachu. Z Cypru przywiozłem nawet czarną sól z dodatkiem oczyszczonego węgla. Świetnie wygląda na twarogu i na risotto z białymi szparagami. I kiedy ostatnio posypałem nią kanapkę z białym serem, przyszło mi do głowy, że mój solny głód wiedzy został zaspokojony jedynie częściowo – bo skoncentrowawszy się na morzu, nie mam pojęcia o całym mnóstwie soli pochodzącej z ziemi. Nic nie wiem zatem o soli kłodawskiej ani o różowej soli himalajskiej. Nawet wiadomości o soli w Wieliczce mam jedynie cząstkowe.

Czas zająć się solą kamienną. Jedyne, czego się boję, to tego, że szafka w kuchni nie wytrzyma. © BARTEK KIEŻUN

TOMASZ

Stawiszyński: *Alienacja od doświadczenia*



Zauważyliście? W ostatnich dniach roku 2025 w mediach społecznościowych pojawiła się rekordowa ilość osobistych podsumowań. Mnóstwo ludzi rekapitulowało miniony rok i dyskutowało o samej zasadności podobnych praktyk. Ktoś deklarował, że nie interesują go cudze rankingi sukcesów i wzruszeń, ktoś inny odpowiadał, że jego, owszem, interesują, a także, że żywi potrzebę obfitego się nimi dzielenia.

Nie rozstrzygam, które stanowisko jest właściwe, chciałbym jednak zwrócić uwagę na inny aspekt sprawy, być może na pierwszy rzut oka niedostrzegalny. Otóż, naturalnie, pobrzmiewa w tych rekapitulacjach odwieczna fantazja nowego początku, głębokie pragnienie resetu, który wydarza się wraz z rozpoczęciem kolejnego cyklu w przyrodzie. Zarówno potrzeba podsumowywania roku odchodzącego, jak postanowień na rok przychodzący wyrastają z jednego, archetypowego pnia. Nie ma tu nic nowego, przeciwnie, jest forma obecna od zawsze w mitach i religiach. Można się o tym przekonać, sięgając choćby po wznowioną niedawno przez Znak „Potęgę mitu" Josepha Campbella.

Niemniej taki wysyp podsumowań jest mimo wszystko zastanawiający. Co za nim stoi? Oprócz, ma się rozumieć, niepewnych i niebezpiecznych czasów, w których nasza tęsknota za nowym początkiem – wraz z wolnością, którą przynosi – staje się wyjątkowo dojmująca? Otóż stoją za nim także aplikacje i algorytmy, które z udostępnionej biblioteki wybiorą odpowiednie zdjęcia, ułożą je w chronologiczną opowieść, położą akcent tu albo tam, a na końcu stworzą z tego wszystkiego atrakcyjną animację i okraszą stosownym utworem muzycznym.

Można zapytać – cóż w tym złego? Ostatecznie jest to tylko nieco udoskonalona, wirtualna wersja albumów ze zdjęciami, które z upodobaniem komponowaliśmy, zanim nastała epoka cyfrowej fotografii. Teraz mamy po prostu do dyspozycji nowe, ekscytujące narzędzia. A pomysłowe algorytmy ujmują nasze życie z jakichś innych, często zaskakujących perspektyw, odsłaniają przed nami takie jego obszary i warstwy, na które często sami nie zwracamy uwagi. Słowem, same plusy.

To prawda, jak jednak głosi stara mądrość – różnica między lekarstwem a trucizną jest wyłącznie kwestią proporcji. Samo w sobie zjawisko to nie wydaje się specjalnie niepokojące, ale jeśli spojrzymy na nie w kontekście szerszego trendu – zacznie się jawić cokolwiek inaczej. Jaki to trend? Nazwijmy go postępującą alienacją od prywatnego doświadczenia, które staje się dziś paliwem dla kolejnych narzędzi i aplikacji, na czele ze sztuczną inteligencją. Coraz chętniej, obficiej i częściej – acz bezwiednie, jakby niezauważalnie, bez wyraźnych, uchwytnych skokowych zmian – przestajemy użytkować nowoczesne technologie, bo to one zaczynają użytkować nas.

Przykłady? Oto pierwsze z brzegu. Zwierzamy się botom z największych sekretów i radzimy w najbardziej intymnych sprawach. Dajemy smartfonom dostęp do naszej aktywności w sieci i wszelkich możliwych parametrów naszych ciał. Doszło już nawet do tego, że niektóre aplikacje informują nas o naszym realnym, nie zaś odczuwanym (*sic!*) samopoczuciu. Niczym w starym dowcipie, w którym spotyka się dwóch ortodoksyjnych behawiorystów (zwolenników poglądu, że człowiek redukuje się do zachowań) i jeden pyta drugiego: jak ja się dzisiaj czuję?

Czy nie w ten właśnie sposób powstała przynajmniej część owych podsumowań? Jaki miałem rok – pytaliśmy tej czy innej aplikacji. A ona ochoczo odpowiadała, podsuwała opowieść, w której wprawdzie wciąż pozostawaliśmy głównym bohaterem, ale już nie producentem i reżyserem. Co najwyżej – współscenarzystą. Powtórzę: rzecz w tym, że nasze doświadczenie, myśli, pragnienia, oczekiwania, zainteresowania, rozterki, fantazje i potrzeby, które beztrosko deponujemy w tej czy innej chmurze, zamieniły się w drogocenne paliwo, na którym pracują silniki wielkich cyfrowych korporacji. A od niedawna także ich coraz bardziej autonomizujących się produktów – czyli sztucznej inteligencji – które potrzebują więcej i więcej danych, żeby wspinać się na kolejne szczeble zaawansowania. I już zaczynają pozyskiwać je swoimi własnymi, niezależnymi sposobami, co, nawiasem mówiąc, do złudzenia przypomina pomysły rodem z powieści Philipa K. Dicka.

Cóż, reguły rynku są nieubłagane. Im bardziej żywotność jakiegoś biznesu opiera się na określonym surowcu, tym bardziej brutalne metody pozyskiwania go. I tym bardziej bezwzględna konkurencja, tym więcej sił i energii inwestowanych w doskonalenie metod efektywnego drenażu zasobów. Oczywiście, zawsze możliwe są rozwiązania, które minimalizują straty, a maksymalizują zyski nie tylko dla wielkich korporacji, lecz także dla ogółu społeczeństwa. Ponieważ jednak – jak pokazuje doświadczenie – nie mamy co na takie rozwiązania liczyć, pozostaje nam, przynajmniej na razie, powściągliwość w dzieleniu się własnym życiem z algorytmami.

Czego – naturalnie – sobie i państwu życzę w rozpoczynającym się właśnie roku (którego – za 12 miesięcy – zobowiązuję się nie podsumowywać inaczej niż tylko analogowo, czyli we własnym sumieniu). ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

PREMIERA: 16 stycznia 2026

scena mos | ul. Rajska 12

teatrwkrakowie.pl

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

KULTURALNA MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy Teatru

BMW M-Cars Group

Bielenda GROUP

Patroni medialni Teatru

65 TVP 3 KRAKÓW

TEATR DLA WSZYSTKICH

Partner premiery

fine spst



REKLAMA

30.11.2025—22.02.2026

Lśnienie czasu

Japońska laka w sztuce użytkowej

Brilliance of Time

Japanese Lacquerware in Decorative Arts

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha
Manggha Museum of Japanese Art and Technology

ul. M. Konopnickiej 26, 30-302 Kraków
tel.: 12 267 27 03
e-mail: muzeum@manggha.krakow.pl
www.manggha.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

muzeum manggha

FUNDACJA KYOTO – KRAKÓW
Andrzej Wajda i Krystyna Zachwatowicz – Fundatorzy